

ALIGATOR W WILNIE



• PIOTR JEZERSKI •

ALIGATOR W WILNIE

ALIGATOR W WILNIE

PIOTR JEZERSKI

Korekta i redakcja:
Monika Urbanowicz

Ilustracje i projekt okładki:
Wit Konopacki

Skład i łamanie:
Małgorzata Lewicka-Koniak

Publikacja wyraża wyłącznie poglądy autora i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2021.

© Copyright by Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”

Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”

ul. Jazdów 10A, 00-467 Warszawa

tel.: +48 22 628 55 57, +48 22 628 30 92

biuro@pol.org.pl

www.pol.org.pl

Wydanie I
Warszawa 2021

ISBN 978-83-952591-2-8

Prawdziwej, niepowtarzalnej Alinie

*Osiemdziesiąt procent odkryć archeologicznych
dokonuje się w bibliotekach.*

dr Henry Walton Jones Jr. (1938 r.)

*Jeśli chcesz być dobrym archeologiem,
musisz wyjść z biblioteki!*

dr Henry Walton Jones Jr. (1957 r.)

Grunt się nie przejmować i mieć wygodne buty.

kolega Bigos do Pana Samochodzika (1969 r.)



SZLACHETNI ZBÓJE

Witek każdy krok stawiał ostrożnie. Nie było łatwo. W półmroku ledwo widział gdzie leżą deski przerzucone nad dziurami w nierównej podłodze. W bazylice trwały prace remontowe i wciąż było czuć wilgoć po powodzi, która kilka miesięcy wcześniej nawiedziła Wilno. W kaplicy św. Kazimierza, do której właśnie ukradkiem zaglądał, osunęła się wtedy posadzka, a potem znaleziono w niej puszkę z sercem króla Władysława IV. Ale kroki stawiał delikatnie nie tylko z obawy przed poślizgnięciem się i upadkiem, ale również dlatego, że kilkanaście metrów przed nim szli wuj z panem Janem.

Dziwny był ten 1931 rok, z jednej strony miasto zaatakował żywioł, a z drugiej dokonano w nim królewskiego odkrycia, które przykuło uwagę Witka i jego kolegów. To właśnie ciekawość kazała mu wstać bladym świtem i odprowadzić wuja Kazimierza do pracy. Brat mamy był jednym z ludzi ratujących bazylikę przed skutkami przejścia wielkiej wody. Przez całą drogę chłopak zachwalał dzielnych konserwatorów ratujących wspaniały zabytek. A na koniec, stojąc przed bramą w płocie – chroniącym świątynię przed ludźmi tak ciekawskimi jak on – nie pierwszy już raz zapytał wujka czy może z nim wejść do środka. Na wyobraźnię Witka działały opowieści o pradawnych Litwinach składających ofiary Perkunowi, dokładnie w miejscu, w któ-

rym dziś stała bazylika. Nie dziwił się, że w tak magicznym miejscu wzniesiono jeden z najokazalszych budynków miasta. Marzył o wejściu za ogrodzenie i zbadaniu terenu po swojemu, bo przecież ludzie pracujący nad restauracją świątyni mogli coś przeoczyć, gdzieś nie zajrzeć, nie zauważyć wypłukanych przez wodę śladów historii nawet odleglejszej niż panowanie Władysława IV.

– Wiciu, tam niebezpiecznie. Katedra stoi na mokrym, grząskim terenie. Już raz tragedia była, jak ze dwa wieki temu wieża się na księży zwała – tłumaczył wuj kolejny raz rezygnując z asysty siostrzeńca. – Jak już zabezpieczymy, wyremontujemy i zrobi się malowanie, będziesz mógł chodzić do katedry choćby codziennie.

Witek był przygotowany na taką odpowiedź. Już kilka dni wcześniej, przez dziurę w płocie, podejrzwał, którędy wuj wchodził do środka budowli. Upatrzył sobie miejsca, z których bezpiecznie mógł śledzić jego ruchy i iść tropem krewnego. Tego dnia pożegnał się z wujem i ruszył wzdłuż płotu, pogwizdując dla niepoznaki. Dotarł do miejsca, gdzie deska w ogrodzeniu trzymała się tylko na jednym gwoździu i odsuwając ją na bok pokonał pierwszą przeszkodę. Bez trudu, przez nikogo niezauważony, przekradł się przez plac przed bazyliką. Patrzył, jak wuj znika za uchylonymi drzwiami świątyni. Odczekał chwilę i wślizgnął się za nim do środka. Tutaj musiał zachować szczególną ostrożność. Wewnątrz budynku do śledzonego krewniaka dołączył mężczyzna. Początkowo rozmówca wuja stał tyłem, kiedy wymiana zdań dobiegła końca na chwilę odwrócił głowę i chłopiec rozpoznał Jana Peszkę, architekta, z którym kilka dni wcześniej rozmawiał o tajemnicach przeszłości. Spotkali się podczas jednej z błagalnych prób legalnego przedostania się na teren remontu. Wuj wziął z przedsiönka ciężką skrzynkę z narzędziami i ruszył za inżynierem.

Witek początkowo chciał zostawić mężczyzn ich sprawom i swobodnie rozejrzeć się po majestatycznym wnętrzu, które z powodu prowadzonych prac zastawiono rusztowaniami. Zmienił zdanie, kiedy usłyszał słowa pana Jana.

– Jest takie miejsce, które szczególnie mnie interesuje. – Architekt odwrócił się do wuja i o mały włos nie dostrzegł chłopaka, który szybko schował się za kolumną. – I właśnie tam Kazik dzisiaj zaczniemy. – Ruszyli w głąb świątyni nieświadomi podążającego ich tropem chłopaka.

Witek całą energię włożył w zachowanie ciszy. Nawet nie wiedział, że próba niewydawania z siebie najmniejszego dźwięku, może być tak męcząca. Na harcerskich podchodach, w środku lasu, wydawało się to o wiele prostsze. W pustej katedrze, w której oprócz niego znajdowały się tylko dwie osoby, nawet oddech zdawał się nieść echem pod sklepieniem. Kiedy mężczyźni dotarli na miejsce, Witek zatrzymał się za filarem i zza niego obserwował poczynania mężczyzn szykujących się do wybijania dziury w wiekowym murze.

– Miałeś rację, tu cienka ściana i się sypie. Pewno nasiąkła, cegła zbutwiała – wuj komentował próby wywiercenia otworu. Witek zamierał, kiedy następowała cisza, ale podczas rozmów i prób obrabiania ściany wysuwał głowę i stawał na palcach. Z miejsca, z którego prowadził obserwację, nie mógł dostrzec, co dokładnie się dzieje, mężczyźni zasłaniali mu wszystko plecami.

– Uważaj! – krzyknął architekt.

– No masz, dziura wielka, że i głowę da radę wsadzić – zmartwił się wuj. Witek wyciągał się, ile mógł, ale wciąż nic nie widział, a nie mógł podejść bliżej niezauważony.

– Latarka! Masz latarkę?

Kazimierz wyciągnął poszukiwany przedmiot ze skrzynki z narzędziami i podał go architektowi, który jeszcze bardziej pochylił się nad ścianą. Dzięki temu Witek mógł zobaczyć otwór, do którego mężczyzna wkładał rękę. Mieściła się w nim dłoń z latarką i zostało jeszcze trochę miejsca na spojrzenie do wnętrza pomieszczenia za ścianą. Oczywiście widzieli je tylko wuj i jego kolega, chłopak był skazany jedynie na słuchanie ich relacji z oglądanych dziwów.

– Korytarz! – Jan nie mógł ukryć podniecenia w głosie. – Tam jest wąski korytarz. Kujemy dalej?

– Jesteś pewny? Nie idziemy po Kłosa... albo Lorentza?

– Z dziurą? Musimy sprawdzić, co jest dalej. Jak coś znajdziemy, to będzie z czym iść. Kuj!

Wuj bez trudu powiększył otwór tak, że zmieściłby się w nim człowiek.

– Straszno tam – powiedział architekt zaglądając do środka.

– To, co? Nie wchodzimy?

– No jak? Teraz to już musimy – zapewnił, ale wyraźnie obawiał się zagłębiania w mroczny otwór.

– Dobra, to ja pójdę przodem i poświecę.

Mężczyźni weszli do środka. Po chwili ich podekscytowane głosy stały się o wiele cichsze. Witek podszedł do wykonanego przez nich otworu w ścianie. Zajrzał do środka i zobaczył wąski tunel, na końcu którego co jakiś czas pojawiał się snop światła latarki. Czuł wilgotny powiew na twarzy, zapach zmurzsałych cegieł. Nasłuchiwał, próbując zrozumieć słowa dochodzące gdzieś zza zakrętu wąskiego korytarza.

– Janek! Loch tu jest jakiś. Uważaj, mokro pod stopami...

– To krypta! Kazimierz, takie znalezisko. Toż tu żywej duszy od wieków nie było. Zobacz, te wykończenia...

– Tam, w błocie, coś światło odbija.

– To hełm, zobacz...

– Boże mój, czaszka. Ludzka czaszka nie hełm...

– Do tego... Kaziu, ona w koronie! – Na te słowa serce Witka mocniej zabiło. Poczuł, że z przejścia zaschło mu w gardle. Już dawno mu wuj opowiadał, że gdzieś w podziemiach były królewskie groby, które pewnie zrabowano. Mały wtedy jeszcze był i oczyma wyobraźni widział podziemia zasłane dywanem bielących się kości władców, wymieszanych z pokruszoną cegłą i kosztownościami. A tu na jego oczach! Właściwie w jego uszach, brzmiała relacja z epokowego odkrycia.

– Patrz! Tam w rogu, na tym czarnym czymś. Też korona! – Pod Witkiem aż ugięły się nogi. To już pewne, wuj z panem Janem odkryli zaginione krypty królewskie.

– Nie ruszaj. Tu wszystko trzeba zostawić jak znaleźliśmy. Idziemy po doktora Lorentza. – Po tych słowach architekta chłopak zaczął się rozglądać za jakąś kryjówką. Nic nie przychodziło mu do głowy, zdecydował się więc ostrożnie przesuwać za kolumną, tak, żeby przechodzący nieopodal mężczyźni nie zobaczyli go i nie usłyszeli. Miał tylko nadzieję, że nie poświecę w jego kierunku latarką, bo mimo konspiracji mogliby coś dojrzeć. Z otworu wyłoniła się głowa wuja. Chłopak przyłgnął plecami do filaru. Stał na palcach, kiedy mężczyźni szli po drugiej stronie jego schronienia. Miał

szczęście. Odkrywcy byli tak zaafelowani znaleziskiem, że co sił w nogach popędzili do wyjścia z katedry. Miał mało czasu! Stanisław Lorentz, wileński konserwator zabytków, urzędował zapewne w baraku przy wejściu na teren robót remontowych. We trzech, a może i w większym gronie, byłiby w krypcie za najpóźniej pięć minut. Witek podbiegł do wybitej dziury. Za nią panował zupełny mrok, nie widać było nawet ścian korytarza. Rozejrzał się wokół i zobaczył pozostawioną przez wuja skrzynkę. Wewnątrz znalazł świeczkę i zapalki. Schował je do kieszeni i wskoczył w ciemność. W wąskim tunelu panował przeciąg, więc zdecydował się pokonać go po omacku i zapalić światło dopiero w pomieszczeniu na jego końcu. Szedł w ciszy, prawą ręką macając wilgotną ścianę. Czuł, że korytarz lekko zakręca.

Do prawego buta zaczęła mu się wlewać woda. Zrobił następny krok i zaraz lewy też był mokry. Nawet on musiał się schylić w tym mrocznym korytarzu. Po chwili zniknęła ściana, o którą się podpierał. Był wewnątrz krypty. Przesunął się ostrożnie w ciemność po lewej, bo czuł, że tam jest mniejszy ruch powietrza. Wyciągnął zapalkę i osłaniając knot zapalił świeczkę. Kiedy płomień urósł, oczom Witka ukazało się niskie łukowate sklepienie, falowały pod nim grube pajęczyny, w których zamiast owadów zalegał odpadający z sufitu pył. Podłogę pokrywała czarna warstwa przypominająca wyschnięte błocko. Nie myślał, co powie mamie o śmierdzących wiekowym mułem trzewiakach, bo migotliwe światło padało właśnie na największe odkrycie jego jedenastoletniego życia. Jaśniejszą od reszty podłoga masę czegoś, co było zapewne pozostałością drewnianej trumny. Przypuszczał, że to królewska mogiła. Nagle coś błysnęło. Metalowa tabliczka, a tuż pod nią – zbliżył światło świecy i zaraz odskoczył. Czaszka w koronie! Taka mała, jakby dziecięca albo drobnej kobiety. Zduślił w sobie strach oraz obrzydzenie – był przecież odkrywcą – i schylił się, żeby lepiej zobaczyć resztę królewskich szczątków. W miejscu, w którym powinny się znajdować dłonie, przez warstwę czarnego pyłu dało się zobaczyć niezwykle kształt. Zdobył się na odwagę i wyciągnął rękę. Ciekawość była silniejsza niż podpowiadane przez wyobraźnię sceny grozy. Ujął w palce podłużny kształt i pociągnął do siebie. Po chwili trzymał coś wykonane z metalu. Było ciężkie jak na swój niewielki rozmiar. Wtedy za plecami usłyszał odległe głosy. Odwrócił

się dostrzegając jeszcze inne, bielące się w krypcie kości i zdmuchnął płomień. Schował znalezisko do tylnej kieszeni spodni i po omacku ruszył ku wyjściu z krypty. W kryjówce za kolumną znalazł się w tej samej chwili, w której do kaplicy wkroczyła grupa głośno rozmawiających mężczyzn.

*

Chyba pierwszy raz w życiu drżały mu ręce, kiedy już na zewnątrz, sięgał do tylnej kieszeni spodni po swoje wielkie znalezisko. Rozejrzał się jeszcze czy nikt go nie widzi, kulącego się w cieniu wielkiej kopuły kaplicy św. Kazimierza. Musiał szybko spojrzeć na wyniesiony z krypty przedmiot. Nie mógł już dłużej czekać. Kształt wskazywał na to, że z sarkofagu wyjął sporych rozmiarów klucz. Tak duży, że schować mógł go tylko w dwóch zaciśniętych dłoniach. Aż dziw, że podczas ucieczki z kaplicy nie wypadł mu z kieszeni. Zamiast okrągłej główki miał on dwa, przecinające linię poprzeczne pręciki, taki podwójny krzyż. Z tego co Witek wiedział, właśnie taki kształt miał herb Jagiellonów. Już samo miejsce znalezienia klucza wskazywało na to, że był on cenny, ale tak ważny herb podnosił zapewne jego wartość. Zastanawiał się czy wynosząc ten przedmiot zachował się jak złodziej, bo czuł się raczej jak odkrywca, rzucający światło na historyczną tajemnicę. Z drugiej strony porównanie siebie do rabusiów egipskich grobowców, o których zdarzało mu się czytać, miało w sobie coś z egzotycznej przygody. W związku z tym zdecydował się tymczasowo myśleć o sobie jako o szlachetnym przestępcy, rabusiu działającym na rzecz wspólnego dobra, bo przecież zamierzał oddać przedmiot do muzeum, jakiejś akademii albo przynajmniej wujowi.

Oczyścił znalezisko i tak już brudną koszulą. Musiał mocno szorować, żeby usunąć osad. Twarde grudki brudu okazały się być cudacznymi rzeźbieniami. Z jednej strony odkrył biegnącą przez całą długość klucza łodygę z liśćmi, na jego dziwacznej główce wyrzeźbiono pięć kwiatów, po jednym na każdym zakończeniu. Odwrócił przedmiot i odkrył znajome wgłębienia. To były litery. Oskrobał je paznokciem po czym rozszyfrował łaciński napis „Omni die dic Mariae”.

Wrota jakiej tajemnicy otwierał ten klucz? Jaką zagadkę kryła łacińska sentencja? Witek nawet nie przypuszczał, że jego znalezisko w przyszłości rozpali jeszcze jedną głowę. Dodam, że rudą i to moją własną.

Jakieś 90 lat później biegłam co sił w nogach po warszawskiej ulicy. W oczach mijanych ludzi musiałam wyglądać jak uciekinierka ścigana przez kanara za nieskasowanie autobusowego biletu. Tyle, że nikt mnie nie gonił. Nie spieszyłam się na zebranie dzielnicowego klubu turysty pieszego, z którego chcieli mnie wyrzucić za regularne spóźnianie się na spotkania (darli na nich tylko koty o to, dokąd pójść i przez pół roku żadna wyprawa nie doszła do skutku). Nie czekał też na mnie zniecierpliwiony amant. Żaden złoczyńca ani obowiązek mnie nie ścigały. Do tego na mojej twarzy widać było uśmiech, bo do biegu po chodnikach Alei Ujazdowskich napędzała mnie głównie radość. Nie, nie zakochałam się, nie odziedziczyłam niespodziewanie spadku ani nie wygrałam na loterii Volkswagena Garbusa – którego planowałam kupić, kiedy tylko zrobię prawo jazdy. Szczerzyłam zęby jak malec czekający aż Święty Mikołaj weźmie go na kolana. No, ale zostawmy zimowe klimaty. Był koniec czerwca, początek wakacji, a ja biegłam przez Warszawę z kopertą pod pachą. W takich przesyłkach kryje się zwykle początek przygody. A ta była sporych rozmiarów i zaadresowana w Szwajcarii. Co prawda nie do mnie, ale do ojca. Miała stempel Museums Gesellschaft Arbon. Nazwa nic mi nie mówiła, poza tym, że chodziło o muzeum. Całkiem dobrze radziłam sobie z angielskim, potrafiłam dogadać się po rosyjsku. Ale po niemiecku? Ni w ząb. To potęgowało aurę tajemnicy promieniującą z koperty. Do tego czułam, że skrywa ona coś niezwykle ważnego. A swoje przecucia traktuję bardzo poważnie. Sławo (to pieszczotliwie od Sławka, ale tylko za jego plecami), mój dziadek, zawsze się śmieje, kiedy nazywam je „szóstym zmysłem”. Stara się logicznie, na „chłopski rozum”, wytłumaczyć każde zdarzenie potwierdzające posiadanie przeze mnie zdolności przeczuwania nadchodzących zdarzeń. Oczywiście daleko mi do siedzenia w turbanie na głowie, ze szklaną kulą w dłoniach, ja po prostu miewam bardzo mocne przecucia. Na przykład w zeszłym roku podczas ferii zimowych w Karpaczu, cały dzień byłam podenerwowana. Serce mocniej biło, gdzieś z tyłu głowy czaił się niczym nieuzasadniony lęk o najbliższych. No i stało się, trafiło w największego niedowiarka. – Po prostu jesteś meteopatką i wyczuwasz zbliżającą się odwilż – powiedział Sławo,

po czym przypiął narty i ruszył na stok. Jakieś pięć minut później drogę zajęchał mu dzieciak na snowboardzie. Dziadek stracił równowagę i wywinął orła, tak niefortunnie, że złamał nogę. Dla mnie to był dowód, jasny znak, że posiadam niezwykle zdolności i potrafię przeczuwać takie wydarzenia. On jak zwykle wiedział swoje. – Nawet ten zbój wjeżdżając na górę orczykiem nie przypuszczał, że mnie tak załatwi. A co dopiero ty! I to już dzień wcześniej. – Mówiąc to uśmiechał się, jakby znów rozmawiał z małą Alinką.

Tak do końca mu się nie dziwiłam, gdyby o przeczuciu powiedziała mi kumpela też szukałabym logicznego wyjaśnienia. Ale to ja, a nie ktoś inny, czułam ten niepokój przed trudnymi do przewidzenia wypadkami. Już dzień przed tym jak tramwaj, którym jeździłam do szkoły, miał stłuczkę, z nerwów pociły mi się dłonie. Tego dnia, gdy podczas delegacji zatrzymali ojca na Białorusi czułam się tak, jakby ktoś mnie śledził. No i najgorsze, wypadek mamy. Aż tydzień przed nim byłam zdenerwowana, nie chciało mi się jeść i nie mogłam spać. Miałam zaledwie 8 lat. Słowo się śmiał, kiedy mówiłam, że coś wisi w powietrzu. Ze swojej skrytki na kuchennym okapie wydawał mi kawałki czekolady i – pewnie dla odwrócenia uwagi – proponował partyjkę warcabów. Tylko babcia patrzyła coraz bardziej zatroskanym wzrokiem. Mój brak apetytu leczyła długimi spacerami, po których zawsze chciało się jeść. A przed snem czytała mi „Tajemniczy ogród”, książkę, która usypiała mnie lepiej niż niejedna kołysanka. Tak przetrwałam tych kilka dni pod opieką dziadków, podczas których ojciec jeździł z mamą po Ukrainie. Zabrał ją wtedy w delegację. Może gdyby wiedzieli, jak się denerwuję i zostali w domu, nie doszłoby do tragedii? Mieli wtedy wypadek. Próbowali uciec przed czołowym zderzeniem i samochód wypadł z drogi. Mama zginęła na miejscu. Ojciec spędził miesiąc w szpitalu. Zaczął się najstraszniejszy okres w moim życiu. Gdyby nie dziadek i babcia, dziś byłabym pewnie bardzo smutnym i nieszczęśliwym człowiekiem. Ale już od kilku lat mam to za sobą.

Wracając na Aleje Ujazdowskie – po których biegłam szczęśliwa jak jamnik za kiełbasą – powodem mojej radości nie była tylko teczka pod pachą i kryjąca się za nią obietnica przygody. Byłam nakręcona, bo kiedy odbierałam przesyłkę zadzwonił ojciec i powiedział, że siedzi już w samolocie

do Warszawy. Planował wrócić z Kijowa w przyszłym tygodniu, ale przesładujące go zbiegi okoliczności działały na moją korzyść i miałam go zobaczyć już za kilka godzin.

– Mam dla ciebie wakacyjną propozycję – powiedział na zakończenie rozmowy. – Nie planuj nic na pierwsze tygodnie lipca.

– Ale co...?

– Szykuj aparat, krem do opalania i kiecki na dwa tygodnie. Nic więcej nie powiem. Reszta wieczorem. Pa! – Rozłączył się, zanim zdążyłam zaprotestować, dobrze wiedział, że nie chodzę w sukienkach. No i chciałam wiedzieć więcej. Ale taki był ojciec, lubił tajemnice.

Od kilku dni czułam, że szykuje się coś fajnego. Mówiła mi to lewa łopatką. Swędzenie w miejscach, w które nie mogę się sama podrapać zapowiadało zwykle coś dobrego. Mój „szósty zmysł” wykrywał nie tylko fatalne zrządzania losu, ale też zbliżanie się pozytywnych wydarzeń. Przed tym jak na wyprzedczy trafiłam na wymarzoną kurtkę ramoneskę, czułam się tak, jakby po plecach chodziły mi mrówki. To samo w dniu, w którym kuzynce oświadczył się jej obecny mąż, Marcin – jedyna osoba w rodzinie dzieląca moją miłość do kina i lat 80. Przyjazd ojca zapowiadało właśnie swędzenie pod lewą łopatką. Dzień wcześniej babcia nakryła mnie na ocieraniu się plecami o framugę drzwi. Na jej zdziwienie odpowiedziałam radosnym: – Coś dobrego idzie!

Biegając z poczty zastanawiałam się tylko czy przecucie dotyczyło powrotu ojca, czy też zawartości koperty. A może obydwu?

Skręcając w Piękną, trafiłam stopą w wystającą płytę chodnikową i przechyliło mnie w prawo. Omal nie fiknęłam na przejście dla pieszych. Szybko odzyskałam równowagę podtrzymując się słupka oddzielającego chodnik od ulicy. Nie pierwszy raz uprawiałam chodnikowy sprint na tym odcinku i wiedziałam jak nie wypaść z trasy na ostrych zakrętach. Ekspresowo pokonałam ostatnią prostą. Zatrzymałam się dopiero przed wejściem do kamienicy. Musiałam odsapnąć i uspokoić oddech. Usiadłam na ławce, przy której stała metalowa popielniczka na wysokiej nóżce. Właśnie tutaj znajdowała się plenerowa palarnia dla mieszkańców klatki schodowej. Kilka razy złapałam tu dziadka na popalaniu zakazanych przez babcie papierosów. Mówił wtedy, że wcale nie kopci,

tylko podtrzymuje płomień dla kolegi, który za potrzebą pobiegł do domu. Zrobiłam mu kilka razy wykład o szkodliwości palenia, ale nigdy go nie zdradziłam, tak jak on trzymał w tajemnicy moje wyprawy do kina w godzinach, które oficjalnie spędzałam w bibliotece. Zresztą babcia i tak wiedziała o każdym wypalonym przez niego papierosie, bo dziadek kopcił je pod naszym kuchennym oknem. A właśnie! – Naszym – zapomniałam powiedzieć, że od czasu, kiedy mama odeszła, mieszkałam z dziadkami, bo ojciec był w ciągłych rozjazdach.

Rozejrzałam się czy nikt nie widzi. Teren był czysty, podwórko puste, więc ostatni raz uniosłam kopertę do góry sprawdzając czy promienie słońca nie przebiją się przez papier. Myślałam, że może w ten sposób poznam choć fragment tajemnicy. Niestety teczka schowana w kopercie była zbyt gruba. Wiedziałam, że to teczka, bo palcami wymacałam sznurowane zapięcie.

– To szpiegostwo czy znaczki zbierasz? – podskoczyłam słysząc dobiegający z góry głos dziadka. Dałam się złapać. Spojrzałam na położone dwa piętra wyżej kuchenne okno. Sławo opierał się łokciami o parapet i uśmiechał pod wąsem.

– To dla ojca, sprawdzałam tylko czy korespondencja jest bezpieczna. Wie dziadek, mini bomby, żądania okupu. Ryzykuję życiem, żeby zminimalizować zagrożenie.

– Aligator, ty szlachetny zbój. Wieczorem się dowiesz co siedzi w środku. Właż na górę, zaraz obiad – machnął zapraszająco ręką i schował się do środka.

*

Kilka godzin później siedziałam już w sali przylotów na lotnisku Okęcie. Razem z dziadkami czekałam na zakończenie odprawy samolotu z Kijowa. Lot miał lekkie opóźnienie, więc napięcie rosło. Kiedy tylko zobaczyłam ojczulka z wielką walizą, zapomniałam o tym, że skończyłam już 16 lat i jak szczeniak rzuciłam mu się w ramiona. Nie widzieliśmy się od połowy maja i jakoś tak wezbrały we mnie uczucia. Puścił walizę, złapał mnie w objęcia i unosił kilka centymetrów nad ziemię. Wtuliłam się w jego brodaty policzki i pogłaskałam pieśczołtliwie po ostrzyżonej na jeża łepetynie.

– Coś urósł mój Aligator. Ledwo dzwigram gada.

– Złośliwy ojciec, pijesz do mojej wagi? – Chciałam udać obrażoną, ale uśmiech nie chciał mi się odlepić od twarzy. Postawił mnie i zmierzył od dołu do góry.

– Przepraszam, teraz widzę, że urosłaś. – Chyba nie było sensu mu tłumaczyć, że faktycznie wystrzeliłam, ale ze trzy lata wcześniej. Mojemu ojczulkowi często ulatywały takie szczegóły.

– Tobie chyba broda posiwiła staruszku.

– Gdzie? – Złapał się za baki.

– Wszędzie. Masz więcej białych włosów.

– Nieprawda, liczyłem. Jest tyle samo co pół roku temu. – Uśmiechał się jak ja, szeroko, szczerząc zęby. Potem zaczął się witać ze swoimi rodzicami, a ja stałam z boku i cieszyłam się widokiem ukochanego ojca. Dlaczego nazywam go ojcem, a nie tatą, tatusiem czy papą? Akurat papa kojarzy mi się jedynie z materiałem budowlanym. A z tym „ojcem”, to wyszło tak. Jakieś dwa lata wcześniej przechodziłam okres niezwyklej powagi i próby zerwania ze swoim dziecięcym wizerunkiem. Do szkoły chodziłam w pożyczonym od babci żakiecie i dbałam o używanie dojrzałego słownictwa. Kazałam się do siebie zwracać pełnym imieniem, bez słodzenia Alinkami i Aliniuniami. Natomiast tatę zamieniłam na ojca. Podczas długiej rozmowy wyłożyłam mu zalety używania tej niezwykle poważnej formy. Powiedziałam, że jest to może odrobinę chłodny zwrot, ale czuć w nim szacunek dla starszej przecież i ważnej dla mnie osoby. Przyjął to wszystko z powagą. Przytakiwał. Powiedział kilka razy: „oczywiście”, „masz rację” i „słusznie droga córko”, a na zakończenie rozmowy zamyślił się, zrobił głupią minę – wiedziałam, że coś kombinuje – i wypalił: – Zgadzasz się z Tobą w pełnej rozciągłości Ali... gatorze. – To słowo pierwsze przyszło mu do głowy po wypowiedzeniu początku mojego imienia. Przez ponad rok wściekałam się, ilekroć na moje „ojciec” odpowiadał „tak Aligatorku?”. Oskarżałam go nawet, że mnie przezywa przez krzywy zgryz, ale zaczęłam nosić aparat, a przewieszko zostało. Oczywiście przejęła je reszta rodziny. Odwiedzające mnie koleżanki usłyszały rozmowę z dziadkiem i zaraziły przewieszkiem klasę, a potem resztę szkoły i już na wieki zostałam Aligatorem. Pomógł też fakt, że mój ulubiony kolor, to zielony i nosiłam się w jego gadzim odcieniu. Mam lekko rude

włosy, więc zielony mi pasuje. A skoro już wszyscy wołali na mnie Aligator nie było sensu prostować i się wściekać. Zaakceptowałam przezwisko mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zerwałam z dziecinnym udawaniem dorosłych.

Kiedy skończyła się najbardziej przytulna część rodzinnego powitania, ruszyliśmy do samochodu. Auto prowadziła babcia, tak samo jak w drodze na lotnisko. Już przed wyjściem z domu zabrała kluczyki do wiekowego Suzuki Vitara – które nazywaliśmy pieśczośliwie Zuzą – i wyciągając wskazujący palec w kierunku dziadka ogłosiła: – Nie mam nerwów na twoje nerwy za kierownicą, ja prowadzę. – Dziadek nie był szczęśliwy, kupiony ćwierć wieku temu terenowy kurdupel był jego oczkiem w głowie. Wracając do tematu – jechaliśmy przez miasto, ojciec opowiadał o kościele pod Kijowem, który odnawiał przez ostatnie tygodnie. Był specjalistą od konserwacji dzieł sztuki, ponoć dosyć wszechstronnym, bo zajmował się zarówno rzeźbą jak i malarstwem. Często ratował rozpadające się wnętrza świątyń i pałaców na polskich Kresach. Dbał też o zrujnowane polskie cmentarze. Z tego co rozumiałam, jeździł tam, gdzie trzeba było ratować jakąś pozostałość polskiej kultury i zabierał się za jej renowację albo pilnował wykonawców robót remontowych. Kiedy pękała zabytkowa mozaika, sypały się elementy wykończenia wnętrz, blakły barwy jakiegoś ściennego malowidła albo płaskorzeźbie odpadał nos, wzywano ojca. Czasem znikał na kilka dni, bo trzeba było tylko uzupełnić niewielkie ubytki, ale często robota w terenie pochłaniała go na długie tygodnie, podczas których musiał organizować całą ekipę podobnych sobie specjalistów. Bywało, że jechał na Litwę, Białoruś czy Ukrainę zaledwie na kilka dni, wtedy zdarzało się, że zabierał mnie ze sobą. W ten sposób zwiedziłam na Wschodzie mnóstwo wsi i małych miasteczek, ale przez duże miasta tylko przejeżdżałam. Mińsk widziałam z okna samolotu, Lwów oglądałam zimową nocą, z tylnego miejsca samochodu, a o Wilnie tylko marzyłam, bo akurat trafiłam na ojcowską wyprawę do Trok. Oczywiście nie miałam co narzekać, większość moich rówieśników nawet nie śniła o wyprawie do Berdyczowa, Nieświeża czy Ejszyszek. Chwalili się zbieraniem muszelek na malezyjskiej plaży i szczęki im opadały, kiedy mówiłam o nocnej wyprawie na cmentarz w Stanisławowie, czy zachodach słońca nad Prypecią.

Przez całą drogę do domu nie wspominałam o kopercie i nie naciskałam, żeby wyjawiał mi obiecaną niespodziankę. Oczywiście było, że chodzi o służbową podróż, w którą może zabrać córkę. Siedział obok babci, a ja za nią, więc mogłam mu się bez skrępowania przyglądać. Niby był wesoły, niby ożywiony spotkaniem z bliskimi, ale co jakiś czas się rozglądał. Wydawało mi się, że patrzy do tyłu na jadące za nami pojazdy. Robił to już pod lotniskiem. Też obejrzałam się kilka razy. Czerwony fiat na rejestracji z Białegostoku, niebieska skoda z Warszawy, blade mercedes na niemieckich blachach, i tak dalej. Potem krótka rozmowa i znowu do tyłu. Zielone nie wiem co, renault zdaje się, że z Krakowa, miejska taksówka. Oglądałam się wielokrotnie i za każdym razem widziałam zupełnie inne samochody.

Domową część powitania zaczęliśmy od obserwowania jak je rosół. Dopiero potem babcia pozwoliła mi wyjąć z walizki prezenty. Dziadkowi dostał się jakiś cudaczny kołowrotek, wędkarstwo było sportem, o którym lubił opowiadać, ale uprawiał go tylko raz do roku, podczas rodzinnego wyjazdu na Mazury. Babcia otrzymała śliczną bluzkę w ukraińskie wzorki i korale. Miała ich już sporo, wszystkie od ojca, ale zawsze pokazywała, że się z nich bardzo cieszy. Potem przyszła kolej na mnie. Rozerwałam kolorowy papier i zobaczyłam czapkę baseballową z wyhaftowanym nad daszkiem kreskówkowym krokodylem.

– Giena! – Chyba za głośno wrzasnęłam, bo aż dziadek podskoczył upuszczając swoją nową zabawkę. – Dziękuję! Nawet o tym nie marzyłam. Ale ty wiesz, jak go kocham! – Wiedział. Jeszcze nie znałam rosyjskiej bajki o Gieni i uszatym Kiwaczku, kiedy dostałam od ojca pluszowego gada w kapeluszu. W dzieciństwie był moją ulubioną zabawką. Dopiero potem odkryłam serię filmów, ale animowany przyjaciel Kiwaczka miał zupełnie inny charakter niż wyobrażałam sobie podczas dziecięcych zabaw. Miałam sentyment do tej postaci, a nie bajki, której była bohaterem. Mówiłam nawet, że mój Giena jest aktorem, który zagrał w słynnej kreskówce, dlatego tak się różnią. A teraz miałam czapkę z jego wizerunkiem. – Piękna!

– Taka jak lubisz, zielona.

– To akwamaryna.

– No właśnie się zastanawiałem czy nie niebieska.

Spojrzałam na niego rozbawiona. Jak zwykle nie było sensu rozmawiać z ojcem o kolorach. Znał tylko podstawową gamę i gubił się w odcieniach, jak chyba każdy facet. Nie wiem jak to możliwe, że pracował przy odnawianiu dzieł sztuki.

– A drugi prezent to wakacje. Wyjeżdżamy na całe dwa tygodnie.

– Ale gdzie? – miałam cichą nadzieję, że w końcu zabierze mnie na wyprawę do jakiegoś dużego miasta, że będzie miał jakieś sprawy do załatwienia w Wilnie, Lwowie czy Rydze.

– Gdzie zechcesz. Jak będziemy gotowi pójdziemy do biura podróży i wybierzemy jakieś last minute. Jak normalni ludzie, pojedziemy leżeć plackiem na plaży. Opalanie, pływanie, rowerki wodne i te sprawy. Do Chorwacji, może Egipt? Sama wybierzesz.

Przyznaję, że na chwilę mnie zatkało. Spodziewałam się przygody, wyprawy gdzieś na Wschód, szlakiem przedwojennych granic, polskich zamków czy też nieznanymi wsi i miasteczek. A tu tropiki? Natychmiast przypomniałam sobie to nieprzyjemne uczucie, kiedy olejek na mojej skórze pod wpływem słonej wody zamieniał się w kleistego gluta. Faj! Dwa razy byłam na takich wakacjach z dziadkami i, co tu mówić, wiało trochę nudą. W oczach ojca wyczytałam, że moja mina może być nieciekawa, więc natychmiast przywróciłam na twarzy uśmiech. Przecież to miały być moje wymarzone wakacje z ojcem, więc nieważne, dokąd pojedziemy. Pewnie potrzebował odpoczynku gdzieś na południu, z daleka od – dla niego przecież codziennych – kresowych przygód. Szybko cmoknęłam ojca w czoło, żeby ukryć złe wrażenie po jego radosnej nowinie. Uśmiechnął się, i maskując ziewanie zasłonił dłonią usta.

– No dobra, pora na poobiednią sjestę synek. Widzę, że podróż dała ci w kość. Idź się odświeżyć, a do powitalnych atrakcji wrócimy wieczorem. – Babcia była bardzo stanowcza i poraziła mnie piorunem z oczu, kiedy zauważyła, że chcę coś jeszcze powiedzieć. – Alina zmywa gary!

– Zmywam? Przecież mamy zmywarkę.

– Alisiu. Do zmywarki samo się nie wsadzi.

Zaniosłam do kuchni talerz i szklankę po ojcu. Niewiele z tym było roboty. Nastawiłam zmywarkę, która była już zapełniona po naszym wcześniejszym

obiedzie. Wzięłam jabłko. Usiadłam na parapecie. Odchyliłam firankę i wyjrzałam przez okno. Na małym parkingu tuż obok podwórkowej palarni stały trzy samochody. Jednym z nich był biały mercedes. Na tablicy rejestracyjnej miał „D” na niebieskim tle. Przerwałam gryzienie owocu. To było to samo auto, które widziałam w drodze z lotniska. Zerwałam się na równe nogi i pobiegłam do pokoju ojca, żeby opowiedzieć mu o niepokojącym odkryciu. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że śpi w ubraniu. Tylko buty zdjął i postawił obok wąskiego tapczanu. Nawet nie rozpakował do końca walizki. Przez chwilę myślałam o wyjątkowym okrucieństwie idącym za budzeniem skonanego staruszka, po czym stwierdziłam, że jestem na swoim terenie i sama pójdę sprawdzić prześladowców. Kiedy wyszłam z klatki miejsce, na którym wcześniej stało niemieckie auto, było już puste. Wróciłam do domu wmawiając sobie, że widziany dwa razy jednego popołudnia biały mercedes to czysty przypadek. Wcale nas nie śledził.

Weszłam do kuchni i tylko zerkałam na uchylone drzwi do jego pokoju. Miałam mu tyle do opowiedzenia. Chciałam przekazać szczegóły dotyczące nie tylko wydarzeń ostatnich godzin, ale i dni. Do tego tajemnicza przesyłka czekała na otwarcie. A on spał. Wiem, miał ciężki dzień. Zasłużył na odpoczynek, ale ja tyle na niego czekałam. Mówią, że jak kocha to poczeka, więc zaczęłam szukać czegoś dla zabicia czasu. Babcia z dziadkiem oglądali telewizję w dużym pokoju. Przysiadłam się do nich, ale reakcja specjalistów na gospodarcze zespolenie... Bla, bla, bla. No, nie potrafiłam wykrzesać z siebie nawet iskry zainteresowania. Zrobiłam sobie herbatę. Zaczęłam czytać książkę, na której nie mogłam się skupić, bo co chwilę zerkałam za okno. Sprawdzałam czy biały mercedes jednak nie wrócił. Kiedy już wszystkie miejsca na parkingu były zajęte poszłam sprawdzić co u ojca.

– Śpisz? – wyszeptalam, a on odpowiedział krótkim chrapnięciem. Wzięłam na spacer małe rude skrzyżowanie jamnika z pekińczykiem. Weterynarz nazywał je psem, sąsiedzi słodką paskudą, a my Wiewiórem lub Długim Ozorem, bo lubił sobie polizać różne świństwa na spacerze.

Nie było mnie godzinę. Kiedy wróciłam ojciec siedział już w kuchni i mieszał łyżeczką w szklance z kawą. Babcia stała nad nim i tłumaczyła jak

niezdrowe jest spożywanie kofeiny w nadmiarze, a szczególnie pod wieczór i to jeszcze sypanej. Wzięłam z lodówki kopertę i usiadłam po drugiej stronie stołu. Podsunęłam przesyłkę pod ojcowski nos, ale wzrok mu się zawiesił na zawartości szklanki. Widać było, że nie do końca się jeszcze obudził.

– Odebrałam to dzisiaj z poczty.

Zamrugał oczami i wrócił do rzeczywistości. Przeczytał adres nadawcy i zaraz rozerwał kopertę. W środku była szara tekturowa teczka. Wiedziałam! Nie była używana, ale wyglądała tak, jakby wyprodukowano ją jakieś 50 lat temu i odłożono do sterylnego magazynu, w którym zatrzymywał się upływ czasu. Odsupłał sznurek i wyciągnął ze środka kartki z kserokopią odręcznie pisanego listu. Kopia była kolorowa, więc można było zobaczyć lekko żółty papier, pokryty linijkami pochylonego, ale wyraźnie napisanego tekstu.

– Co to? – Nie mogłam już znieść tego napięcia.

– Cii! – Przyłożył palec wskazujący do ust i nawet nie odrywając wzroku od kartek dodał: – Daj mi chwilę, przeczytam.

Nawet babcia zainteresowała się całą sprawą i opierając się wygodnie o kuchenny blat czekała, aż jej pierworodny skończy lekturę pięciu stron maszynopisu. Po chwili zaczęła chuchać na gorącą herbatę, więc tym razem ja na nią spojrzałam i położyłam na ustach wskazujący palec. Powiedziała nieme przepraszam i delikatnie odstawiła filiżankę.

– A tu co tak cicho? Spotkanie modlitewne robi... – dziadka zamroziło w drzwiach, kiedy babcia wystrzeliła z oczu wycelowane w niego promienie śmierci. Zrozumiał, że trzeba czekać. Ostatni dołączył do nas Wiewiór. Wszedł do kuchni, usiadł obok krzesła ojca i też wpatrywał się w jego twarz. Uznał widać, że skoro wszyscy patrzemy akurat na niego, to pewnie za chwilę wyciągnie pęto kiełbasy i zacznie obdzielać domowników.

Kiedy tylko mój rodziciel skończył czytać zerknął na nas.

– Dajcie mi tylko chwilkę.

Wziął do ręki ostatnią stronę listu, ta nie była już kopią starego dokumentu a napisaną niebieskim długopisem notatką skierowaną do ojca. Na górze udało mi się zobaczyć wykaligrafowane „Marku” – a tak ma na imię mój szanowny rodziciel. Sięgnął po telefon i odszukał jakiś numer, po czym nacisnął zieloną słuchawkę.

– Cześć, masz minutkę?

– ... – słyszeliśmy tylko odrobinę piskliwy męski głos po drugiej stronie połączenia. Żadnych konkretnych słów.

– Potrzebuję namiaru na rodzinę Witolda Talmonta. – Spojrzał na ostatnią stronę listu. – Myślę, że w 1959 r. wyjechał z Wilna. Rzadkie nazwisko, łatwo znajdziesz.

– ...

– Tak! Dzięki, czekam.

Odłożył telefon i popatrzył na nas z tym swoim tajemniczym uśmiechem.

– To, co tu mamy, to list od pewnego Wilniuka, do jego szwajcarskiego przyjaciela. Napisany tuż po wojnie... – W tym momencie zadzwonił telefon.

– Tak szybko?

– ...

– To prześlij mi na maila adres. Dzięki wielkie. Jakbyś coś jeszcze miał to dawaj znać.

Rozłączył się i tym razem spojrzał mi prosto w oczy.

– Aligator! Co powiesz na małą zmianę planów? Zanim ruszymy do ciepłych krajów pojedziemy na dzień, dwa do Gdańska. Zahartujemy się w polskim morzu zanim skoczymy do Adriatyku.

– Tak, nie ma sprawy, możemy jechać, ale powiedz co tam jest. Co przeczytałeś? Jaki Wilniuk? Jaki Szwajcar? Dlaczego tak nagle do Gdańska?

– Dlaczego? Bo przed wojną, kiedy ten nasz rodak z Wilna był jeszcze dzieciakiem, dokonał bardzo ciekawego znaleziska, o którym nie powiedział prawie nikomu. Tylko jednemu znajomemu, któremu przyznał się do niego w tym właśnie liście. Natomiast mój znajomy, kolega z muzeum w szwajcarskim Arbon, znalazł w archiwum część ich korespondencji i trop tego... Jak by to nazwać? Artefaktu. Ich korespondencja ucina się w 1959 roku. W tym samym roku, kiedy kończy się druga fala repatriacji Polaków z Litwy do kraju...

– No tak! Wtedy do władzy u sowietów doszedł Chruszczow i znowu zaczęły się przesiedlenia. – Dziadek bardzo się ucieszył, że może dorzucić swoje trzy grosze.

– Właśnie. Uznałem więc, że to bardzo prawdopodobne, że nasz Witek, znaczy się już Witold Talmont, wrócił do Polski i przestał pisać do szwajcarskiego przyjaciela. Może był zajęty układaniem sobie życia na nowo?

– A może coś mu się stało w tym 59. roku? – też pozwoliłam sobie na małe wtrącenie.

– Może, ale zadzwoniłem do kogoś, kto ma dostęp do różnych baz danych, żeby mi tego Witolda sprawdził. I co się okazało? Że faktycznie w 1959 wyemigrował do Polski i zamieszkał w Gdańsku. Dostałem jego ostatni adres, mieszkał pod nim jeszcze na początku lat 90. Może jego rodzina coś wie o znalezisku dziadka, czy też już pradziadka. On miały dzisiaj około setki, więc najbardziej prawdopodobne, że nie ma go już wśród żywych. No nic, dobrze by było nawiązać kontakt z jego spadkobiercami i to nie przez telefon, a osobiście. Pojedziemy Aligator, pomożesz mi ich zagadać. Coś razem może wyciągniemy...

– Ale co to jest?

– Jakie znalezisko? – dziadek z babcią wchodzili sobie w słowo.

– Szczegóły! – Ścisnęłam rękaw ojcowskiej koszuli. – Więcej szczegółów!

– To już sobie doczytacie, a resztę opowiem jak wrzucę pranie. Jutro jedziemy, a ja mam całą walizę brudów i ani jednej pary czystych skarpetek.



PÓŁNOC – PÓŁNOCNY WSCHÓD

Rano wstaliśmy jeszcze przed dziadkami. Zapakowaliśmy Zuzę ubraniami na dwa tygodnie, bo ojciec zdecydował, że kiedy już dowiemy się czegoś od rodziny Witka, to możemy wylecieć na nasze wakacje z Trójmiasta. Naciągnęłam swoją nową czapkę na głowę zajęłam miejsce pasażera.

– Nie będzie ci za gorąco w skórze? – zapytał ojciec przekręcając klucz w stacyjce.

– Ramonesce. – Poprawiłam wpięty w klapę znaczek z portretem Davida Bowie. – Jedziemy na wyprawę, a to są elementy charakterystyczne, o których posiadanie dba każdy szanujący się poszukiwacz przygód.

– Jak ten kapelusz, kurtka i torebka Indiany Jonesa?

– Torebka?

– No miał takie coś przewieszane przez ramię.

– To była torba na artefakty, ja mam plecak. – Wskazałam leżący na tylnym siedzeniu plecak taktyczny, taki z mnóstwem kieszeni i schowków.

– To ja będę nosił charakterystyczne różowe okulary. – Sięgnął do półki pod radiem i wyciągnął z niej babcine okulary przeciwsłoneczne w różowych oprawkach. Aż trzasnęły, kiedy zakładał je na nos. Ubawił mnie, choć wiedziałam, że babci wcale nie będzie do śmiechu. Okulary były trochę za małe

i kiedy byliśmy na granicy Warszawy musiałam przeszukać torbę podróżną i wyciągnąć z futerału jego Ray-Bany.

Dzień wcześniej, tłocząc się nad wąskim kuchennym stołem, przeczytałam z dziadkami historię wyniesienia z wileńskiej katedry tajemniczego klucza. W liście datowanym na 1952 rok i pisanym do jakiegoś Alfreda, Witold szczegółowo opisał swoją nielegalną wizytę w remontowanej świątyni, ale nie wspomniał co stało się później z zabytkowym przedmiotem. Gdzie go ukrył? Czy oddał do muzeum? Ojciec oczywiście nie opowiedział nam wszystkiego i do tego nie zostawił w kuchni listu od pracownika szwajcarskiego muzeum. Kiedy już leżałam w łóżku, przyszedł do mojego pokoju i szeptem wyjaśnił skąd ta cała konspiracja.

– I tak już za dużo powiedziałem. Wiesz, jak to jest, kiedy Sławo się zapali. Jak słyszy coś o starym kluczu, to zaraz widzi setki zamków, które można nim otworzyć. Kufry, sejfy i bursztynowe komnaty. Zaraz będzie chciał ruszać z nami...

– Co oczywiście nie jest problemem?

– Nie jest, ale babcia go nie puści. Po pierwsze mają za tydzień rocznicę ślubu i wiem, że planuje dla niego niespodziankę, jakiś weekendowy wypad w góry. Po drugie, gdyby pojechali z nami, bo przecież babci byśmy nie zostawili, zrobiliby się rodzinny wypad. Nie skoczylibyśmy tak szybko do Gdańska. Znasz go, tutaj trzeba stanąć, bo zamek nawiedzony przez księżną łowicką, tam jakiś murek, przy którym Poniatowski przysiadł i grzebał patykiem w ziemi. W każdej dziurze po drodze zaczynałaby się nowa przygoda. A po trzecie, on nie może się denerwować...

– Żółte tabletki na serce.

– Właśnie. Bierze leki i musi się trzymać z daleka od atrakcji podnoszących ciśnienie. Zrobimy sobie z nimi wypad na jesieni. A resztę opowiem ci jutro, po drodze.

Historia Witka, który w 1931 roku wyciągnął z grobu w wileńskiej katedrze tajemniczy klucz, działała mi na wyobraźnię tak, że pół nocy nie spałam. Wyobraziłam sobie całą tę scenę w szczegółach. Znałam uczucie towarzyszące chłopakowi podczas śledzenia wuja i zagładania do krypty. Potrafiłam zrozumieć kierującą nim ciekawość. Natomiast nie za bardzo wiedziałam, dlaczego wyniósł

klucz, a potem nikomu nie powiedział, że go ma. Szczególnie po tym jak – pisał o tym w liście do tajemniczego Szwajcara – kilka dni później wuj powiedział mu, że w tym miejscu krypty pochowano przypuszczalnie Barbarę Radziwiłłównę. Serce mocniej mi zabiło, kiedy pojawiło się imię i nazwisko żony Zygmunta II Augusta. Zaczęłam się nią interesować kilka lat temu, kiedy zobaczyłam w telewizji film z Jadwigą Smosarską grającą królową polski. Jakie to było widowisko, nie mogłam uwierzyć, że już w 1936 roku Polacy robili tak rozbuchane produkcje. Od razu połączyłam jej biografię i film z lat 80., ale Anna Dymna już mniej mi pasowała do roli Barbary. W każdym razie bezsenność tej nocy zawdzięczałam podjętym krokom badawczym. Wygooglowałam wszystko co się dało na temat wileńskich odkryć sprzed dziewięćdziesięciu lat – serca Władysława IV Wazy oraz ziemskich pozostałości Aleksandra Jagiellończyka, Elżbiety Habsburżanki i Barbary Radziwiłłówny, dwóch żon Zygmunta II Augusta.

– Mózg odpoczął? Przespałaś się z tym tematem? – Ojciec poprawił okulary na nosie po czym energicznie zmienił pas i wyprzedził wlokącą się ciężarówkę. – To co, tak na świeżo, myślisz o tym witkowym kluczu?

– No, tajemnica tajemnic. Nie dość, że mamy niezwykły przedmiot znaleziony w królewskiej krypcie, to jeszcze list sprzed lat i... skąd ten Szwajcar w ogóle?

– To Alfred Rietmann. Ciekawa postać. Pracował w szwajcarskim miasteczku Arbon dla „Saurera”, firmy produkującej autobusy. No i ta firma wysłała go do całkiem obcego kraju, do miasta, w którym ludzie mówili w nieznanym mu języku, żeby prowadził zajezdnię autobusową. Dzisiaj jest chyba łatwiej rzucić wszystko i wyjechać w nieznanne, bo masz Internet, bez problemu utrzymujesz kontakt z bliskimi. Ale wtedy? Inny język, zwyczaj...

– Kiedy to było?

– Zdaje się, że w 1937. On miał zaledwie 24 lata i nie dość, że wylądował w obcej sobie Polsce, to jeszcze na jej kresach, w Wilnie, mieście oddalonym od centrum kraju. Ale wyobraź sobie, że on się tam świetnie poczuł. Zaprzyjaźnił się z miejscowymi, ba nawet pokochał miasto i w ogóle Wileńszczyznę. Dużo podróżował po okolicach, a do tego robił przepiękne zdjęcia. Ocalało sporo robionych przez niego fotografii i pamiętniki. Są tam niesamowite wspomnienia z ostatnich lat II RP i początku wojny.

– I coś w nich jest o Witku, kluczu czy Barbarze Radziwiłównie?

– Nie, ale na spotkaniu z okazji wystawy tych jego fotografii poznałem pracownika muzeum w Arbon. Świetnie nam się rozmawiało. Okazało się, że w Szwajcarii zachowała się jeszcze korespondencja Rietmanna z przyjaciółmi z Polski. Obiecał mi, że jeśli znajdzie w nich coś ciekawego na temat historii i zabytków Wilna, to da mi znać. No i dał.

– Ale to było wszystko? Więcej do siebie z Witkiem nie pisali? W ogóle skąd oni się mogli znać?

– Z listu widać, że Witek był bardzo otwartym człowiekiem. Zresztą, kiedy nasz Szwajcar przybył do Wilna chłopak musiał być już nastolatkiem, miał z 17 czy 18 lat. Ludzie ciekawi świata lgnęli do siebie, szczególnie w mieście oddalonym od centrum kraju. Obcokrajowiec i młody chłopak obracający się wśród wykształconych ludzi, mogli gdzieś o siebie towarzysko zahaczyć. Uznajmy, że poznali się w okolicach 37. czy 38. roku. Szwajcar wyjechał z okupowanej Polski w 1940 roku, a po wojnie zaczęli do siebie pisać. Ten mój znajomy z Arbon napisał, że pierwszy list datowany jest na 1946 rok, a ostatni, jak mówiłem, to 59. Wspominał, że to tylko fragment ich korespondencji, w sumie dziewięć listów i to tylko te od Witolda do Alfreda. Tylko w jednym była mowa o jakichkolwiek zabytkach.

Widać Witek pomyślał, że minęło sporo lat, leżała mu ta sprawa na sumieniu i się zwierzył. Ale nic już więcej o kluczu nie napisał, przynajmniej nie w tym liście. Następne nie wracają już do tej sprawy. Może coś o niej pisali, ale jak mówiłem, nie wszystko ocalało.

– I teraz masz nadzieję, że znajdziemy część korespondencji pisaną w Szwajcarii?

– Nie tylko. Chcę się dowiedzieć czegoś o Witku, czegokolwiek co pozwoli ustalić, gdzie zniknął klucz.

– I jakie drzwi otwiera?

– Być może? Pamiętaj, że to może być nic nieznacząca błahostka...

– Z którą Barbara kazała się pochować? Ojczulku, chyba sam w to nie wierzysz? Zakładam się, że już przypuszczasz co to może być?

– Być może. – Uśmiechnął się cwaniacko.

– No powiedz. Pewnie już wczoraj się domyślałeś.

– Coś związanego ze Świętym Kazimierzem. Na kluczu jest lilia, a jego główka to dwie skrzyżowane buławy, herb Jagiellonów. Z nimi najczęściej był pokazywany. A poza tym...

– Pewnie „Omni die dic Mariae”?

– Zapamiętałaś?

– Pewnie. – Łatwo mi to nie przyszło, przez pół nocy powtarzałam łacińską sentencję. – Ale nie wiem co to jest? Znaczy się sprawdziłam, że to po polsku „Każdego dnia sław Maryję”, tytuł jakiejś pieśni. Co to ma wspólnego z Kazimierzem?

– To tytuł hymnu napisanego przez Świętego Bernarda. Ponoć, kiedy otwarto grób świętego Kazimierza, to znaleziono w nim nienaruszone zwłoki i pergamin z jego ulubionym hymnem, właśnie „Omni die dic Mariae”.

– A kim dla Barbary był Kazimierz? Byli spokrewnieni?

– Był... bratem jej teścia, Zygmunta Starego.

– Czyli pewnie dobrze się nie znali?

– W ogóle, on umarł bardzo młodo, trzydzieści kilka lat przed jej narodzinami.

– I nic więcej, żadnego tropu? Poza kluczem...

– Właściwie tylko opisem klucza należącego do świętego pochowanego w tej samej katedrze co Barbara Radziwiłłówna.

– Wiesz? Jednak coś jeszcze mamy. – Staralam się zrobić tajemniczą minę.

– Co?

– To, że wszystkie drogi prowadzą do Wilna.

W ten sposób wywołałam lawinę. Ojciec zalał mnie faktami. Dowiedziałam się, że Uniwersytet Wileński założył Stefan Batory, a Święty Kazimierz jest patronem Polski oraz Litwy, że był synem Kazimierza IV Andrzeja Jagiellończyka, wielkiego księcia litewskiego i króla Polski. Zarysował wspólną historię dwóch narodów, a potem zaczął się jękać na temat naszych trudnych losów w XX wieku. Powiedział, że dzisiaj mniejszość Polska na Litwie, to głównie mieszkańcy Wilna i jego okolic, Solecznik oraz Trok, że jest ich ponad 160 tysięcy. Pochwalił się przyjaciółmi, wspaniałymi Polakami z Wilna, do których miał nadzieję kiedyś mnie zabrać. Jedna z jego przyjaciółek mieszkała ponoć w przepięknej okolicy, w domu z widokiem na Wilię. A Wilia

to rzeka przecinająca Wilno, o której, jak mnie zapewnił, powinnam już czytać w Konradzie Wallenrodzie. Zachwalał cepeliny – takie kartacze z mięsem, które przecież jadłam, kiedy byłam z nim w Trokach. Rozpływał się nad pięknem litewskiej stolicy, jej placami i kościołami, z których, aż „wylewają się historyczne cudeńka” – serio, naprawdę tak je opisał.

Byliśmy pod zjazdem do miejscowości Miłomłyn, za Ostródą i właśnie, kiedy pomyślałam jak piękna to nazwa – do ojca zadzwonił telefon. Włożył do ucha słuchawkę – samochód był tak antyczny, że nie miał zestawu głośno-mówiącego – i przez chwilę mruczał potwierdzająco. Potem rzucił: – Dzięki! – i się rozłączył. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się tajemniczo.

– No, co?

– On żyje.

– Kto?

– Nasz Witek. Pan Witold. Dziarski staruszek, ponad stówka na karku. Mieszka w Gdańsku z rodziną. Pod tym samym adresem, który wczoraj dostałem.

*

Ustaliliśmy, że przed wizytą u Witka staniemy gdzieś w gdańskim śródmieściu i zjemy obiad. Usiedliśmy w restauracyjnym ogródku, tak, żeby mieć widok na Motławę. Zjedliśmy oczywiście rybę, jak zapewniał kelner – świeżą. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Warszawy ona jeszcze pływała w Bałtyku.

– Jak to się stało, że Witold trafił akurat do Gdańska? – Wzrok zawiesił mi się na przepływającym tramwaju wodnym, ale myśli błędziły po życiorysie Wilniuka.

– Po wojnie, kiedy na naszych kresach wschodnich było już ZSRR, sowieci wzięli się za przesiedlanie naszej ludności. A przenoszono Polaków najczęściej na ziemię odzyskane od Niemiec, po linii równoleżników. Właśnie tak większość naszych z Wileńszczyzny przeniosła się w okolice Gdańska i Olsztyna, na Pomorze i do dawnych Prus Wschodnich. A z terenów dzisiejszej Ukrainy przewożono Polaków najczęściej na Górny i Dolny Śląsk. Ze Lwowa wywożono całe zespoły pracowników naukowych Politechniki Lwowskiej czy Uniwersytetu Jana Kazimierza. Tak na przykład twoja prababka, rodowita lwowianka, zamieszkała we Wrocławiu.

– Mówisz, że to było zaraz po wojnie, a Witek wyjechał pod koniec lat 50.

– Wtedy była druga fala przesiedleń. Stalin umarł i przyszła „odwilż”. Zaczęło się od tego, że Rosjanie wypuścili z łagrów więźniów politycznych i chcieli, żeby oni wracali do swoich krajów. Potem wyjechać mogli ci, którzy potrafili udowodnić, że przed wrześniem 39. mieli polskie obywatelstwo...

– To musiało być trudne, oni przecież już życie sobie zaczęli układać, rodziny mieli.

– Mogli zabrać najbliższą rodzinę, dzieci, żony, mężów. Ale wcale nie było łatwo wyjechać. Ludzie często już nie mieli dokumentów, poza tym władze utrudniały repatriację. Dlatego tak wielu Polaków zostało na Wschodzie. Ale wtedy przyjechał na przykład Czesław Niemen, który ponoć uciekał do Polski przed wcieleniem do Armii Radzieckiej. A nasz medalista olimpijski, lekkoatleta, Kozakiewicz? Urodził się w podwileńskich Solecznikach.

– Ten co zrobił słynny gest na olimpiadzie w Moskwie?

– Za to, że pokazał sowietom, że się mają wypchać chcieli mu zabrać złoty medal. Ale dosyć pogaduszek. Zwijamy się.

– Czekaj! Tam za rogiem widziałam sklep spożywczy. Nie możemy iść do Witka z pustymi rękami, trzeba jakąś bombonierkę kupić, czy coś.

– Dobra. – Sięgnął do portfela i podał mi 100 złotych. – Ty idziesz po bomboniere, a ja jeszcze małą kawkę strzelę.

– To dla mnie herbatę. I weź na wynos, bo faktycznie późno się już robi.

W sklepie za rogiem nie mieli bombonierek, w ogóle żadnych wykwiintnie opakowanych słodyczy, więc poszłam szukać gdzie indziej. Za kolejnym rogiem odkryłam większy market. Znalazłam wielkie pudełko z czekoladkami, które zamiast najczęściej spotykanych na bombonierkach kwiatów miało piękną grafikę w stylu retro. Rumiana na policzkach pani przyjmowała na nim piękną różę od uroczego absztyfikanta. Ktoś wykorzystał zdjęcie z przedwojennej pocztówki. Kolejka do kasy była monstrualna, ale ze względu na urodę czekoladowego opakowania zdecydowałam się w niej stanąć. Zapatrzyłam się na auta przejeżdżające po ulicy za sklepową szybą. Nagle dostrzegłam białego mercedesa. W głowie włączył mi się dzwonek alarmowy. Tyle się działo, że zapomniałam opowiedzieć ojcu o śledzącym nas samochodzie. Czy to ten sam przejechał przed chwilą gdańską ulicą? Nie miałam pewności. Nie widziałam

rejestracji. Model był dosyć popularny, a biel karoserii od kilku sezonów modna, więc był to raczej zbieg okoliczności. Nie zmieniało to faktu, że trzeba poinformować ojca o prześladowcy. Nagle tempo przesuwania się kolejki zaczęło mi ciążyć. Rozważałam nawet jej porzucenie i wyjście ze sklepu bez bombonierki, ale wygrała logika. Wypadało kupić podarek dla gospodarza, a z podzieleniem się podejrzeniami i tak zwlekałam już kilkanaście godzin.

Zapłaciłam i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku restauracji. Kiedy wyszłam zza rogu od naszego stolika dzieliło mnie jeszcze ze sto metrów. Od razu zobaczyłam, że siedzący przy nim ojciec ma towarzystwo. Pochylił się nad nim łysiejący chuderlak w marynarce z brązowej skóry. Jeden z tych, którzy nigdy nie zaakceptowali braku włosów na czubku głowy i próbują go przykryć ronsnącym po bokach naddatkiem. Zawiał wiatr i wyżelowana pożyczka uniosła się niczym żagiel, odsłaniając skrytą pod falą pustynię. Automatycznie nadałam mu ksywkę Zefirek. Mężczyzna opierał się o ogrodzenie restauracyjnego ogródka i szeptał coś do ojca, który wcale nie miał zadowolonej miny. Mój rodziciel należał do osób, które nie panowały nad mimiką i gdy do głosu dochodziły emocje, po wyrazie twarzy od razu było widać co czują. Tym razem krzywił się jak po zjedzeniu cytryny. Wyraźnie nie przepadał za rozmówcą. Kiedy zauważył, że dziarskim krokiem maszeruję w ich kierunku powiedział do typka jedno słowo. Zefirek zerknął na mnie. Przejechał dłonią po wzburzonych włosach, odwrócił się i włączył w nurt idących nabrzeżem ludzi. Całkowicie wtopił się w tłum.

Dotarłam do ogródka. Ojciec uśmiechnął się widząc bombonierkę.

– Większej nie znalazłaś?

– Kto to był? – Czułam, że coś tu nie gra.

– Turysta. Pytał o drogę do Muzeum Morskiego.

– Jesteś pewien? – dałam mu szansę.

– Nieprzyjemny typek. Chciał jeszcze wyciągnąć papierosa. Upierdus jakiś.

Od razu wiedziałam, że to ściema. Ojciec coś ukrywał. Ten jego uśmiech nagle zaczął mi się wydawać sztuczny, wymuszony. – „Tak?” – pomyślałam. – „Mamy przed sobą tajemnice? Więc jeszcze się wstrzymam z informowaniem o białym mercedesie”.

Mimo prób zmiany wyrazu twarzy nie potrafiłam ukryć złości. Usiedliśmy w samochodzie, ojciec wyjął klucze. Już miał zapalić silnik, ale zapytał:

- Aligator, co jest? Dąsas się, a ja nie wiem o co.
- Naprawdę nie znasz tego człowieka z pożyczką?
- Nie, nawet nie zauważyłem, że włosy zaczesuje.

– No, jak powiał zefirek, to mu się trochę odkleiły. – Nie mogłam się na niego długo gniewać. Był moim ojcem, musiałam mu uwierzyć, nawet jeśli miałam jakieś wątpliwości. Trwała nasza przygoda, byłam ultraczujna i widocznie źle odczytałam całą sytuację na ulicy. Własnego staruszka posądziłam o kręcenie intrygi.

Wjechaliśmy na ulicę Słoneczną, położoną wśród oliwskich wzgórz, w chyba najpiękniejszej dzielnicy Gdańska. Samochód podskakiwał na kocich łbach. Minęliśmy Podhalańską i faktycznie, poczułam się trochę jak gdzieś w górach, w jakimś małym uzdrowisku. Zresztą jadąc tu mijaliśmy wzgórze, krajobraz, którego nie spodziewałam się nad morzem. Stare wille, jak gdzieś na Dolnym Śląsku, w Sudetach. Czuć było ponad 800 lat historii Oliwy, chociaż ojciec zaraz uzupełnił moją wiedzę mówiąc, że tak dokładnie, to nie wiadomo, od kiedy mieszkają tu ludzie. Archeolodzy dokopali się do śladów zamieszkania z wczesnej epoki żelaza.

Drzwi starego poniemieckiego domu otworzyła nam bardzo serdeczna kobieta. Trzydziestokilkuletnia, zadbana, przypominała mi trochę bibliotekarkę, bo nosiła takie małe okularki, a z tyłu jej głowy sterczał trochę postarzający kok. Miałam obawy czy uwierzy, że jesteśmy poszukiwaczami tajemniczego klucza. W ogóle zastanawiałam się czy mówić jej całą prawdę, ale ojciec od razu wyskoczył ze szczegółami. Pokazał list, obiecał nawet, że zdoła będzie jak najlepszy skan oryginału i prześle wnuczce Witka. Kobieta była już drugim pokoleniem Talmontów urodzonym w Gdańsku.

Do przedstawienia naszej historii doszło w przedpokoju. Potem gospodyni, przepraszając, że zapomniała o swoich obowiązkach wobec gości, zaprosiła nas do salonu. Pokój był czymś na kształt rodzinnego muzeum. Na kamiennym kominku stały zdjęcia z ostatniego półwiecza, każde w innej ramce i całym odmiennym formacie. Na ścianie po lewej wisiały czarnobiałe fotografie

przodków z bardziej odległych czasów, a po prawej niewielkie obrazki malowane przez artystę amatora, przedstawiające różne miejsca – stare kościołki, ludzi na brzegu jakiejś rzeki, kamienice i małe drewniane domki.

– To wszystko malował dziadek – Monika, bo tak miała na imię wnuczka Witka, zauważyła moje zainteresowanie malarskimi miniaturkami. – Kiedy wyjeżdżał z Wilna nie zabrał ze sobą żadnych zdjęć. Nic co przypominałoby mu tamten okres życia. Zaczął więc malować to, co zapamiętał. O, na przykład ten dom pośrodku, w nim się wychował i mieszkał do lat 50.

– I nie przywiózł ze sobą żadnych dokumentów? Może jakieś listy? Choć fragment korespondencji z tym Szwajcarem, o którym wspominałem?

– Nic. Dziadek przyjechał do Gdańska bez niczego i zaczął całkiem nowe życie. Potrafił szybko liczyć, więc zatrudnił się jako księgowy. Z przeszłości potrafił opowiadać tylko o Wilnie, o rodzinie wiemy niewiele. Lubił to miasto malować, choć artysta z niego nijaki. – Zajrzała pod przykrycie dzbanuszka z przyniesionym z kuchni naparem i mówiła dalej, rozlewając herbatę do malowanych w polne kwiaty filiżanek. – W 1959 przyjechał na Pomorze, rok później poznał babcię. Pobrali się niemal natychmiast i zamieszkali z jej rodzicami w tym domu. Minął kolejny rok i na świecie pojawił się mój tata. Na początku nowego wieku odeszła babcia i dziadek zaczął podupadać na zdrowiu. Coraz mniej kojarzył, zrobił się zamknięty w sobie.

– Demencja?

– Tak. Teraz praktycznie całymi dniami siedzi w ogrodzie i patrzy przed siebie. Czasem powie coś, co nie ma związku z rzeczywistością. Jak mówią, odleciał. – Mówiąc to uśmiechnęła się akurat do mnie, więc wykorzystałam skierowaną na mnie uwagę.

– Możemy się z nim zobaczyć?

– Ależ tak. Zaraz was zaprowadzę.

– Jeszcze chwilę. – Ojciec sięgnął do teczki, w której przewoził dokumenty dotyczące klucza i wyciągnął z niej kartkę, taką zwykłą, wyszarpiętą z drukarki. Był na niej rysunek zrobiony ołówkiem, przedstawiający dwie strony opisanego w listach klucza. Po kresce poznałam, że to on narysował,

ale kiedy? Gdzie? Musiał nad nim siedzieć w nocy. – Może gdzieś go pani jednak widziała, na którymś z obrazków dziadka? Na jakimś szkicu?

– Wszystko co namalował wisi tutaj, a na szkicach znajdowały się wyłącznie widoczki starego Wilna. Nie malował portretów ani takich detali.

– Możemy je sfotografować? – Ojciec na migi pokazał mi, żebym to zrobiła.

– Tak, oczywiście.

Wyciągnęłam swojego smartfona. Ojciec się skrzywił na jego widok, ale moim zdaniem robił lepsze zdjęcia niż ta jego przedpotopowa cyfrowa lustrzanka. Zabrałam się do roboty. Każdy obrazek sfotografowałam osobno, a potem robiłam zdjęcie wszystkich. Monika była zajęta opowiadaniem o postępującej chorobie dziadka, więc cyknęłam jeszcze ich zdjęcia rodzinne. Tak na wszelki wypadek. Potem dopiliśmy herbatę i poszliśmy na tył domu. O mały włos zapomniałabym zabrać z salonu bombonierkę, którą gospodyni poleciła przekazać dziadkowi na znak, że przychodzimy w celach pokojowych. W ogrodzie, w cieniu starej jabłoni, siedział pomarszczony staruszek na wózku inwalidzkim. Towarzyszyła mu ubrana na biało kobieta, która przycupnęła na drewnianej ławeczce. Widać było, że kiedyś był potężnym mężczyzną, który z wiekiem zaczął się garbić i zapadać w sobie. Nie przypominał już sprytnego Witka eksplorującego zakamarki wileńskiej katedry.

– Pani Sylwio, może pani zrobić sobie przerwę. Chwilę posiedzimy z dziadkiem. – Opiekunka skinęła głową Monice, nam sprzedała nieśmiały uśmiech i poszła do domu.

– Dzień dobry panie Witoldzie – wypaliłam wyciągając rękę do wiekowego mężczyzny. Wiem, *savoir vivre*, nie powinnam robić tego pierwsza, ale pomyślałam, że jakoś mu ułatwię powitalną procedurę. Nie podał ręki, więc podniosłam stawkę i wyciągnęłam w jego kierunku bombonierkę, którą trzymałam w drugiej dłoni. Spojrzał na mnie przelotnie, omiół wzrokiem też ojca i zatrzymał wzrok na swojej wnuczce.

– Dziadku, rzadko przyjmujesz gości i odwykłeś. Prawda? To jest pan Marek i jego córka Alina. Przyjechali do nas aż z Warszawy i mają dla ciebie prześliczną bombonierkę. – Przejęła ode mnie podarek i położyła go na ła-

weczce tuż obok niego. – Państwo odnaleźli twój list, do twojego starego znajomego, Szwajcara... Jak on się nazywał panie Marku?

– Alfred Rietmann, pamięta pan? Poznaliście się w Wilnie. – Jedyłą reakcją staruszka było drobne drżenie w kąciuku ust na dźwięk nazwy jego ukochanego miasta. – Pisał pan do niego listy. W jednym z nich znalazł się opis pana dziecięcej przygody. Tego jak poszedł pan za wujem do katedry i w grobie Barbary Radziwiłłówny znalazł klucz. Pamięta Pan? – Nic, zero reakcji. Po ostatnim pytaniu ojca staruszek przeniósł wzrok ze swojej wnuczki na płynącą po niebie chmurkę.

– Niestety. Dziadek ma dzisiaj gorszy dzień i nie chce mó...

– Nic, nie... – wydobyło się z pomarszczonych ust.

– Nic pan nie pamięta? – Ojciec pochylił się nad wózkiem inwalidzkim.

– ...pamiętam. – Dziadek jakby się ucieszył, że wypowiedziano mu brakujące słowo.

– Może to coś panu przypomni. – Wyciągnął swój szkic przedstawiający dwie strony klucza. – To może być klucz Świętego Kazimierza, ten z grobu Barbary. Pamięta pan, gdzie on może być? Co się z nim stało? Może w czasie wojny coś...? – Ojciec mówił coraz szybciej, co chyba zaniepokoiło Monikę. Złapała go za ramię.

– Spokojnie panie Marku, proszę wolniej.

Nagle dziadek złapał w kościste palce kartkę ze szkicem i próbował skupić na niej wzrok.

– Klucz do... za... zamek. Mój zamek...

– Pana zamek?

– Mój... w domu... był. Wszystko tak... tam... – Staruszek znowu odpłynął myślami. Ale rozmowa chyba sprawiła mu przyjemność, bo teraz się rozkosznie uśmiechał.

– I tyle z kontaktu. Wystarczyło mu rozmowy na cały dzień i pewnie się już dzisiaj nie odezwie. – Monika zaprosiła nas z powrotem do domu. Osuszyliśmy do dna dzbanek z herbatą. Zjedliśmy kilka herbatników i przyszło nam się zbierać. Przed wyjściem obiecaliśmy informować o przebiegu naszego śledztwa.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu byłam zawiedziona. Sprawa stanęła w miejscu. Witek nic nie pamiętał. Pewnie noc spędzimy jeszcze nad polskim

morzem, w małym pensjonacie gdzieś na obrzeżach Gdańska, do późna rozmawiając o kluczu Świętego Kazimierza, a rano porzucimy rozgrzebane śledztwo. W biurze turystycznym wybierzemy wycieczkę i po południu wylądujemy w jakimś nagrzanym słońcem kraju. Przez najbliższe dwa tygodnie, próbując nie utonąć w morzu turystów, będziemy szukać choć namiastki wielkiej przygody. Bo w to, że spokojnie poleżymy na plaży nie mogłam uwierzyć.

– I co powiesz?

– Kiszka ojciec. Ślepy trop.

– Co ty mówisz?

– No, Witek nic nam już nie powie.

– Nie słyszałaś? Pokaż zdjęcia. – Prawie wyrwał mi telefon. Otworzyłam galerię i zaczęłam przesuwać fotografie naiwnego malarstwa mężczyzny. – Mówił o swoim domu. Połączył go z kluczem. Tam trzeba jechać. – Wskazał zdjęcie rodzinnego gniazda Witolda.

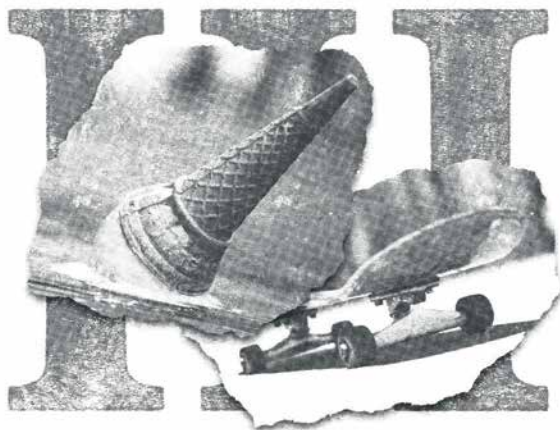
– Nie mamy adresu, nic...

– Ja wiem, gdzie to jest. Na sto procent na Zwierzyńcu. A tak charakterystyczny dom, z ostro zakończonym daszkiem od frontu, znajdziemy bez problemu.

– My?

– Kochanie, bardzo cię przepraszam, za to roztrzępanie. Wiem, że obiecałam egzotykę, dalekie plaże, ale co byś powiedziała gdybyśmy zmienili plany i pojechali...

– Do Wilna?! – weszłam mu w słowo i zapiszczałam z radości. Szybko się uspokoiłam. Poprawiłam czapkę i wskazałam ręką kierunek. – Ruszamy na Wilno!



HRABIA JÓZEF HERBU GAPA

Do Wilna wyruszyliśmy natychmiast. Noc złapała nas w Mrągowie, więc zjechaliśmy do pensjonatu nad jeziorem Czos, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać. Rano zrobiliśmy drobne zakupy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przekroczyliśmy granicę i zatrzymaliśmy się dopiero w litewskiej Olicie, żeby oddać cześć ulubionej rzece Elizy Orzeszkowej. Ojciec uparł się, żeby jechać przez Troki, w których zjedliśmy obiad. Ja kibiny ze szpinakiem i twarogiem, ojciec oczywiście z wieprzowiną. Od razu wiedziałam, że skręcenie z trasy w bok miało związek z jego apetytem na te pierogi z kruchego ciasta. Uważał, że najlepiej smakują, kiedy podczas jedzenia patrzy się na wyspę z trockim zamkiem. Tak się wkleiliśmy, że dopiero wieczorem dojechaliśmy do wileńskiego hotelu „Ponas Tadas”. Oczywiście ojciec musiał zadać mi pytanie, co to znaczy po polsku.

– Pan Tadeusz przecież – odpowiedziałam, po czym teatralnie dygnęłam.

Zjedliśmy kolację i poszliśmy zwiedzić budynek przylegającego do hotelu Domu Kultury Polskiej, który ojciec w skrócie nazywał DKP. Okazało się, że znał w Wilnie całkiem sporo ludzi. Przywitał się z dziennikarką nadającą z budynku telewizji, uściśnął dłoń dyrektora domu kultury, strzelił misia z aktorem, który miał wieczorną próbę na sali widowiskowej. Potem zeszliśmy do podziemi budynku. Nie spodziewałam się tego, co tam znaleźliśmy. Pod głównym

holem centrum polskiej kultury w Wilnie znajdowała się niezwykła ekspozycja – odtworzone wnętrze wagonu pocztowego, który stał kiedyś w podwileńskich Bezdanach. – To właśnie tam 26 sierpnia 1908 dokonano – tłumaczył ojciec – największego w Imperium Rosyjskim napadu rabunkowego na pociąg. Akcję przeprowadziła grupa, do której należał nie byle kto, bo przyszły Marszałek II RP, czyli? – Tutaj wskazał na mnie ręką, a ja niechętnie (już mnie męczyły te dziecięce przepytywanki) udzieliłam poprawnej odpowiedzi:

– Józef Piłsudski.

– Świetnie! – Sprzedałam ojcu krzywy uśmiech, a on nawijał dalej. – Łupem zamachowców padła wtedy gigantyczna kwota 200 000 rubli.

– Nazywali to potem „akcją czterech premierów”. – Do naszej rozmowy wtrącił się korpulentny mężczyzna w okularach, który pojawił się nie wiadomo skąd. Schodami nie schodził, bo byśmy go zauważyli. – Na pociąg, oprócz Piłsudskiego napadły jeszcze trzy przyszłe głowy polskiego rządu: Sławek, Prystor i Arciszewski.

Ojciec pozwolił mi dokończyć, a potem zamiast poprosić o podanie powodu tak bezceremonialnego wtrącania się w rodzinną rozmowę, po raz kolejny tego wieczoru serdecznie kogoś uściskał. Okazało się, że mamy do czynienia z kolejnym przedstawicielem lokalnych mediów.

Wróciliśmy do restauracji. Zamykały mi się już oczy, a panowie ciągle gadali, więc przeprosiłam ich i poszłam spać. Szczególnie, że następnego dnia mieliśmy zjeść śniadanie razem z przyjaciółmi ojca i z nimi ruszyć w miasto, a dokładnie na ten cały Zwierzyniec.

Wstałam wcześniej od niego. Umyłam się, ubrałam, a ojciec ciągle spał, postanowiłam pójść na mały spacer. Zapowiadał się ciepły dzień, więc porzuciłam skórzaną kurtkę, ale ze swojej nowej czapki nie mogłam zrezygnować. Po wyjściu z hotelu ruszyłam w prawo, bo w tym kierunku powinna być wileńska starówka – tak przynajmniej podpowiedziała mi mapa w smartfonie. Nie zamierzałam zwiedzać zabytków Wilna, chciałam tylko przejść się wśród starych kamienic, a dzielnica, w której stał Dom Polski była współczesna i prawie niczym nie różniła się od typowych warszawskich osiedli. Droga prowadziła prosto w dół i już po chwili budynki zaczęły wyglądać odrobinę

inaczej. Niskie bloki zastępowały kamienice i nieliczne domki jednorodzinne. Było jak na przedmieściach, mimo że zbliżałam się do centrum. Zatrzymałam się na małym placu, przed jednym z budynków, z którego wychodzili studenci. Nie radziłam sobie z językiem litewskim, większość słów była dla mnie niezrozumiała, ale udało mi odczytać, że to wydział chemii i geoczegeś.

W oddali usłyszałam terkot deskorolki jadącej po płytach chodnikowych. Spojrzałam w kierunku, z którego przyszłam. Dokładnie w momencie, w którym mój wzrok skupił się na części ulicy zacienionej przez drzewa, właściciel deskorolki wpadł na potężną kobietę. On wylądował na ziemi, ona nawet nie drgnęła, a pojazd, bez kierowcy, nabierał prędkości tocząc się w moją stronę. Kobieta zaczęła krzyczeć na chłopaka, a on przeproszał próbując się podnieść. Przez chwilę myślałam, że padnie na kolana i zacznie ją błagać o przebaczenie. Mówili po litewsku, ale nie potrzebowałam tłumacza. A deskorolka? Zwolniła, więc bez problemu zatrzymałam ją stopą tak, że jej drugi koniec się podniósł i wylądował w mojej dłoni. Olbrzymka nadal coś głośno mówiła, ale już ruszyła w swoją stronę. Gapowaty skater szedł w moim kierunku otrzepując czarne jeansy. Okazało się, że jest całkiem przystojny. Szopa czarnych, kręconych włosów, pociągła, twarz. Był może trochę patykowaty, bo niebieska koszulka odrobinę na nim wisiała, ale kiedy na mnie spojrzał i zobaczyłam to cudne piwne spojrzenie, zapomniałam mu objawy lekkiego niedożywienia. Zaraz uciekł wzrokiem w ziemię. Nie patrząc na mnie powiedział coś po litewsku.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Mówisz po polsku? – wyraźnie się ucieszył i znowu spojrzał mi w oczy.

– Przede wszystkim.

– Józek jestem – wyciągnął dłoń zakończoną długimi, smukłymi palcami. Podałam mu swoją puszcżając jednocześnie deskorolkę. – Dziękuję za ocalenie mojego pojazdu. – Mówił tak melodyjnie. Inaczej niż ja wypowiadałam „l” i „ł”. To był bardzo ładny język, czuło się, że polski, ale lekko odmieniony. Przypomniałam sobie, że poprzedniego wieczoru wszystkie spotkane w DKP osoby mówiły w ten sam sposób. Ale kiedy to Józek mówił, do moich uszu wlewał się miód. Zapadła krępująca cisza i zdałam sobie sprawę, że mu się nie przedstawiłam.

– Aligator – wypaliłam i zaraz policzki zaczęły mi zalewać rumieniec. – Znaczy się Alina. Aligator na mnie wołają.

– Protozuch z ciebie! – zwołał, jednocześnie podnosząc deskorolkę.

– Co?

– No protozuch... to taki wczesnojurajski krokodyl, kopalny przodek aligatora – Józek coraz bardziej się płątał, a jego policzki nabierały koloru moich. – No i zucha ma w nazwie, a ty deskę złapałaś, więc... zabawnie tak... – urok pięknych oczu i kręconej grzywy topniał jak bałwan podczas odwilży. Chłopak był też gapą towarzyską. Na szczęście szybko porzucił niepewny temat prehistorycznych gadów. – Fajna czapka.

– Dzięki! – za to miał u mnie plusa.

– Uratowałaś moją deskorolkę, więc... proszę, zaczekaj tu chwilkę, zaraz wrócę – i pobiegł na drugą stronę ulicy. Odwrócił się jeszcze i kierując wskazujący palec do góry krzyknął do mnie: – Jedną minutę!

Jednak urocza pierdoła. Byłam gotowa zaczekać, ale po dokładnie jednej minucie zadzwonił telefon. Ojciec chciał wiedzieć, gdzie jestem, bo on już schodził na śniadanie, a za pięć minut byliśmy umówieni w restauracji. Powiedziałam, że zaraz przyjdę i nerwowo spojrzałam na bramę, w której zniknęła Józka. Nie było rady. Mogłam albo czekać na przystojnego nieznanego, który mógł mnie zbajerować tym „zaczekaj chwilkę” i być już daleko stąd, albo ruszyć na umówione spotkanie z ludźmi, których poznanie ojciec obiecywał mi od dawna. Energicznym krokiem ruszyłam z powrotem do DKP. Kiedy byłam już dosyć daleko, skryta w cieniu drzew, odwróciłam się jeszcze raz i zobaczyłam Józka jak wychodzi z bramy. Pod pachą trzymał ciężką przeciw deskorolkę, a w dłoniach dwa lody w wafelku. – Trudno. – Westchnęłam i dalej wycofywałam się w górę ulicy. Ostatnie co widziałam to zsuwającą się lodową masę, popłynęła po prawej dłoni chłopaka i pacnęła na chodnik. Miałam nadzieję, że nie widzi jak przed nim uciekam. Żał mi go było, ale i tak musiałabym go zaraz opuścić. Tylko na te lody się niepotrzebnie wykosztowałam.

Dotarłam do DKP nieco spóźniona. Ojciec zajął stolik pod oknem, więc pokiwał mi palcem, kiedy przechodziłam przed budynkiem. Sprzedałam mu przepaszający uśmiech i przyspieszyłam kroku. Przy stoliku siedziała z nim

szczupła blondynka, gdzieś w jego wieku, może kilka lat młodsza. Mogła mu się podobać, bo był jakiś podejrzanie radosny. Zapomniał mnie ochrzcić za spóźnienie.

– Irmina jest dziennikarką, a znamy się... Ile my się znamy?

– Ponad piętnaście lat. Tak, dokładnie to wiosną piętnaście lat temu przyjechałeś do Wilna z Justyną. Zanudziliśmy ją wtedy i mojego byłego gadaniem o Konwickim – Irmina była rozwiedziona, to jedyne co zapamiętałam z jej wypowiedzi.

– O widzisz, Alina kocha kino. Chociaż na Konwickiego to jeszcze chyba za wcześnie? – Nie nazwał mnie Aligatorem, a lubił wprowadzać to przezwisko na samym początku rozmowy z nieznanymi mi osobami. Ale dotknął mnie tym Konwickim, bo ubóstwiałam „Kronikę wypadków miłosnych”.

– No, ale Wilno to nie tylko on. Emil Karewicz się tu urodził, wiesz, Jagiełło z „Krzyżaków”. Danuta Szaflarska debiutowała na Pohulance, Hanka Bielicka też tam występowała, Ludwik Sempoliński w czasie wojny sporo grał w Wilnie. Ale jego to nie wiem, czy kojarzysz? Bo to przedwojenne kino.

– Oczywiście, że znam, grał w „Barbarze Radziwiłównie” – dałam się sprowokować do odpowiedzi, choć chciałam jak najdłużej zachować milczenie i wy badać nową znajomość.

– To super, będziecie mieli o czym rozmawiać z moim pierworodnym – dodała Irmina. – O wilku mowa. Jak zwykle spóźniony i umorusany.

W drzwiach do restauracji stał Józek z płamą po lodach pod lewym kolanem, na nogawce spodni.

– Hrabia Józef herbu Gapa. Co się stało?

Chłopak wzruszył ramionami i westchnął: – Jak zwykle, życie.

– Cześć młody – ojciec odwrócił uwagę od płamy. – Pamiętasz, opowiadałem ci o swojej córce. To jest Alina.

– My już...

– Mów mi Aligator, będzie prościej. – Weszłam mu w słowo, żeby go uratować od niezręcznego opowiadania o okolicznościach naszego spotkania, a siebie od wypominania dezercji.

– Cześć, miło mi, Józek.

– Matka oficjalnie zapomina ci płamę na spodniach, tylko idź to zmyć do łazienki.

– Dzięk! – powiedział, nie wiem czy do mnie, czy do Irminy.

Józek szybko uporał się z czyszczeniem garderoby. Zjedliśmy śniadanie, podczas którego ojciec streścił im powód naszego, tak nagłego, przybycia do Wilna.

– Zanim wyjdziemy musimy jedno ustalić. Jesteście tutaj, żeby rozwiązać zagadkę. Szczegóły jeszcze nam opowiecie, tyle ile będziecie mogli. Ale przyda wam się dobra baza wypadowa i ktoś stąd, kto zna język i miasto?

– No tak, oczywiście, ale do czego zmierzasz? – ojczulek nie mógł się doczekać puenty.

– Nie będziecie spać w hotelu. Mamy duży dom, każdy będzie miał swój pokój, zaraz poczujecie się jak u siebie. Służymy też jako para doświadczonych przewodników.

– A jak trafimy na coś ciekawego, ty będziesz mogła to opisać?

– No, wilk będzie syty i owca cała. Zresztą przy okazji wam pomożemy. Zawsze przydadzą się znający teren przewodnicy potrafiący się dogadać nie tylko z polskimi wilnianami, ale i Litwinami. Józek ma wakacje, więc jest pomocnik na pełen etat. Ja w przerwach między redakcyjnymi zebraniem też mogę gdzieś wyskoczyć. Dzieciaki znajdą wspólny język, są przecież w tym samym wieku.

– Zaraz skończę 17 lat. – Józek wydawał się bardzo dumny ze swojego wieku.

– A Aligator też ma 16, żadnej różnicy między wami – poinformował ojciec. Niemal mi się wymknęło, że prawie rok różnicy to może mało dla kogoś w Ich wieku.

– Super! Skoro z gości zamienicie się w rezydentów, zakupami dzielimy się po połowie. Gotujemy na zmiany. Uczciwy układ?

– Układ może i uczciwy, ale w zmywanie pewnie zrobicie nas – powiedział Józek.

– Taki los. Niewolnicze dniówki na zmywaku – dodałam puszczając do niego oko. Kiedy się znowu zaczerwienił, zdałam sobie sprawę, że mógł to odebrać odrobinę inaczej niż jako gest porozumienia. Trudno.

– Ale to na pewno nie będzie problem? – ojciec spojrzał na Irminę.

– Teraz odpowiem, że „nie, absolutnie nie ma problemu” i mamy już za sobą część formalną powitania. Dobra? – Irmina zaczynała mi się podobać. – Pakujcie się do samochodu i jedziemy na Leszczyński.

Pół godziny później sunęliśmy naszą Zuzę przez Wilno. Miasto było bardzo zielone, do tego położone wśród niewielkich wzgórz. Przez większość drogi rzucał mi się w oczy górujący nad wszystkim budynek, wyglądający jak wbity w ziemię gigantyczny czubek od choinki.

– To wieża telewizyjna. Ma ponad 320 metrów wysokości. Bardzo ważne dla nas miejsce. Kiedy Litwa ogłosiła niepodległość, Rosjanie wysłali na Wilno czołgi. W styczniu 1991 cywile stanęli w obronie wieży atakowanej przez Armię Radziecką. Ludzie kładli się przed czołgami. Zginęło 14 osób, a setki raniono. Z góry jest wspaniały widok na miasto.

– Zapomniałam powiedzieć, że mój syn to chodząca encyklopedia Wilna. Wypożycz go za paczkę chipsów, jak dorzucicie czekoladę, dam jeszcze plan miasta.

Dzielnica, w której mieszkali była sypialnią Wilna, rosły w niej wielopiętrowe bloki, identyczne jak te w Warszawie. Kiedy już myślałam, że jedziemy do jednego z nich, skręciliśmy w małą uliczkę i z wielkiego miasta przenieśliśmy się w okolice przypominające podmiejski raj. Dom stał na uboczu, a do tego nad samą rzeką. Za Wilią znajdował się park, więc z okien w salonie widać było same drzewa. Czułam się jak w leśniczówce, choć po otwarciu okien było trochę słychać pobliską drogę szybkiego ruchu. Budynek z zewnątrz wyglądał na niewielki, ale w środku miał sporo miejsca. Na parterze prawie wszystkie ściany zajmowały regały wypełnione książkami. Wchodząc zauważyłam sporych rozmiarów kuchnię i gabinet.

– My będziemy spać w sypialniach na górze. Józek zgodził się oddać ci swój pokój, a sam przeniósł się do gabinetu na dole.

– Dzięki! – skinęłam mu głową.

– Będę miał bliżej do kuchni, lubię w nocy podjadać.

– Fakt, je za dwóch i nie wiadomo, gdzie mu to idzie, bo od zawsze chudy jak patyk.

– To po mamie – wrzucił ojciec.

– Po mamie to on ma tylko oczy i alergię na koty. – Wtedy zza szafy wyłonił się pomarszczony stwór. – Wszystkie, poza tym jednym. Poznajcie ostatniego z domowników.

– O jeju, macie Sfinksa. – Natychmiast uklękłam i zaczęłam cmokać na kota, próbując go przywołać.

– Mówi się kici kici, chyba, że chcesz mu tylko dać buzi.

– Chcę takiego.

– No, nie wiem, mnie odrobinę przerażają. Zresztą Wiewiór nie zniesie konkurencji.

– Wiewiór? – zainteresował się Józek.

– Nasz pseudo pies, parówka ze ślinotokiem. – Wyciągnęłam dłoń w stronę kota.

– Nie radzę. Możesz stracić rękę. Klątwa to wredna bestia.

– Klątwa?

– A to cała historia z jej imieniem. Mama kiedyś poszła do wróżki...

– Ty, do wróżki? – ojciec uśmiechnął się patrząc na Irminę.

– Miałam chwilę słabości. Gorszy miesiąc. Wszystko pod górkę. Koleżanka z redakcji szła, to się zabrałam. Józek, opowiadaj dalej.

– Mama poszła do wróżki i ta jej wywróżyła, że będziemy mieli w domu nowego lokatora, który będzie nas kosztował pot, krew i łzy. Potem wróciła do domu i czekał na nią mały łysy kot. Kiedy siedziała u jasnowidzącej, ja odwiedziłem kumpla, którego kotka się okociła. Dostałem jedno w zamian za pomoc w gospodarstwie przez miesiąc, bo oni mają taką małą farmę, konie, kury no i te pomarszczone stwory...

– Wchodzę do domu, a tu to łyse paskudztwo. Od razu na mnie syczy. Jak podrosła zaczęła atakować dla sportu, z zaskoczenia. Wystarczyło się schylić i wiązać sznurowadło, żeby bestia wyskakiwała z najciemniejszego kąta. Tak było przez pierwszy rok. Rany cięte, łzy z bólu i pot, kiedy się próbowało cholerę dopaść. A potem się uspokoiła. Dajemy jej jeść i pić, ma gdzie mieszkać i nie wchodzi nam w paradę. Nawet się czasem łasi. Ale do nowych twarzy musi się przyzwyczaić, potrafi taką rękę zaatakować. – Wskazała moją dłoń wciąż wyciągniętą w stronę kota. – No i przez tę przepowiednię wróżki nazwaliśmy ją Klątwa.

*

Razem z ojcem uznaliśmy, że pierwszym przystankiem w naszym śledztwie będzie dzielnica Zwierzyniec. Tak samo jednogłośnie, postanowiliśmy opowiedzieć naszym gospodarzom wszystko co wiedzieliśmy o sprawie kłucza. Oferując nam gościnę zasłużyli na grę w otwarte karty, szczególnie, że byliśmy na ich terenie, lepiej znali ludzi i miasto, a co za tym idzie byli bardziej przydatni w śledztwie niż my. Pokazałam im zdjęcie starego domu Witka, ale go nie kojarzyli. Przyznali też, że bywają na Zwierzyncu tylko, kiedy trzeba kogoś oprowadzić po mieście. Fakt, że ja też w pałacu łaazienkowskim byłam ze dwa razy w życiu, a przechodzę obok niego przynajmniej raz w tygodniu. Zdałam sobie sprawę, że niektórzy turyści znają moje miasto lepiej ode mnie.

Przejechaliśmy obok litewskiego sejmu, potem przez most i zaparkowaliśmy przy cerkwi Znamieńskiej. Dalej poszliśmy na piechotę, rozglądając się za niebieskim domkiem ze strzelistym daszkiem od frontu.

– Dzielnica od lat 50. nie za bardzo się zmieniła. Nowi mieszkańcy mogli przemalować dom na inny kolor, ale bryła pozostała ta sama.

– Chyba, że Witek fantazjował malując portret swojego rodzinnego gniazda. – Ojciec przystanął i zaczął powiększać zdjęcie obrazu. Przesłałam je wszystkim, żeby nie zaglądali ciągle do mojego telefonu.

Niskie, dwupiętrowe kamieniczki zaczęły ustępować miejsca różnokolorowym drewnianym domkom. Nie mogłam uwierzyć, że kilkaset metrów od centrum kryje się dzielnica przypominająca małe miasteczko prosto z bajki.

– Skąd w środku miasta takie zacisze?

– Na początku hodowano tu zwierzęta łowne. Były sarny, żubry, a nawet łosie, stąd nazwa dzielnicy. – Józek jakby od niechcienia zaczął odpowiadać na moje pytanie. – Już Zygmunt Stary zbudował tu drewniany pałac królewski, więc Barbara Radziwiłłówna pewnie w nim bywała. Gdzieś od XVI wieku te okolice stały się zresztą posiadłościami jej rodu. Potem Radziwiłłowie podarowali te ziemie jezuitom. A w XIX wieku kolejny właściciel podzielił ziemię na mniejsze działki i sprzedawał je zamożnym mieszkańcom Wilna. Ale do miasta Zwierzyniec został przyłączony dopiero na początku ubiegłego wieku.

– Orzeł ten mój syn. Ja tylko wiem, że w międzywojniu na tej ulicy mieściła się siedziba wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia.

– Ta część dzielnicy, w której się znajdujemy leży w zakolu rzeki, z trzech stron otacza nas woda – Józek kontynuował, nie zwracając uwagi na pochwałę matki.

– Dobra, rozdzielamy się – zarządziła Irmina. – Młodzi sprawdzają lewą stronę dzielnicy, tę za Kęstućio, a my zostajemy po tej. Jak któryś zespół znajdzie budynek, dzwoni do drugiego. Zgadzacie się?

– Tak! – powiedzieliśmy chórem. Zdałam sobie sprawę, że gdybym w drodze do Wilna przejrzała mapę na smartfonie za pomocą funkcji Street View, już byśmy stali pod domem Witka. Nie przyznałam się do tego pomysłu, bo zabijał całą odkrywczą frajdę.

Pożegnaliśmy się przy nowoczesnym budynku, który do okolicznej zabudowy pasował jak klapki do szlaku na Gubałówkę (zapewniam, że nie pasują, ale tak jak w przypadku tego oszklonego klocka, są tacy, którym to nie przeszkadza). Józek i ja ruszyliśmy w lewo, rodzice poszli dalej prosto.

– Nie miałam okazji cię przeprosić za swoją ucieczkę.

– Spokojnie, rozumiem, sytuacja była dziwna. Nieznajomy chce żebyś na niego czekała na ulicy w obcym mieście...

– Ale ja czekałam, tylko ojciec zadzwonił i chciał, żebym natychmiast wracała... bo wy mieliście zaraz przyjść do restauracji.

– Widać los chciał, żebyśmy poznali się choć odrobinę wcześniej...

– Wierzysz w takie rzeczy? Los, przeznaczenie? – Już nie mogłam się doczekać, kiedy mu powiem o moich przecuciach. Oczywiście teraz było za wcześnie na takie zwierzenia, ale ucieszyło mnie, że jest ktoś, kto mi uwierzy.

– Nie, raczej nie wierzę. Tak naprawdę myślę, że to był przypadek. Ale wiesz, tak się mówi...

– Szkoda... – wyszeptałam.

– Ale chodź, jestem ci winien lody, a za rogiem sprzedają całkiem niezłe.

– Szliśmy rozglądając się za naszym celem, po jednej stronie mijając niskie murowane kamienice, a po drugiej drewniane wille. Serce zabiło mi mocniej, bo jeden z domów odrobinę pasował do witkowego obrazka. Niestety, kiedy po-

deszliśmy bliżej okazało się, że spory fragment budynku wykonano z jasnych cegieł. Kilkanaście metrów dalej drewniana architektura zaczęła przeważać.

– Zwierzyniec przypomina trochę nasze osiedle Przyjaźń. To takie drewniane miasteczko na warszawskich Jelonkach, założone specjalnie dla radzieckich robotników budujących Pałac Kultury. Mieli tam własną szkołę, jadłodajnię, pralnię, łaźnię a nawet kino. To wszystko stoi między drzewami. Fajne miejsce na spacer. Różnica jest taka, że nasze domki zajmują ze dwie przecznice miasta, a tutaj wyrosła cała drewniana dzielnica.

– Jest trochę cegły, ale nadal połowa dzielnicy to zabytkowe drewniane domki. A w tej części od ponad wieku mamy właściwie niezmienny układ ulic. Jakie smaki? – Nawet nie zauważyłam, kiedy doszliśmy do zaparkowanej przy skrzyżowaniu budki z lodami. – Polecam czekoladowe i słony karmel.

– Skoro polecasz, to biorę.

– Super! Ja to samo. Poprzednich nie zdążyłem zjeść. – Uśmiechnął się patrząc na już prawie niewidoczną plamę na spodniach. Zamówił i pyzata dziewczyna zaczęła nabierać gałki z metalowych pojemników.

– Właściwie, to teraz ja powinnam zapłacić.

– Co ty? Nie spłaciłem długu za uratowanie deski. Po tym deserze będziemy kwita.

– Okej. To ja stawiam przy następnej okazji...

– Smakują?

– Pyszne! – Naprawdę bardzo mi smakowały.

– Wiem co dobre. Tak naprawdę, to... mam słabość do słodczy. Może dlatego wiem, gdzie są najlepsze lodziarnie i cukiernie w mieście.

– Jak będziemy następnym razem w Wilnie przywiozę ci coś z naszego Wedla.

Zadzwoił telefon. Poprosiłam Józka, żeby potrzymał mojego loda. – Tylko tym razem ostrożnie. – Nareszcie się uśmiechnął. Odebrałam. To był ojciec. Znaleźli kamienicę.

Nie potrzebowaliśmy nawigacji, żeby znaleźć dawny dom Witka, bo Józek znał ulicę. Rodzice czekali na chodniku, obok wskazanego miejsca. Z daleka widzieliśmy, że jest im bardzo wesoło. Wyglądali jak dziewczuchy z mojej szkoły wychodzące podczas długiej przerwy na boisko, żeby spokojnie poplotko-

wać. Łaziły tak w kółko i kiedy pojawiał się temat nowego chłopaka wszystkie naraz zaczynały chichotać. Tak samo ojciec z Irminą, coś tam do siebie szepotali i zaraz robili przerwę na zbiorowy śmiech.

– Co wam tak wesoło? – Józek wszedł mi w słowo, chciałam zapytać o to samo.

– A nie musicie wiedzieć. – Irmina wciąż starała się powstrzymać chichotanie.

– No, powiedzcie, też się chcemy pośmiać – naciskałam.

– Na pewno chcecie wiedzieć?

– Tak, na pewno!

– Porównywałam z Irminą rodzicielskie doświadczenia. Opowiedziałem jej jak zaczęłaś się do mnie zwracać w niezwykle dojrzały sposób. Pokazałam poważną minę, którą zrobiłaś, kiedy pierwszy raz powiedziałaś „ojcze”.

– A ja miałam taką samą sytuację z Józkiem – musiała zrobić przerwę i opanować powracający śmiech. – Też postanowił mówić do mnie „matko” i ogłosił to z miną podobną do twojej.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego. Józek pewnie też.

Potwierdził skinieniem głową.

– Kiedyś moja wnuczka strzeli ci taką samą minkę, wtedy razem się pośmiejemy.

– Wątpię. – Udałam, że strzelam focha. – A teraz pokażcie nam gdzie jest ten dom.

Podeszliśmy kawałek dalej i zobaczyłam go. Za kępą drzew, trochę głębiej niż sąsiednie budynki, stał dom, w którym wychował się Witek. Pewnie tutaj przybiegł prosto z katedry, żeby w swoim małym pokoiku na poddaszu na spokojnie obejrzeć tajemniczy klucz. Domek zachował te same kształty, co budynek na obrazku. Tylko odcień niebieskiego się zmienił. Właściciele go przemalowali, ale musieli to zrobić z kilkanaście lat temu, bo nowa farba już odrobinę odłaziła. Wstawiono natomiast nowe okna, a otaczający dom ogród był pięknie utrzymany.

Podeszliśmy do drzwi wejściowych. Ojciec zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc Irmina nacisnęła przycisk dzwonka. Rozległa się zabawnie spowolniona melodyjka, widać ktoś nie wymienił baterii i dzwonek słał.

– Aż ateinu! – rozległo się w głębi domu, po czym zatrzaśnięto jakieś wewnętrzne drzwi. Ojciec słysząc język litewski odsunął się do tyłu na czele naszej delegacji zostawiając swoją przyjaciółkę.

Drzwi otworzyła niska staruszka. Najpierw trochę się przestraszyła, aż tak dużej grupy na swoim progu i odruchowo zrobiła pół kroku do tyłu. Wtedy Irmina odezwała się bardzo spokojnym głosem. Wskazała na nas. Potem gestem objęła cały dom. Mówiła oczywiście po litewsku. Zrozumiałam tylko, że chodzi o informacje i coś o Witoldzie. Reszty ni w ząb nie pojmowałam. Jeśli miałam wcześniej jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie powiększania naszej grupy śledczej, to w tym momencie całkowicie się ulotniły. Babcia, zanim zaczęła mówić, udzieliła nam negatywnej odpowiedzi w międzynarodowym języku gestów. Pokręciła głową, a potem popłynął słowotok. Mówiła z szybkością karabinu maszynowego, przypuszczam, że nawet gdybym znała litewski, nie zrozumiałabym połowy jej słów. W tym samym czasie machała rękami jakby opędzała się od much, pokazując poddasze, wskazując kierunek, z którego przyszliśmy i łapiąc się za głowę. Wypowiedź zakończyła ponownym kręceniem głową. Irmina i Józek podziękowali po litewsku, a my z ojcem dorzuciliśmy swoje po polsku. Kobieta była zaskoczona słysząc naszą mowę.

– Esate lenkai?

– My? Polacy! – powiedział ojciec zgadując jej pytanie. Kobięcina uśmiechnęła się nieśmiało, jak dziewczyna podrywana przez ułana i zamknęła za sobą drzwi.

Ruszyliśmy ulicą we wskazanym przez babinę kierunku, a Irmina streściła przeprowadzoną przed chwilą rozmowę. – Gdybym zawodowo nie słuchała ludzi, to zrozumiałabym z tego tyle co wy. Wypluwała słowa szybciej niż głodny raper, któremu się spieszy na obiad. Ale dowiedziałam się, że ani ona, ani jej rodzina nie znali Polaków mieszkających tu w latach 50., bo wprowadzili się po upadku ZSRR. W domu było niewiele rzeczy po dawnych lokatorach. Jednak kilkanaście lat temu okazało się, że jednak Polacy coś zostawili. Kobięcina szykowała dodatkowy pokój dla wnuczki, która miała przyjechać na studia do Wilna. Opowiedziała mi całą historię tej swojej pociechy, wiem co skończyła, jakie ma alergie i poznałam numer buta jej męża. Babina zdecy-

dowała się zrobić remont na strychu i przeznaczyć jego część na pokój. Okazało się, że za jedną ze ścian ukryta jest dodatkowa przestrzeń, a w niej jakieś bibeloty. Porcelana, sztuce, mosiężne figurki. Mówi, że większość wyrzuciła, ale myślę, że sprzedawała. Była tam też waliza z różnymi dokumentami. Dyplomy, świadectwa, większość po polsku.

– Napaliła nimi w piecu? – na samą myśl o tym złapałam się za głowę.

– A wyobraź sobie, że nie. Zaniósła do pana Romana.

– Gdzie?

– Właśnie tam idziemy. Pan Roman mieszka na Zwierzyńcu i jest takim... Jak by to powiedzieć? Historykiem amatorem, trochę zbieraczem. Kompletnie wszystkie informacje dotyczące dzielnicy, zarówno wycinki artykułów jak i dokumenty dotyczące mieszkańców. Żyje sam w jednym z największych domów, więc miejsca ma sporo. A, najważniejsze! Jest Polakiem, więc nareszcie się do czegoś przydadacie.

– Znasz go? – ojciec udawał, że nie słyszy zaczepki.

– Kiedyś robiłam z nim wywiad. Wieki temu, więc raczej mnie nie pozna. To trochę dziwak, ale sympatyczny. Tylko pamiętajcie, nic u niego nie jedzcie. Zbiera nie tylko dokumenty, ale też stare herbatniki i potrafi nimi poczęstować gości. To szczególnie do ciebie Józek, łasuchu.

Dom pana Romana rzeczywiście okazał się być okazalszy od małych wili mijanych po drodze. To był raczej mały dworek niż budynek jednorodzinny. Żółta farba odchodziła z elewacji, tak jakby dom liniał na wiosnę, tyle, że mieliśmy już lato.

– Już stąd czuć jaki w środku jest kurz i roztocza – skrzywił się ojciec.

– Ale przynajmniej zachowuje pozory porządku i wiesz zasłonki – zauważyła Irmina. Wszystkie okna były otwarte, a w nich powiewały koronkowe tkaniny. Wyglądało to tak, jakby dom witał nas wesołym mruganiem.

Tym razem pukanie wystarczyło. Otworzył nam łysiejący grubasek o niezwykle żywym spojrzeniu. Przypuszczam, że był mniej więcej w wieku dziadka. Nie pytając „kto?” i „po co?” odsunął się przytrzymując drzwi i wpuszczając nas do środka. – Proszę szybko wchodzić, bo przeciąg. Mam dzisiaj wietrzenie zbiorów.

Znaleźliśmy się w przedpokoju, który był długim korytarzem prowadzącym chyba przez cały budynek. Na ścianach wisiały obrazki i fotografie różnych autorów, stworzone w najróżniejszych technikach. Wszystkie, które widziałam ze swojego miejsca, przedstawiały zabudowę Zwierzyńca.

– Zapraszam do kuchni, tam spokojnie porozmawiamy. – Zaczął prowadzić nas w głąb domu. Podłoga trzaskała przy każdym naszym kroku, a na niej, po obu stronach, przy drzwiach prowadzących do kolejnych pokoi, poustawiano stosiki związanych sznurkiem gazet. Na szczęście pan Roman środkiem korytarza wyznaczył ścieżkę, którą szliśmy gęsiego. Gospodarz zatrzymał się gdzieś w połowie przedpokoju i puścił nas przodem do kuchni. Wskazał rozstawione wokół stołu krzesła. Na czystym, wykrochmalonym i pociętym przez mole obrusie stała trzy poziomowa etażerka. Wyłożył na niej chyba z pięć rodzajów kruchych ciasteczek.

– Proszę siadać, wstawiłem już wodę na herbatę i może... – zawahał się stając w drzwiach do kuchni. – A tak! Od razu przyniosę tę walizę po Tal-montach.

– Ale, skąd pan wie? – Irmina wyraziła nasze wspólne zdziwienie.

– Moja droga, jesteśmy na Zwierzyńcu. Tutaj poczta pantoflowa działa szybciej niż te wasze internety. – Zniknął w głębi korytarza, ale wciąż do nas mówił. – Zresztą Petrauskasowa zadzwoniła do mnie zaraz po tym jak powiedziała wam „do widzenia”. Musiała mi opowiedzieć o podejrzanym grupie szukającej starych Polaków. Pewnie wysłała was do mnie, żebyście to mnie a nie ją pożarli. Nie zdziwiłbym się, gdyby siedziała teraz w kuckach pod oknem i nasłuchiwała. Chociaż ni w ząb nie rozumie po polsku. – Mężczyzna musiał być w jednym z sąsiednich pomieszczeń, bo wciąż było go słychać. – Ale do-brze, że do mnie przyszliście. Ona opowie wam wszystko co zaszło w dziel-nicy po 1991, ale jeśli szukacie czegoś starszego, to musieliście trafić tutaj. – Wkroczył do kuchni dźwigając starą, masywną i obitą w skórę walizkę. W tym samym momencie zaczął gwizdać czajnik, a za oknem dało się słyszeć ciche, przestraszone jęknięcie.



TRZECIA RĘKA KAZIMIERZA

Myślałam, że to żart Irminy, ale Józek naprawdę robił taką minę jakby za chwilę miał skosztować herbatnika. Choć wyglądały normalnie, jakoś nie miałam ochoty jeść niczego z kuchni, w której piekarnik służył jako schowek na starą maszynę do pisania. Na lodówce, blacie kuchennym, parapecie i wytartym fotelu piętrzyły się papiery w różnej postaci. Nie czułam o dziwo kurzu ani stęchlizny, których spodziewał się ojciec, ale i tak spożywanie czegokolwiek w tym miejscu napawało mnie odrazą. Markowałam nawet picie herbaty, tylko zbliżając filiżankę do ust. Połowa stołu była zastawiona walizą, reszta wyciągniętymi z niej papierami, ledwo miałam gdzie odstawić filiżankę. Faktycznie większość dokumentów dotyczyła rodziny Witka. Nie dowiedzieliśmy się z nich zbyt wiele na temat losów stulotka. Były tam tylko jego legitymacje szkolne i jakieś pozwolenia z czasów wojny. Żadnej korespondencji i nawet śladu informacji na temat znaleziska z katedry.

– A czego właściwie szukacie? Bo widzę, że interesują was konkretne rzeczy. Nie jesteście biografami Witka, ani rodziną tworzącą drzewo genealogiczne. Oczywiście jeśli mogę wiedzieć?

Ojciec już się rzucał do mówienia. Zrobiłam groźną minę, którą na szczęście zauważył, i w rezultacie nic nie powiedział.

– Natrafiliśmy na ciekawy fragment korespondencji pana Witolda z pewnym Szwajcarem i szukamy innych listów, które do siebie wysyłali – pomyślałam, że tyle możemy gospodarzowi zdradzić.

– Listów od Rietmanna?

– A skąd pan...?

– Dziecko. Od kiedy w Wilnie była wystawa zdjęć tego inżynierka, na hasło Szwajcar otwiera mi się w głowie tylko jedna przegródka, Alfred Rietmann. Ale niestety, nic na jego temat nie wiem, poza tym co było w jego pamiętnikach. O waszym Witoldzie Talmoncie, też nie słyszałem więcej niż to, że mieszkał tam, gdzie dzisiaj rodzina Petrauskas. Trzymam rzeczy podobne do tej walizy właśnie na takie okazje, kiedy ktoś się zjawi i opowie mi ciekawą historię. A wasza jeszcze nie zrobiła się ciekawa. No, powiedzcie coś więcej starcowi co spod tych papierów ludzi nie widzi.

– Zobaczcie! – ojciec właśnie wyjmował z walizki kolejne papiery i ścisnął w dłoni jej brzeg. – Tutaj jest dużo szersze obicie niż po drugiej stronie! – Walizka w środku wyklejona była materiałem w jasną kratkę. Nie zauważyliśmy wcześniej, że jej wewnętrzna ściana po prawej stronie była dużo szersza niż po lewej. Nie widziało się tego na pierwszy rzut oka właśnie przez ten materiał, który optycznie pomniejszał tę część walizki. – Skoro te rodzinne skarby były schowane za fałszywą ścianą, to dlaczego i tutaj nie miałyby być schowka?

– No rozpruwaj pan to pudło! Zobaczmy co schowali w środku. – Gospodarz chyba tylko czekał, aż coś takiego się zdarzy.

Ojciec wyciągnął scyzoryk, otworzył ostrze i spojrzał na Romana.

– Jest pan pewien?

– Różnij pan, ale tylko tę wyklejkę w środku, a nie skórę.

Nóż poszedł w ruch. Równe cięcie odsłoniło deseczkę, która została przycięta do rozmiarów walizki i doklejona do bocznej, wewnętrznej ścianki. Mój rodziciel, już bez pytania o pozwolenie, pociągnął dodatkowy element walizki przytrzymując jednocześnie powierzchnię, do której został przyczepiony. Udało się go oderwać praktycznie niczego nie uszkadzając. Ojciec obejrzał deseczkę z jednej strony. Zważył unosząc w jednej ręce. – Trochę za ciężkie

jak na takie drewno. – Potem odwrócił i zobaczyliśmy, że to nie jednolity kawałek drewna, a pudełko z odsuwaną ścianką.

– Czuję się jak Indiana Jones na tropie jakiejś chińskiej tajemnicy. – Józek przetarł czoło. – To u nich były te pudełka schowane w kolejnych pudełkach?

– Ostrożnie! Jak to szkatułka z Indiany to w środku może być pułapka – rzuciłam mały żarcik.

– No otwieraj pan – niepokoił się Roman.

Ojciec próbował odsunąć ściankę. Nic z tego. Dopiero kiedy podważył szparę z boku, deseczka odsłoniła swoją zawartość. Zamurowało wszystkich.

– Czy to? – jęknęła Irmina.

– Tak! Mamy go – cieszył się ojciec.

My z Józką oniemieliśmy, natomiast pan Roman wyrwał ojcu deseczkę i zbliżył ją bardzo blisko do oka. Włożony do prowizorycznego pudełka przedmiot wciąż tkwił zaklinowany w wydrążonym dla niego wycięciu.

– Cóż to jest?

– Klucz Świętego Kazimierza, który... Aligator, już mogę powiedzieć?

– No, wypadaloby.

– Przedmiot, który Witold Talmont wyniósł z grobu Barbary Radziwiłłówny i jak przypuszczaliśmy ukrył gdzieś na terenie Wilna. Czekał na nas w ukryciu ponad 60 lat.

– Proszę tu podważyć. – Roman podał ojcu deseczkę i wskazał przestrzeń między kluczem, a ścianką. – Tylko ostrożnie. – Wyjęty ze schowka artefakt znowu przejął pan Roman. Klepał się przez chwilę po kieszeniach sfatygowanej marynarki, po czym wyciągnął z jednej z nich okulary. Założył je na nos i teraz oglądał klucz z większej niż poprzednio odległości. – To fantastyczne. Takie znalezisko w moim domu. Tyle lat leżało pod tym dachem. Toż to ukoronowanie mojej wieloletniej pracy archiwisty. Ten wspaniały przedmiot nadaje sens i przekreśla wszelkie wątpliwości. – Myślałam, że zaraz przejdzie do podziękowań dla rodziny i przyjaciół. Mówił tak, jakby właśnie odebrał nagrodę Związku Historyków Szperaczy Śmietnikowych.

– Panie Romanie, czy ja też mógłbym się mu przyjrzeć?

– Ależ oczywiście – gospodarz podskoczył, jak wyrwany z transu i podał klucz mojemu ojcu. Ten delikatnie wziął go w trzy palce i obejrzał z każdej strony.

– Witold miał sporo czasu na jego oczyszczenie. Zdaje się, że zastosował nawet jakąś chemię i jak na amatora wyszło mu całkiem nieźle. Doskonale widać sentencję. – Przysunął przedmiot bliżej środka stołu, gdzie padało wyjątkowo mocne światło lampy.

– Mój Boże, to może być to – jęknął nagle pan Roman, spojrzął na sufit i zaczął się gładzić po brodzie.

– Co? – pytanie ojca ściągnęło go na ziemię.

– Znalezione w grobie Barbary Radziwiłłówny powiadacie? To może być klucz do... – uśmiechnął się i rozejrzał po naszych twarzach. – O nie, moi drodzy. Przyszliście tu z tajemnicą, nie mówiąc mi całej prawdy, mimo że przyjąłem was z otwartymi ramionami, ugościłem herbatą i ciasteczkami, których jak widzę nawet nie skosztowaliście. Mówiliście, że chcecie znaleźć listy, ale nie wspomnieliście czego w nich szukacie.

– Wiemy tylko, że Witold Talmont, kiedy był jeszcze dzieciakiem, wyjął ten klucz z krypty w katedrze wileńskiej, z grobu Barbary Radziwiłłówny. – Streściłam historię zastanawiając się jednocześnie nad wydaniem krótkiej broszury na ten temat, żeby nie powtarzać wszystkiego każdej napotkanej osobie, tylko już w drzwiach wręczać ulotkę. – Opisał klucz w liście, który wpadł w nasze ręce, zaadresowanym do Rietmanna. To wszystko.

– Dziękuję, ale już po ptakach. Trochę za późno na okazywanie zaufania. Teraz ja będę miał przed wami sekret. Zapewniam, że wszystko wyjawię, kiedy zyskam pewność, co do prawdziwości moich podejrzeń. Myślę, że najdalej jutro sprawa się wyjaśni. Tylko przeprowadzę małą ekspertyzę. Ale musicie zostawić ten skarb u mnie. – Ojciec zacisnął palce na kluczu przysuwając rękę do piersi. – Nie macie wyjścia i musicie mi zaufać... – Roman wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń. – Chyba, że dojdzie do rękoczynów, ale o to was nie podejrzewam, bo dobrze wam z oczu patrzy.

– Prawda jest taka, że przez ostatnie kilkanaście lat klucz był w posiadaniu pana Romana i właściwie to on ma prawo decydować co z nim zrobić

– powiedziała Irmina delikatnie głaszcząc ojca po ramieniu. Zauważyłam ten gest, ale zostawiłam tę sprawę do przemyślenia, na później.

W napięciu czekaliśmy na decyzję szefa naszej ekspedycji, chyba każde z nas tak o nim myślało. Pewnie wyczytał w naszych spojrzeniach zgodę na zaufanie panu Romanowi, bo ręka z kluczem zaczęła wędrować w stronę starego archiwisty. Zatrzymała się jednak w połowie drogi.

– Ale, zanim to zrobię... Aligator, zrób zdjęcia klucza. Musimy mieć jakąś dokumentację, na wypadek, gdyby...

– Spokojna głowa. Klucz będzie bezpieczny, mam sejf, a gdybym zajmował się paserstwem, to myślicie, że oszczędzałbym na remoncie i dawał gościom stare ciasteczka?

Te słowa zmroziły Józka, który chcąc udobruchać gospodarza i dając upust swojej łapczywości, właśnie ugryzł największy z serwowanych smakołyków. Głośno przełknął ślinę i odłożył nadgryzionego herbatnika na spodek.

Wyciągnęłam smartfona i zrobiłam kilka zdjęć. Potem podałam klucz Romanowi. Mężczyzna wstał, sięgnął na lodówkę i spod sterty starych dokumentów wyciągnął nowiutką różową kopertę, do której wsadził klucz.

– Zostawcie mi numer telefonu do siebie, zadzwonię zaraz jak wszystko potwierdzą. A mój numer macie tutaj – wyciągnął z portfela wymiętą wizytówkę z odstającymi rogami. – Zrób dziecinko zdjęcie, bo mam tylko jedną.

*

Kiedy wyszliśmy z domu zwierzynieckiego archiwisty, do Irminy zadzwonił telefon. Musiała jechać do redakcji. Ojciec zaproponował, że ją podwiezie i przy okazji załatwi jedną służbową sprawę.

– Chcecie jechać z nami? Tylko ostrzegam, że ja idę na nudną rozmowę, podczas której będę musiał kogoś ochrzanić, więc nie wypada, żebyście wchodzili ze mną. Czeka was siedzenie w samochodzie...

– Absolutnie się nie zgadzam – Józek zaskoczył wszystkich stanowczością. – Z tego co zrozumiałem Ali... Aligator nie zna Wilna, nie była nawet w katedrze, o której od rana opowiadacie. Myślę, że nikt jej tak nie oprowadzi jak ja, bo też nikt nie...

– Tak, tak! Zgadzam się. Idziemy! Wy lećcie do swojego nudziarstwa, a ja nareszcie się czegoś dowiem o tym mieście. Sprawy i tak nie pociągniemy dalej, dopóki pan Roman jest taki tajemniczy.

– Dobra. Co prawda chciałem przejść się z wami i dorzucić trzy grosze do opowieści przewodnika, ale faktycznie, nie ma co zwlekać z wycieczką. Może dołączymy do was później.

– Dobra, załatwione. My idziemy. Pa! – machnęłam im na pożegnanie i ruszyłam przed siebie.

– Moment, Aligator, nie w tę stronę!

No i jeszcze kawałek szliśmy we czwórkę, bo okazało się, że trasa naszej wycieczki biegnie obok cerkwi. Tam zostawiliśmy rodziców i weszliśmy na most nad Wilią. Przechodząc na drugą stronę rzeki znaleźliśmy się na placu przed Seimasem Republiki Litewskiej, za nim stała Biblioteka Narodowa. Zdjęłam kurtkę, bo zaczęło się robić naprawdę gorąco.

– Jesteśmy na Prospekcie Giedymina, najbardziej reprezentacyjnej ulicy Wilna, nazwanej tak na cześć wielkiego księcia litewskiego i dziadka Jagiełły. – Józek był w swoim żywiole. Widać było, że kocha opowiadać o swoim mieście. Kiedy na placu Łukiskim zapatrzyłam się na wystające znad drzew wieże kościoła św. Jakuba i Filipa, on nie przestając mówić szedł powoli dalej. – W XIX wieku rozstrzeliwano tu polskich patriotów, a tam NKWD torturowało ludzi.

– Zaczekaj! – musiałam podbiec, bo nawet nie zauważył, że mnie zgubił. – A nie znasz jakieś weselszej historii dotyczącej tego miejsca?

– Znam. W okresie międzywojennym, a właściwie to od początku XX wieku, dokładnie 4 marca, w dniu Świętego Kazimierza, organizowano tu wileńskie Kaziuki. Takie jarmarki odpustowe, które robi się do dziś. Musisz przyjechać w marcu i spróbować kaziukowe serce. Pycha, z piernika, z kolorowym lukrem. No i obwarzanki. Kiedyś piekli je w Smorgoniach, które dzisiaj leżą na Białorusi. Ponoć wieźli je stamtąd na jarmark kilka dni. Do tego są występy, sprzedaje się różne ludowe rzeczy.

– W innych miastach chyba też organizują Kaziuki, wydaje mi się, że w Poznaniu coś takiego widziałam.

– Słyszałem, ale jedyne, oryginalne są tu. To już ze cztery wieki tradycji.

Ruszyliśmy dalej. Otaczały nas jasne elewacje budynków. Prospekt Giedymina przypominał mi kanion, którego ściany były pięknymi kamienicami, a dołem płynęła rzeka ludzi. Mijaliśmy kolorowe wystawy sklepów, kawiarniane i restauracyjne ogródki. Nie miałam wątpliwości, że znajduję się w centrum sporego miasta. Wilia w cudowny sposób oddzielała podmiejską okolicę Zwierzynca od tętniącego życiem centrum miasta. Gwar ulicy od spokoju małego miasteczka dzieliło dziesięć minut spacerem. Co tu mówić, byłam zachwycona.

– To jest pomnik Vincasa Kudirki, twórcy litewskiego hymnu i założyciela pierwszej litewskojęzycznej gazety – opowiadał Józek, kiedy ja w głębi alei odkryłam znajomy kształt.

– A tam, czy to katedra wileńska?

– Tak, bazylika świętych Stanisława Biskupa i Władysława, cel naszej wycieczki.

Teraz to ja nie dawałam mu zwolnić, kolejne przecznice pokonałszy szybkim marszem. Coś tam próbował mówić o muzeum pieniądza po lewej, trzech muzach po prawej. Nie to, żebym nie chciała go słuchać, ale najważniejsze wydawało mi się dotarcie do miejsc istotnych dla naszego śledztwa. Liczyłam na to, że znajdując się w otoczeniu opisywanych przez Witka murów, zauważę coś, co przeoczyliśmy, poskładałam jakieś fakty do kupy albo znajdę świeży trop.

– Co to za wieża? – zapytałam, wskazując samotną budowlę stojącą obok świątyni. Przyznam się, że wygooglowałam sporo na temat samej katedry, ale okoliczne budynki sobie odpuściłam.

– Dzwonnica bazyliki. Według legendy dolne piętra były kiedyś wieżą pogańskiego arcykapłana Kriwe-Kriwejty. – Od razu zobaczyłam brodatego kapłana w hełmie przyozdobionym jelenimi rogami, wznoszącego pokłony do świętego drzewa i bełkoczącego błagalną pieśń do Perkuna. Następne słowa Józka zmusiły mnie do zmiany epoki, z hełmu odpadły rogi, w dłoni pojawił się miecz i już dzielny rycerz bronił zamku przed krzyżackim najazdem. – Potem zamieniono ją w basztę obronną składającą się na mury zamkowe. Właściwie, w każdej epoce coś do niej dobudowywano i dzisiaj mamy dzwonnice.

- To fantastyczne, poganie mieszają się z chrześcijańską historią.
- Ale często tak było. Wiele europejskich kościołów zbudowano w miejscach dawnych kultów. Widać ciągnie ludzi do pewnych miejsc...
- Może czuli jakąś energię?
- Albo po prostu było tu wzgórze, może studnia, święty gaj albo pogańskiemu kapłanowi dobrze się w tym miejscu spało. Moim zdaniem powody były bardziej przyziemne niż jakieś czakramy i miejsca mocy. – Znowu nie chciał dać się ponieść wyobraźni. Zatwardziały realista.

Świątynia z zewnątrz była tak biała, że aż musiałam zmrużyć oczy. Wejście do katedry przypominało front jakiejś antycznej rzymskiej budowli i kryło się za potężnymi kolumnami. W środku okazała się być dużo jaśniejsza niż to sobie wyobrażałam. Białe ściany, bez natłoku ozdób i obrazów, lepiej odbijały wpadające do środka światło. Ruszyliśmy prawą stroną zaglądając do kolejnych kaplic – św. Jana Nepomucena, Ukrzyżowanego Zbawiciela, św. Pawła i Ignacego Loyoli, a potem Marii Magdaleny. Na końcu, ostatnia przed ołtarzem, była kaplica świętego Kazimierza.

– Jest wzorowana na powstałej sto lat wcześniej Zyguntowskiej na Wawelu, z tym, że ta jest dwa razy większa – wyszeptał mi do ucha Józek, kiedy stanęliśmy w jej progu.

Skoro klucz mógł należeć do Kazimierza, musiałam odwiedzić też miejsce, w którym został pochowany. Jasne ściany zastępowały tu brązowe prążkowane marmury. We wnękach znajdowały się figury. Józek zauważył, że im się przyglądam. – To w kolejności Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Aleksander Jagiellończyk, Zygmunt I Stary, Zygmunt II August i Święty Kazimierz.

- A tam, na obrazie, w ołtarzu?
- Też święty Kazimierz, patron kaplicy. Zwróć uwagę na jego dłoń, ma aż trzy.
- Faktycznie, dwie prawe i obie trzymają lilie.
- Legenda mówi, że artysta najpierw namalował jedną, a potem zmienił zdanie i stwierdził, że umieści ją pod innym kątem, gdzie indziej. Zamalował pierwszą prawicę, przygotował drugą, ale ta pierwsza znowu się pojawiła. Kilka razy wyłaniała się spod farby. Nie mógł jej zamalować.

– Ale dlaczego? Co, cud?

– No tego już legenda nie wyjaśnia. Może jakaś tajemnica kryje się za tą ręką.

No i masz. Teraz nie mogłam przestać myśleć o tym, czy coś łączy trzecią rękę Kazimierza z naszym kluczem.

Zrobiłam kilka zdjęć i poszliśmy przed ołtarz główny.

– To tutaj, przy prezbiterium, w nawie głównej natrafiono na kryptę, do której wgramolił się wasz Witek.

– No chyba już nasz, prawda?

Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami a obok nas zaczęła się formować kilkusobowa grupa turystów. Mówili po polsku, podsłuchaliśmy, że będą schodzić do podziemi.

– Niestety. Na wycieczkę na dół trzeba się zapisywać kilka dni wcześniej – szepnął mi do ucha Józek.

– Jaka szkoda!

– Ale zaczekaj. – Zostawił mnie i podszedł do kobiety wyglądającej na przewodnika. Wrócił po chwili i ogłosił: – Załatwione, mają dwa wolne miejsca, bo ktoś się nie zjawił, idziemy z nimi.

Tak dostaliśmy się do podziemi. Był tam fajny klimat starych lochów. W niektórych miejscach przemieszczaliśmy się na czworakach, korytarzami, które przed wiekami służyły jako odpływy deszczówki. Zwiedziliśmy 9 krypt, ale najważniejsza była ta królewska, do której w dzieciństwie zakradł się Witek. Miejsce historycznie było wyjątkowe, ale chodzenie pod łukowatymi sklepieniami z pradawnej cegły nie wniosło nic nowego do naszych poszukiwań. Kolejne tropy musiały kryć się dużo głębiej i wcale nie czekały na nas na widoku.

Kiedy wyszliśmy przed katedrę omal nie upadłam. Strach dopadł mnie tak, jak uderza mocny wiatr. Tyle, że ta bryza niepokoju nie poleciała dalej, a została we mnie. Zakręciło mi się w głowie. Józek złapał mnie pod ramię i pomógł utrzymać równowagę.

– Nic ci nie jest? To od słońca, mocno dzisiaj grzeje.

– Nie, mam tak czasami. – Lęk ustępował i po chwili pozostał tylko lekki niepokój. Wiedziałam co to znaczy. Znowu miałam przecucie, że zdarzy się

coś złego. Ale jednocześnie zaczęły mnie swędzieć plecy, co było zapowiedzią dobrych wydarzeń. Takiego zestawu nigdy nie miałam. – Może to dziwnie zabrzmie, ale czy mógłbyś podrapać mnie w lewą łopatkę? – Odwróciłam się i nadstawiłam swędzące miejsce. Józek drapał doskonale, a potem zabrał mnie na lemoniadę. Tym razem ja płaciłam.

*

Muszę zaznaczyć, że w trakcie mojej wileńskiej przygody działo się kilka rzeczy związanych ze sprawą, a jeszcze mi wtedy nieznaną. Ich szczegóły poznałam dużo później, bo zwyczajnie nie było mnie na miejscu, ale postaram się o nich opowiedzieć.

Oto pierwsze z niewinnych wtrąceń. W czasie mojego zwiedzania miasta, dosyć daleko od Wilna, bo w Polsce, pod Hławą, działa się rzecz nietypowa. W mocnym słońcu – palącym w tym czasie nie tylko stolicę Litwy, ale również Pojezierze Hławskie – grupa roślących chłopów stąpała ostrożnie po mocno zachwaszczonym terenie. Wyglądali trochę jak sportowcy na wakacjach, bo większość z nich nosiła spodnie od dresu i adidas. Ich ruchy były powolne, obawiali się poparzenia pokrzywami. Wysokie łądygi z kłującymi listkami odgarniali metalowymi kijami, na końcu których znajdowały się dziwne pierścienie. Wyglądało to tak, jakby sprząтали krzaki ultracichymi odkurzacami. Do tego w uszach mieli słuchawki. Przypadkowy obserwator mógł pomyśleć, że grupa melomanów odkurza zarośla przy okazji robiąc sobie silent disco do składanki walców Straussa. Tylko co jakiś czas słychać było ciche przekleństwo, kiedy wygięta przez metalowy kij pokrzywa, jednak wracała na swoje dawne miejsce, przy okazji parząc rękę.

Cała scena miała obserwatorów, ale nie przypadkowych. Czterech mężczyzn przyglądało się płynnym ruchom kolegów. Trzech z nich, ubranych jak panowie z kijami, opierało się o łopaty, czwarty nosił się wytwornie – przynajmniej w porównaniu z resztą zespołu. Mokasyny z cienkiej skórki, lniane spodnie i podkreślająca opaleniznę jasna koszula z podwiniętymi rękawami. Surowe zapewne spojrzenie skrywał za okularami przeciwsłonecznymi jakiejś włoskiej marki. Czarne kręcone włosy wystające z rozcięcia koszuli pod brodą i pokryte identycznym dywanem przedramiona nadawały mu charakter południowca. Dywan ten był tak gęsty, że prawie zasłaniał tatuaż,

dziwaczny znak przedstawiający coś na kształt pałki zakończonej zaciśniętą pięścią. Poniżej przegubu wytatuowanej dłoni znajdowało się wytrzeszczone oko. Natomiast kruczoczarne owłosienie na głowie zdawało się uciekać na plecy, odsłaniając bardzo wysokie czoło. Jeden ze „sprzątaczy” podniósł rękę i zamachał. Włochaty wskazał go palcem ozdobionym ciężkim złotym sygnetem. Do wzywającego pomocy ruszył najbliższy stojący człowiek z łopata, ciągnął ze sobą długi metalowy pręt.

Kryjący się za krzakiem obserwator przypadkowy (no, może nie do końca, choć wyglądał na przypadkowego) właśnie w tym momencie ostatecznie zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z grupą ludzi przeszukującą teren wykrywaczami metalu. Nakłuwanie ziemi prętami i wykopki owocowały znaleziskami, od których serce mogło zabić mocniej jedynie złomiarzom. Przesadnie zadbany mężczyzna przydepnął kolejny niedopałek papierosa i zaklął paskudnie, po czym nakazał całej ekipie przenieść się na działkę leżącą tuż za rozsypującym się murkiem. Klął jak szewc, po polsku, ale ze śpiewnym, wschodnim akcentem. Pozornie przypadkowemu obserwatorowi już wystarczyło to, co zobaczył. Odszedł kawałek w las, wyciągnął telefon i powiedział komu trzeba, o tym co się dzieje w ruinach pałacu pod ławą.



BIEG PRZEZ PŁOTKI

Wracam do Wilna i wydarzeń, o których mam większe prawo opowiadać, bo byłam ich uczestniczką.

Irmina zadzwoniła do Józka mówiąc, że niestety musi posiedzieć do wieczora w redakcji. Niewiele później ojciec dał znać, że również jego spotkanie nie potrawa dużo dłużej niż przypuszczał, bo jeszcze się nawet nie zaczęło. Martwił się, że nie spędza ze mną czasu i być może się nudzę. – Spokojnie – tłumaczyłam. – Józek potrafi zadbać o dziewczynę. Nie ma mowy o nudzie. Do wieczora zejdziemy spory kawałek miasta, a i tak jeszcze dużo zostanie do odkrycia.

- Czyli byliście w katedrze beze mnie?
- Tak, ale na wizytę z tobą zostawiam Ostrą Bramę...
- I na Zarzecze beze mnie nie idźcie.
- Zarzecze tylko z ojczulkiem.
- To gdzie jeszcze byliście?
- Z katedry poszliśmy na Górę Zamkową....
- Giedymina?
- Tak, Giedymina.
- A opowiadał ci Józek o odkryciu...?

– Że znaleziono tam groby powstańców styczniowych? Oczywiście, że opowiadał. Pewnie wiedział, że mnie przepytasz. Po wszystkim zgłosi się do ciebie po ojcowski certyfikat, bo teraz się czuję, jakby mnie oprowadzał tak trochę nielegalnie. – Spojrzałam na Józka, który przysłuchiwał się całej rozmowie. Lekko się uśmiechnął.

– Oddałem cię w jego ręce, więc certyfikat ma.

– A ja jestem worek kartofli, że mnie tak sobie przerzucacie?

– Ojej, Aligator, wiesz o co chodzi. Samej bym cię w obce miasto nie puścił.

– Bo coś by mi się stało? Przecież aligatora nikt nie ruszy, bo jeszcze capnie i rękę odgryzie.

– A głodni nie jesteście, bo to już obiadowo się robi?

– Wracamy na Zwierzyniec, bo Józek, ma tam fajną miejscówkę, w której dają dobrze zjeść.

– Nawet nie mów, już mi ślinka cieknie. Mam nadzieję, że tu szybko skończę i uda mi się do was dołączyć. Jestem głodny jak wilk.

– To zostawimy ci jakieś kosteczki do ogryzienia.

Jeszcze chwilę się przekomarzaliśmy. Potem wróciłam do Józka.

– A możemy wrócić na Zwierzyniec drogą nad rzeką?

– Trochę nam to zajmie, bo Wilia się wije. Ale..., mam pomysł, chodź! – Odwracając się złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Chyba zaczął się zastanawiać, czy to nie nazbyt śmiały gest, bo po chwili poluźnił uścisk. Wtedy to ja mocniej ścisnęłam jego dłoń.

Zaprowadził mnie na postój rowerów. Okazało się, że w Wilnie działał taki sam system wynajmu dwukołowców jak w Warszawie. Wypożyczyliśmy dwa pojazdy i ruszyliśmy w stronę rzeki. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, potem zaczęłam ciągnąć go za język.

– Świetnie ci idzie opowiadanie o Wilnie. Nie myślałeś, żeby zostać przewodnikiem?

– No, właściwie jestem kimś takim..., u nas, w drużynie...

– Drużynie?

– Harcerskiej, jestem harcerzem. – Powiedział tak jakby się odrobinę wstydił. – Już od pięciu lat. Od małego lubiłem historię, szczególnie Wil-

na i Wileńszczyzny, a w harcerstwie zostałem kimś na kształt przewodnika i jeszcze pogłębiłem wiedzę o mieście.

– Ja zawsze chciałam, ale jakoś nie wyszło, może to noszenie mundurów.... No i wykonywanie rozkazów, chyba nie byłabym w stanie się podporządkować. Ojciec i babcia byli harcerzami, a pradziadek nawet walczył w Szarych Szeregach, w powstaniu warszawskim. – Nagle przypomniałam sobie opowieść babci. – A wiesz, że powstanie nazwy Szare Szeregi ma trochę wspólnego z Litwą? – Wyglądał jakby nie wiedział, więc mówiłam dalej. – Poznańscy harcerze w czasie wojny roznosili wieczorami ulotki, zostawiali je w skrzynkach pocztowych Niemców przesiedlonych właśnie z Litwy... no i Łotwy oraz Estonii. Te rodziny myślały, że Polacy dobrowolnie opuścili domy, do których one właśnie się wprowadziły. Ulotki harcerzy opisywały jak było naprawdę, że Polaków wypędzono z własnych mieszkań, a podpisywano je skrótem SS. Kiedy trzeba było ten skrót rozwinąć, harcerze zdecydowali się mówić, że to właśnie Szare Szeregi. No i tak powstał konspiracyjny kryptonim polskiego harcerstwa. Ot cała historia. – Nie wiem po co się wymądrzałam. Może też chciałam powiedzieć coś mądrego, skoro od rana to głównie on błyszczał wiedzą.

– Widzisz? Już masz ciekawostkę, którą można wpleść w przewodniczą opowieść. Zakładam się, że dałabyś radę oprowadzać mnie po Warszawie z kilkanaście godzin.

– Będę cię oprowadzać nawet kilka dni. Bo musicie przyjechać z rewizytą.

– To zaproszenie?

– Żądanie! Przez najbliższe kilka dni będę wierciła twojej mamie dziurę w brzuchu, żebyście nas odwiedzili jeszcze w te wakacje. No i przyjedziecie. Jestem skuteczna w takich działaniach.

Uśmiechnął się, w ogóle przez następną godzinę często się śmialiśmy, bo od tego pedałowania na rowerach złapaliśmy lekką głupawkę. Józek pomógł mi zapomnieć o lekkim niepokoju, który towarzyszył mi od wyjścia z katedry. Wiedziałam, że im bliżej pechowego wydarzenia, tym uczucie będzie silniejsze. Mimo to, lęk tego dnia nie był tak silny jak przed śmiercią mamy. Wtedy paraliżował mnie strach, teraz byłam zwyczajnie zaniepoko-

jona. Ale pojawiające się co jakiś czas swędzenie dawało też nadzieję na również pozytywne wydarzenia.

Kiedy dotarliśmy do przystanku rowerowego przy Uniwersytecie Nauk Edukacyjnych, Józek ogłosił, że to już Zwierzyniec i dalej pójdziemy na piechotę. Ze śmiechu bolały mnie policzki i brzuch. Ledwo byłam w stanie zsiąść z roweru, a moja niezgrabność wywołała w nas kolejną salwę śmiechu.

Fajny był ten Józek i nawet zaczynałam o nim myśleć jak o kimś więcej niż kumplu. W każdym razie zaczęłam się zastanawiać jak by to było spotykać się z kimś, kto żyje w innym kraju. Niestety zwykle startowali do mnie mało interesujący przedstawiciele płci brzydszej. I to raczej nie ci, którzy wpadali mi w oko. Przykładowo, moje długotrwałe podchody do szkolnego nerda kończyły się zwykle rozmowami o całkach, ale na każdej przerwie prężył się dla mnie atleta z równoległej klasy. Mało mu żyłka na czole nie pękła, kiedy, widząc mnie na korytarzu, nagle unosił swój ciężki plecak jak hantle na siłowni. Ale biedak nie miał szans, bo wtedy imponował mi tylko nerdowski umysł. Umysł, który widział we mnie tylko kumpelę od całek. Tak samo mogło być z Józkiem. Miły i uczynny, bo mama mu kazała zadbać o gościa. Chociaż przy pierwszym spotkaniu jeszcze nie wiedział kim jestem, a już się mną interesował. Doszłam do wniosku, że znajomość dobrze rokuje.

Humory dopisywały nam przez całą drogę prowadzącą tuż obok domu Romana. Józek zerknął na podwórko archiwisty i nagle kazał mi się schylić. Zrobił to tak raptownie, że nie zdążyłam nawet zaprotestować. Kolana same się ugięły i już zza ogrodzenia razem z nim obserwowałam tylne wejście do zwierzynieckiego archiwum. Drzwi zostały wyważone, wisiały na jednym zawiasie, a z miejsca gdzie zasuwą zniknęła we framudze sterczały drzazgi. Ale to nie te szczegóły zwróciły uwagę Józka. Ze środka wychodził właśnie nieznany nam mężczyzna. Na głowie miał czapkę baseballową, na oczach olbrzymie okulary przeciwsłoneczne, a resztę twarzy zasłaniała mu maska przeciwpyłowa. Gdyby nie trzymany w dłoni łom, można by uznać, że był znajomym Romana uczulonym na kurz i roztocza. Jednak wyważone drzwi izymane narzędzie jednoznacznie wskazywały na złoczyńcę, no może jeszcze skórzane rękawiczki na dłoniach.

– Ej! Zatrzymaj się i rzuć łom! – Józek krzyknął tak, że aż podskoczyłam. Starał się nadać głosowi jak najbardziej niski ton, przez to brzmiał trochę nienaturalnie. Wciąż pozostawaliśmy w ukryciu. Zamaskowany mężczyzna rozejrzał się nerwowo, ale nas nie dojrzał. Wtedy rzucił narzędzie w krzaki i zaczął uciekać. Nie wybrał naszego kierunku, tylko przeciwne ogrodzenie. Było niskie, więc bez trudu je przeskoczył. Józek nie próżnował, rzucił się w pogoń i był już w połowie podwórka Romana. A ja? Przemyślałam sprawę. Biegając w tym kierunku uciekający przestępca i ścigający go Józek musieli uprawiać skoki przez płotki. W którymś momencie ścigany pewnie się tym zmęczy i skręci w stronę ulicy. Nie ruszyłam ich śladem tylko okrążyłam dom Romana i znalazłam się na chodniku. Dalej biegłam już co sił w nogach zerkając tylko w mijane po lewej stronie podwórka. Nie widziałam ani włamywacza, ani mojego przewodnika. W pewnym momencie, gdzieś wśród drzew przede mną, dało się słyszeć okrzyki Józka. Już nie symulujące głos mięśniaka na sterydach, a przerywane dyszeniem, momentami piskliwe: – Stój bandyto! Tućtoijau sustok! Zatrzymaj się złodzieju! – Dzięki temu wiedziałam, że chłopak nadal się przemieszcza i to w przewidzianym przeze mnie kierunku. Miałam tylko nadzieję, że nie zgubił przestępcy.

W oddali zaczęła czekać pies, wyraźnie wściekły, że ktoś wkroczył na jego teren. Nagle, jakieś sto metrów przede mną, na chodnik zeskoczyła z parkanu zamaskowana postać. Twarz w przekrzywionych okularach przeciwsłonecznych na chwilę zwróciła się w moją stronę, po czym włamywacz ruszył w przeciwną stronę. Lekko utykał. Widać było, że jest już zmęczony pościgiem. Jeszcze chwila i miałam szansę go dopaść. Naprawdę nie myślałam wtedy co będzie dalej. Kiedy byłam na wysokości miejsca, w którym ścigany wypadł na drogę usłyszałam westchnięcie Józka i następne co zobaczyłam to płytę chodnikową z bliska. U moich stóp leżał zdyszany chłopak. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że zeskakując z ogrodzenia runął prosto na mnie. Pierwsza byłam na nogach. Józek wstając wydyszał: – Sorry! Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko OK. – Klepnęłam go lekko w ramię. – Biegiem! Możemy go jeszcze złapać! – Włamywacz zniknął nam z oczu, więc uznaliśmy,

że musiał skręcić na pobliskim skrzyżowaniu. Chwilę później znaleźliśmy się na rogu. Po prawej jakaś para szła spokojnym krokiem w naszą stronę. Po lewej zamaskowany mężczyzna właśnie siadał za kierownicą samochodu. Zanim zamknął drzwi spojrzął jeszcze w naszym kierunku i pomachał ręką. Potem biały mercedes ruszył i odjechał z piskiem opon. Biały mercedes, na litewskich numerach. Tablice się zmieniły, ale nie miałam już wątpliwości, że to ten sam, który stał pod naszą kamienicą w Warszawie. Po przekroczeniu granicy po prostu zmienił numery. A ja głupia znowu zapomniałam o nim powiedzieć ojcu. Ale kto wie, czy gdyby wiedział, że ktoś nas śledzi w ogóle zabrałby mnie na wyprawę do Wilna?

– Zapamiętałem numery. – Józek dyszał opierając się dłońmi o kolana.

– Nie wiem czy to się nam przyda.

– Pan Roman! – krzyknął Józek. Wyprostował się i nawet nie wiem, kiedy zaczął biec w kierunku, z którego przybyliśmy. Wiedziałałam o co mu chodzi i już po chwili byłam tuż obok niego.

Przebieraliśmy nogami chyba nawet szybciej niż podczas pościgu za włamywaczem. Do domu archiwisty wpadliśmy zdyszani. Drzwi wyłamano, ale na korytarzu nie było widać żadnych zniszczeń, nikt nie rozkopał piętrzących się stosów gazet. Nawołując zaglądaliśmy do kolejnych pomieszczeń, ale nigdzie nie było Romana. Na końcu korytarza po lewej znaleźliśmy sporych rozmiarów pokój, który służył gospodarzowi za biuro. Na wielkim stole pod oknem, oprócz kolejnych wież ułożonych z dokumentów, stała biblioteczna lampka z zielonym abażurem i wielki kubek z kawowymi zaciekami. Widzieliśmy to zaglądając do pomieszczenia przez drzwi. Dopiero kiedy weszliśmy głębiej naszym oczom ukazał się siedzący na dywanie Roman. Odwrócony do nas plecami, masował się leniwie po głowie. Przed nim stał otwarty sejf, całą jego zawartość wyrzucono na podłogę. Na powierzchni zmechaconego tureckiego kobierca walała się gotówka, pożółkłe kartki wiekowych dokumentów, stare monety, pozłacane bibeloty i dość archaiczny cyfrowy aparat fotograficzny.

– Nic panu nie jest? – Józek pochylał się nad starszym mężczyzną, który wciąż gładził się dłonią po głowie. – Chyba mocno pan oberwał?

– Może poszukam apteczki? – zaproponowałam wycofując się w kierunku łazienki, w której widziałam wcześniej szafkę z wygrawerowanym czerwonym krzyżykiem.

– Nie, nie trzeba – wyszeptał Roman wciąż się nie odwracając.

– Złodziej zostawił gotówkę. Szukał czegoś konkretnego – zauważył Józek zerkając w stronę otwartych drzwi sejfów.

– Klucz! – zawołałam, zaraz z przerażeniem zasłaniając sobie usta. W tej samej chwili Roman powoli odwrócił się do nas. Na jego twarzy widać było uśmiech. Przestraszyłam się, że od zbójckiego uderzenia w głowę przestawiała mu się klepki.

– Spóźnił się. Zaraz po waszym wyjściu zaniósłem klucz na uniwersytet.

– Roman korzystając z pomocy Józka zaczął się powoli podnosić. – Zaniósłem do znajomej historyczki, która pracuje na uniwersytecie.

– Uff! – wymusnęło mi się, kiedy nerwy zaczęły opadać. – Co za szczęście.

– Ta znajoma..., przysuń mi chłopcze krzesło. – Józek wykonał polecenie.

– O, dziękuję. A ty dziecko zamiast apteczki, przynieś z zamrażalnika paczkę groszku. – Pobiegłam do kuchni i zaraz byłam z powrotem z parującą zimną foliową torebką, wypełnioną zielonymi kuleczkami. Roman przyłożył ją sobie tam, gdzie wcześniej się masował. – Kontynuując, moja znajoma z uniwersytetu, miała pewną teorię, a ten klucz się w nią idealnie wpisuje. Zostawiłem u niej nasze znalezisko. Powiedziała, że postara się zrobić w nocy małą ekspertyzę. Potem wróciłem do domu i zacząłem pracować. Mam tu górę papierów do zarchiwizowania – wskazał stosy dokumentów na blacie dębowego stołu. – Musiałem otworzyć sejf, bo w nim trzymam aparat, którym robię dokumentację cyfrową. Mamy XXI wiek, idę z biegiem czasu. – Już miałam zapytać co robi ze zdjęciami, bo w całym domu nie widziałam żadnego komputera, na który mógłby je zrzucić. Zdecydowałam się jednak nie przerywać zeznań ofiary włamania. – No i przyznam się, że chyba zasnąłem nad tymi papierami. Obudziło mnie jakieś trzaśnięcie. Potem mocne uderzenie gdzieś w głębi domu. Wyrząłem na korytarz i zobaczyłem, że ktoś wyłamuje drzwi. Już się drzazgi sypały, więc wiedziałem, że mam mało czasu. Pod biurkiem trzymam takiego straszaka. O tam leży – wskazał malutki pistolecik, który

ktoś odkopnął pod kaloryfer. – Pobiegłem po niego, zacząłem go szukać. Ale chyba byłem zbyt wolny. Poczułem silny ból tu, gdzie teraz ziębi mnie groszek, zrobiło się ciemno i widać padłem na dywan. Skubaniec musiał mnie czymś rąbnąć. Następne co pamiętam, to wasze wołanie na korytarzu.

– Myślę, że nie spodziewał się pana w domu. A kiedy zdał sobie sprawę, że jednak zastał gospodarza, musiał szybko działać. Miał łom w rękę i go wykorzystał. Dobrze, że to się gorzej nie skończyło.

– I tak uważam, że powinien pana obejrzeć lekarz. – Józek wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. – No i trzeba wezwać policję....

– Spokojnie chłopcze, dzielnicowy to mój partner od brydża. Zaraz do niego przedzwonię. A u lekarza ostatni raz byłem w podstawówce i nie zamierzam tego zmieniać. Nie lubię zastrzyków, a na pewno mi jakiś dadzą. Lepiej zadzwońmy po waszych rodziców.

*

Pierwszy na miejscu zjawił się dzielnicowy. Wyglądał jak żywa reklama pączków, wielki owal na małych nóżkach, z małą, również okrągłą główką. Nie był jednak filmowym policjantem zajądającym się lukrowanymi słodyczami. Jego mundur był nienaganny, idealnie skrojony na pokazną sylwetkę. Spodnie nosiły ślady perfekcyjnego prasowania. Buty lśniły tak, że trzeba było mrużyć oczy. Wypytał nas o szczegóły zdarzenia i umówił się z Romanem na kolejną rozgrywkę brydżową. Potem zjawili się ojciec i Irmina. Nie umknęło mojej uwadze, że przyjechali razem. Opowiedzieliśmy im wszystko, ze szczegółami. Napięcie już całkowicie opadło i zrobiliśmy się bardzo głodni, więc Józek zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść.

– Bardzo bym chciał z wami jeszcze posiedzieć, ale niestety muszę podziękować – tłumaczył się Roman, kiedy staliśmy na podwórku przed jego domem. – Zaraz do drzwi przyjedzie ślusarz, a poza tym muszę złożyć relację osiedlowej agencji informacyjnej. – Wskazał idącą ulicą Petrauskasową.

– To my uciekamy – zdecydował ojciec. – Tak jak rozmawialiśmy, jutro spotykamy się na uniwersytecie? – Chwilę wcześniej ojciec wymusił na Romanie telefon do jego znajomej historyczki. Potwierdzili w ten sposób, że nikt nie naruszył spokoju kobiety. Była obawa, że włamywacz po nieuda-

nej akcji w archiwum na Zwierzyńcu, mógł w jakiś sposób dojść do tego, gdzie znajduje się klucz i nękać uniwersytecką panią profesor. Wileńska uczelnia miała jednak doskonałą ochronę. Klucz był bezpieczny.

– Widzimy się, macie jak w banku!

Pożegnaliśmy się z Romanem.

– To, gdzie jemy? – zapytałam lokalną część naszego zespołu.

– Jak to, gdzie? Jedziemy na Zarzecze – zdecydował ojciec zanim ktokolwiek inny zdążył się odezwać.

– A co to właściwie jest to Zarzecze? – drążyłam temat głównie dlatego, że towarzyszyło mi dwóch zapalonych opowiadaczy i chciałam im zrobić przyjemność. Panowie tylko czekali na okazję do opowiedzenia o jakimś zakątku Wilna. Tym razem to Józek był szybszy, pewnie dlatego, że ojciec szukał kluczyków do samochodu. – Zarzecze to taki nasz Montmartre. Kiedyś to było przedmieście, które wyjątkowo lubili przestępcy. Osiedlali się tam też Żydzi. Z czasem pojawili się artyści. Przed wojną mieszkał tam ten poeta od Teatryku Zielona Gęś, no nie mogę sobie przypomnieć. Konstanty...?

– ...Ildefons Gałczyński – zdążyłam ubiec ojca, który już otwierał usta, żeby uzupełnić wypowiedź Józka.

– No, tak, Konstanty Ildefons Gałczyński. Ferdynand Ruszczyk, ten malarz, zresztą wielki miłośnik Wilna, też mieszkał na Zarzeczcu. Wtedy kwitło tam życie kulturalne. Ale przyszła wojna, Niemcy wymordowali Żydów, a Polaków z Zarzeczca wysiedlono. Zostali tylko kryminaliści i po wojnie to oni przejęli dzielnicę. W wielu domach nie było kanalizacji, ciepłej wody i prądu. Ponoć wtedy na głównym placu Zarzeczca, na ścianie, był napis po rosyjsku „ulica śmierci”, tak było niebezpiecznie. Dopiero w latach 90. zaczęło się tam zmieniać. Mieszkania były tanie, więc zaczęli je zajmować studenci Akademii Sztuk Pięknych, która znajduje się po sąsiedzku, tuż za Wilejką. No i zrobiło się artystycznie.

Józek musiał złapać oddech i napić się wody. Ojciec zdawał się tylko na to czekać i przejął pałeczkę przewodnika.

– Artystom tak się tu spodobało, że pod koniec lat 90., chyba w 1997 roku, Zarzecze ogłosiło swoją niepodległość.

– Użupio Res Publica – wtrąciła Irmina.

– O właśnie. Mają swoją konstytucję i hymn, a nawet władze, prezydenta, premiera i biskupa. A dzień niepodległości wyznaczyli sobie w prima aprilis.

– Naprawdę, pierwszego kwietnia?

– Tak Aligatorku, twoje ulubione święto.

– Mam tego dnia urodziny. – Wyjaśniłam niezorientowanej części naszej grupy. – Już kocham to Zarzecze.

Zostawiliśmy samochód i ruszyliśmy do mostu łączącego dwa brzegi Wilejki, rzeki od tej strony wyznaczającej granicę Republiki Zarzecze.

– O, to jest tablica graniczna – Józek znowu przejął inicjatywę i wskazał napis „Użupio Res Publica”, pod którym znalazły się tłumaczenia w czterech językach, w tym po polsku. Kiedy weszliśmy na most Józek wychylił się za jego balustradę i wskazał przeciwny brzeg. – O, a tam siedzi Rusałka, Panna z Zarzecza. Jeden z dwóch symboli dzielnicy.

– Przecież to nasza syrenka! – zawołałam, bo we wnęce opatrzonej datą „1881” siedziała kobieta z rybim ogonem. – W godle Warszawy jest taka sama, tylko z tarczą i mieczem.

– Nasza, jak widać, jest pokojowo nastawiona.

– A drugi symbol?

– Chodźmy, zaraz pokażę.

Po lewej minęliśmy domek z czerwonej cegły, w którym kryła się kawiarnia. Jej ogródek wychodził na samą rzekę. Pomyślałam, że to dobre miejsce na posiłek, ale Józek miał zdaje się inne plany i prowadził nas dalej, ulicą otoczoną przez niskie kamienice. Mijały nas grupki rozbawionych ludzi. Zarzecze lubili szczególnie turyści poszukujący ciekawych miejsc na spędzenie wieczoru. Tak przynajmniej twierdził Józek. Doszliśmy do placu, pośrodku którego stał pomnik anioła dmącego w trąbę.

– To on, Anioł z Zarzecza. Drugi, chyba najbardziej rozpoznawalny symbol Republiki.

– Gra na tej trąbie jak moje kiszki marsza. – Złapałam się za brzuch, strasznie w nim burczało.

– Może tam usiądziemy? – Józek wskazał uliczkę po prawej, w głębi ustawiono restauracyjne parasole. Za nimi widać było niezwykle malownicze wzgórze, całe ginęło w zieleni, a za nim widać było wieże jakiegoś kościoła.

– Doskonale! Padam z głodu – odezwała się Irmina.

– Od kiedy zobaczyłem syrenę marzę o rybie z frytkami – dodał ojciec.

Byliśmy zdecydowani.

– A co to za kościół tam z tyłu? – widok wież na wzgórzu nie dawał mi spokoju.

– To kościół Wniebowstąpienia, też kawałek historii miasta. Obok był klasztor. Jeszcze się tam przejdziemy, wtedy wszystko ci opowiem – zapewnił Józek.

Już nie mogłam się doczekać.

Usiedliśmy przy stoliku pod parasolem. Zjawił się kelner. Zamówiliśmy posiłek, oczywiście ryby z frytkami nie było, bo restauracja okazała się być pizzerią. Byłam zmęczona i tęnym spojrzeniem patrzyłam w głąb wąskiej uliczki. Słońce chyliło się ku zachodowi. Jego promienie padały na jasne elewacje. Leniwie przeniosłam wzrok na plac, z którego przyszliśmy. Przez równoległą ulicę przejechał skuter, a zaraz za nim mignął mi jakiś biały samochód. Białe! – Kolejny raz w głowie zapaliła mi się lampka. Zdecydowałam się czym prędzej poinformować grupę śledczą o swoich obserwacjach. Bałam się, że jak zaraz im tego nie przekażę, to znowu zapomnę.

– Tyle się działo, że zapomniałam wam coś powiedzieć.

– Brzmi poważnie. Dawaj, przyjmijmy to na głodniaka. – Ojciec usadowił się wygodniej w fotelu i założył nogę na nogę. – Zamieniam się w słuch.

– Ten biały mercedes na Zwierzyńcu, wydaje mi się, że widziałam go już wcześniej.

– Mercedes C W 204 to popularny model. Sporo ich jeździ po ulicach – wtrącił Józek.

– Ten sam? Biały? Do tego widziałam go u nas pod domem w Warszawie i teraz ucieka nim bandyta w Wilnie?

– Na takich samych numerach? Bo Józek mówił, że ten tutaj miał litewskie tablice.

– No ten w Warszawie był na niemieckich, ale jechał za nami z lotniska i zaparkował pod wejściem do klatki. Wydaje mi się, że w Gdańsku też takiego widziałam. Tablice można przecież odkręcić.

– Podałem dzielnicowemu te numery, które widzieliśmy. Ma je sprawdzić.

Ojciec się zamyślił. Dałam mu chwilę, bez nacisków. Po nie więcej niż minucie westchnął i zaczął mówić spokojnym, ale poważnym głosem: – Jeśli naprawdę jeździ za nami jakiś biały mercedes i do tego jego kierowca jest włamywaczem bijącym ludzi po głowach, to myślę, że ta przygoda staje się zbyt niebezpieczna.

– Szczególnie wy, nie powinniście uczestniczyć w sytuacjach, w których pojawiają się przestępcy i można oberwać. – Irmina była wyraźnie przejęta, bo przy słowie „przestępcy” załamał się jej głos.

– Nawet bez białego mercedesa sprawa jest nieciekawa. Włamanie do Romana i napaść, a potem wasz pościg za przestępcą. To nie powinno mieć miejsca. Mógł być uzbrojony w nóż, pistolet... i wcale nie mieć ochoty na bieżanie po Zwierzyńcu.

– Ale nic nam nie groziło. Byliśmy we dwójkę. – Józek też już czuł, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Wyrzucił łom jeszcze przed drzwiami... – próbowałam go wesprzeć, ale tylko pogorszyłam sprawę. Wspomnienie o łomie równało się z wyrokiem skazującym naszą przygodę na śmierć.

– Nie pogrążajcie się. Prześpimy się z tym problemem i jutro podejmiemy ostateczną decyzję. – Przełknął łyk mineralki. – Po spotkaniu na uniwersytecie postanowimy co robić dalej. Najpewniej przerwiemy całą akcję i zaczniemy prawdziwe wakacje.

*

Po posiłku wszyscy zaczęli ziewać. Zapakowaliśmy się do samochodu. Przez całą drogę do domu praktycznie milczeliśmy. Atmosfera była ponura. Kiedy dotarliśmy do celu wszyscy usiedli przy kuchennym stole. Rodzice nalali sobie po lampce wina, nam dostał się kwas chlebowy. Całkiem smaczny, słodki napój, który faktycznie pachniał zakwasem. – Słowiańska coca-cola – powiedział Józek podając mi otwartą butelkę. Kolor był podobny, ale

smak zupełnie inny. Irmina wypła łyk wina i powiedziała, że idzie przygotować nam pościel. Ojciec zaproponował jej pomoc, jeszcze zanim ja zdążyłam to zrobić, ale odmówiła. – To obowiązek pani domu. – Kazała Józkowi włączyć jakąś miłą muzyczkę i zniknęła na górze. Ojciec odprowadził ją tęsknym wzrokiem i nagle zadzwonił do niego telefon. Przeprosił i wyszedł do ogrodu, a my przeszliśmy do salonu. Gospodarz włączył maleńką lampkę stojącą w rogu pokoju. Usiadłam na kanapie i patrzyłam przez okno jak ojciec chodzi w tę i z powrotem kilkanaście metrów od domu. Było już ciemno i tylko włączony ekran smartfona zdradzał jego pozycję.

– Czego chcesz posłuchać, SBB czy Guns N' Roses?

– Może być SBB, dziadek mi to puszczał, jak byłam mała.

– O, widzisz jaki zbieg okoliczności! Tę płytę mama dostała właśnie od dziadka. Puszczała nam te same kołysanki. Starość, ale fajnie grają. – Józek chuchnął na czarną winylową powierzchnię, położył płytę na blacie gramofonu, a kiedy zaczęła się kręcić ustawił igłę w odpowiednim miejscu. Z głośników ustawionych po obu stronach kominka popłynął rytm wybijany przez perkusję. Dołączyła do niego gitara.

– Super! Kojarzę ten kawałek – przypomniałam sobie jak Sławo oddawał mi czasem słuchawki od swojego wiekowego gramofonu Unitra i puszczał tę samą melodię. Józek zapalił kilka świec i zgasił lampkę. Spojrzałam z powrotem za okno i zobaczyłam, że światełko ojcowskiego telefonu się oddała. Szedł w dół ogrodu, w stronę rzeki. Po chwili telefon się wyłączył. Widać skończył rozmowę.

– Przepraszam cię Józek. Muszę na chwilę iść do ojca. Muszę z nim... porozmawiać.

– Myślisz, że to coś da?

– W czym?

– No, że go namówisz, żeby nie przerywał całej akcji, jak już mamy klucz...?

– Nie, ja w innym temacie.

Zamknęłam za sobą drzwi prowadzące na taras i ruszyłam w głąb ogrodu. Z każdym krokiem coraz bardziej miękły mi kolana. Dotarłam do miejsca, w którym ostatni raz widziałam światło jego telefonu. Zniknęła.

– Gdzie jesteś?! – zawołałam.

– Tutaj! – odezwał się z prawej strony. Stał tuż za owocowym drzewkiem, zdaje się, że wiśnią. Ruszyłam w jego kierunku.

– Posłuchaj...!

– Nie, nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Powiedziałem, że musimy się przespać z tematem. – Dlaczego wszyscy myśleli, że mam tylko jedno w głowie? Przecież na świecie istniały jeszcze inne rzeczy poza kluczem Świętego Kazimierza.

– Spokojnie. Ja w innej sprawie.

Wciągnął powietrze i głośno je wydmuchnął. Nie widziałam dokładnie, ale chyba pogładził się po brodzie.

– Przepraszam. Po prostu z opóźnieniem do mnie dotarło, jak żeście ryzykowali. Jestem na siebie zły, że mnie tam nie było.

– Wiem, ale już to zostawmy. Do jutra. Tak jak powiedziałeś.

– No dobra – objął mnie i ścisnął. Potem odsunął od siebie wciąż trzymając za ramiona. – O czym chciałaś ze staruszką rozmawiać? – Spojrzałam na dom. W uchylonych oknach na dole kołysało się światło świecy, a na poddaszu Irmina właśnie rozkładała kołdrę na niewidocznym z tego miejsca łóżku.

– Chodź kawałek dalej. – Złapałam ojca za rękę i poprowadziłam w mrok. Wzrok już przyzwyczyił się do ciemności, więc bez trudu znalazłam furtkę w ogrodzeniu ogrodu. Wyszliśmy na ścieżkę prowadzącą wzdłuż rzeki. Światło księżycy odbijało się w wodzie.

– Toż to musi być straszna tajemnica, skoro mnie ciągniesz taki kawał.

– Przestań żartować i posłuchaj. Nie jest łatwo o tym mówić. – Zatrzymałam się, puściłam jego dłoń i postarałam się odnaleźć w półmroku jego spojrzenie. – Minęło już kilka lat, to twoje życie, ale ja jestem jego częścią, zawsze będę...

– Co się dzieje Alina? – chyba zauważył moje przejęcie, bo powiedział do mnie po imieniu.

Ćwiczyłam w myślach tę rozmowę tyle razy. Miałam zaraz dodać: – To twoje życie, ale jestem jego częścią i dla mnie to za wcześnie. Ja chyba nie jestem jeszcze gotowa. Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że gdzieś tam na wyjazdach się z kimś spotykasz, ale dopóki tego nie widzę, jest mi łatwiej. – W tym kierun-

ku zamierzałam brnąć. Jednak przez cały dzień widziałam ojca w towarzystwie innej kobiety, z którą dobrze się bawił i świetnie dogadywał. Do tego razem zniknęli i razem się pojawili kilka godzin później. Tylko dzieciak nie domyśliłby się co jest grane. A ja? Kochałam go najbardziej na świecie i chciałam, żeby był szczęśliwy.

– To nie jest dla mnie łatwe. Myślałam, że nie dam rady. Ale jeśli ty i Irmina, no jeśli macie się ku sobie. Jejku, jak głupio to brzmi!?

– Alina, wiem do czego zmierzasz.

– No jeśli chcecie być razem, to ja się cieszę. Chociaż nie jest mi z tym łatwo, bo ja, ciągle widzę was razem z mamą... – nie wytrzymałam i z oczu popłynęły mi łzy, dosłownie trzy. Nie więcej, bo bardzo się starałam kontrolować emocje. Rozryczenie się w tym momencie mogłoby wywołać w nim litość, jakieś niepotrzebne wątpliwości, które przykryłyby cały sens mojej wypowiedzi. – No jeśli chcesz z kimś chodzić, to już najwyższy czas!

– Alina?

– Nie, nie musisz dawać mi tych wszystkich zapewnień rodem z ckliwego romansidła. Wiem, że mama zawsze pozostanie w twoim sercu, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteś całkiem młodym starcem, oglądają się za tobą ciekawe kobiety. Możesz jeszcze ułożyć sobie życie... Nie chcę żebyś został sam na starość, bo wiesz, ja pewnie też kogoś poznam, założę rodzinę. A ty sam zostaniesz, nikt ci tej paskudnej kawy plujki nie robi, skarpetek nie zaceruje, po plecach nie po-drapie. No, wiesz...?

– Alina, to piękne co mówisz i wiem, że trudne. Bardzo się cieszę, bo to takie... To bardzo dojrzałe z twojej strony. Jestem wzruszony, wyrosłaś na tak mądrego i dobrego człowieka. Jest tylko jeden mały problem.

– Jaki problem?

– Ja się z Irminą tylko przyjaźnię. Od kiedy jej mąż odszedł to bardzo bliska znajomość, ale nie aż tak.

– Nie musisz ściemniać. Przecież widzę jak ona na ciebie patrzy.

– Jak?

– Jejku, gdzie ty masz oczy? Wzroku od ciebie nie odrywa, do tego śmieje się z twoich sucharów.

– Naprawdę? Nic nie zauważyłem. – Zrobił tak głupią minę, że aż w półmroku było ją widać. Chyba mówił prawdę. Typowy facet, nie widział nic poza czubkiem swojego nosa. – Obiecuję, że od teraz będę czujnie obserwował Irminę. A będzie okazja, bo mam jeszcze wobec naszej czwórki małe plany.

*

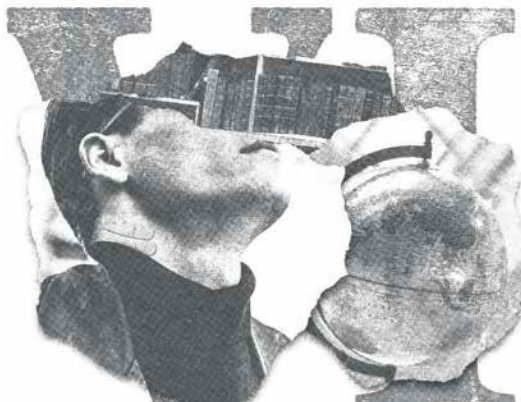
Zmieńmy na chwilę okolice i przenieśmy się około 1500 kilometrów na południowy zachód od Wilna. Po falach słodkowodnego akwenu mknęła niewielka motorówka. Jej rozmiar był może niewielki, ale po wykończeniu burty i pokładu widać było, że nie należała do tanich zabawek. Na pokładzie znajdował się tylko jeden człowiek. Niski, łysy mężczyzna ubrany jedynie w krótkie spodenki Versace. Widać było jego muskulaturę. Nie taką pompowaną na siłowni, ale wynikającą z aktywnego trybu życia i regularnie uprawianej porannej gimnastyki. Wielka – jak na gabaryty tego człowieka – dłoń zacisnęła się na sterze. Pod opalonym przedramieniem poruszyły się mięśnie i napięła się skóra, na której wytatuowano zaciśniętą pięć z okiem na nadgarstku. Otaczał ją roślinny wzór z kwitnącymi kwiatami. To był jedyny, posiadany przez mężczyznę tatuaż. Poprawił na nosie okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na odległe szczyty. Lubił to miejsce. Kochał wodę, ale też cieszył go widok pobliskich Alp. Kiedy tylko mógł, uciekał od zawsze pilnych angażujących go na wschodzie spraw i wracał nad jezioro Bodeńskie. Było jak małe morze położone w centrum kontynentu i słodkie. Nie lubił słonej wody. Zawsze wszystko go od niej swędziało. Od trzech dni wynajmował niewielki dom w niemieckim Langenargen. Zawsze trzymał się tej strony jeziora, z jednego powodu, miał niemieckie obywatelstwo, a właściwie mocne papiery na niemieckie nazwisko. Przy każdych odwiedzinach wynajmował dom w innym miejscu i starał się płacić gotówką. Wolał uniknąć namierzenia i to nie przez swoich wrogów, ale raczej współpracowników. Urlop brał rzadko, ale starał się w czasie jego trwania całkowicie odcinać od obowiązków. Były oczywiście sytuacje krytyczne, ale w takich przypadkach dzwonił do niego zarząd. Ten specjalny numer telefonu znało tylko pięć osób stojących najwyżej w organizacji. Nawet jeśli wpadł w ręce komuś innemu, to nikt stojący niżej w hierarchii nie odważył się do niego zadzwonić podczas wakacji.

Niestety telefon dał głos kilka godzin temu. Odezwał się członek zarządu. W skrócie przedstawił sprawę. Nie żądał i nie prosił o pomoc, dla obu stron było jasne, że jeśli zlecenie pochodzi z samej góry, to musi zostać wykonane. Miał pecha. Sprawa była wyjątkowa pilna i na jego nieszczęście dotyczyła miejscowości znajdującej się po drugiej stronie jeziora Bodeńskiego. Nie tylko był najlepszym człowiekiem do tej roboty, ale do tego, w chwili odebrania telefonu, znajdował się kilkanaście kilometrów od celu. Potem przyszło kilka maili ze szczegółami i już nie mógł zwlekać. Zapakował sprzęt do skrytki na łodzi i wypłynął wykonywać obowiązki służbowe w czasie swojego zasłużonego urlopu. Nie narzekał, bo premia za takie nadgodziny była zaskakująca nawet dla niego.

Słońce zaraz miało zejść za pobliskie szczyty. Już było widać port w Arbon. Miał ochotę zapalić papierosa. Rzucił nałóg już kilka lat temu, ale wciąż bywały chwile, w których miał wyjątkową ochotę do niego wrócić. Wyciągnął z kieszeni szortów lizaka. Papierek, w który był zawinięty wyrzucił za burtę i wsadził słodką kulkę do ust. To była jego ucieczka od nikotynowego głodu. W dzieciństwie kochał oglądać serial o Kojaku i własna słabość do słodyczy przypominała mu postać graną przez genialnego Telly'ego Savalasa. Nawet do końca nie wiedział czy golenie głowy było u niego tylko zabiegiem fryzjerskim, czy może cichym hołdem dla ulubionego aktora o greckich korzeniach. Nie był do niego nawet odrobinę podobny, po kazachskim ojcu odziedziczył lekko skośne oczy, ale przykleiła się do niego ksywka Savalas. Jak do tego doszło? Parę lat temu, kiedy podczas mokrej roboty raczył się lizakiem, przerażony klient zwrócił się do niego właśnie nazwiskiem aktora, który wykreował Kojaka. Przerażony bukaresztański biznesmen, od którego odzyskiwał istotne dla organizacji dokumenty, zaimponował mu popkulturową wiedzą i błyskotliwym nawiązaniem do starego serialu w tak trudnej dla siebie sytuacji. Pomagier asystujący mu podczas przesłuchania Rumuna usłyszał przezwisko i od tamtego czasu cała organizacja mówiła na niego Savalas. Wszyscy poza zarządem, który wciąż zwracał się do niego Wieniedikt. Na początku udawał, że nowa ksywka go drażni, ale szybko odpuścił, bo tak naprawdę cieszyło go porównanie do znanego aktora. Uśmiechnął się na samo wspomnienie ak-

cji w Bukareszcie i po raz kolejny wydał mu się chichotem losu fakt, że ktoś uprawiający jego profesję jest porównywany do detektywa stojącego raczej po przeciwnej stronie barykady sprawiedliwości.

Zacumował. Założył koszulę od Paula Smitha i wyszedł na pomost. W tym samym momencie, w którym jego klapki Massimo Dutti dotknęły drewnianej powierzchni zadzwonił telefon. Savalas rozgryzł lizaka, melodia wskazywała na kogoś z zarządu. Nigdy nie dzwonił dwa razy. Sprawa musiała być wyjątkowo ważna.



BIAŁA ZOFIA

– Może wreszcie się dowiemy co otwiera ten klucz – powiedziałam wpatrując się w malowniczą wieżę, górującą nad kompleksem uniwersyteckich zabudowań. Czekaliśmy na Romana na placu przed wejściem na wydział historyczny Uniwersytetu Wileńskiego. Mówiłam bardziej do siebie, bo reszta grupy skupiła się na oglądaniu wmurowanego w ścianę planu uniwersyteckich zabudowań. Stali blisko siebie i wyglądali jak małe ptasie stadko chroniące się przed upalnym słońcem. Tylko ja wyszłam z cienia. Józek coś tam wykladał pokazując palcem kolejne podwórka i wydziały uczelni, Irmina wyglądała na zainteresowaną, natomiast ojciec co chwila na nią zerkał, robiąc dziwną minę. Coś jak pies kręcący głową, kiedy słyszy nieznany sobie dźwięk. Promienie słoneczne paliły skórę i zmuszały do mrużenia oczu. Nagle przypomniałam sobie, że w plecaku mam czapkę od ojca. Nałożyłam ją, przepuszczając włosy przez otwór z tyłu. Potem potrząsnęłam głową i jeszcze raz spojrzałam na moją grupę poszukiwaczy skarbów. Irmina patrzyła na plan, ale w kąciku jej ust czaił się uśmiech, wciąż zdziwiony ojciec zawiesił się na niej, pewnie nieświadomy jej zadowolenia, a Józek? Przestał opowiadać i gapił się na mnie. W oczach miał coś dziwnego, czego jeszcze dzień wcześniej nie zauważałam. Lekko tłący się ogień. Tylko czy podobałam mu się ja, czy moja czapka?

Bo mówił, że fajna. Poczułam, że już za długo trzymam jego spojrzenie, więc przeżuwana właśnie gumą nadmuchałam balon. Kiedy pękł, Józek zobaczył mój uśmiech i natychmiast spalił cegłę.

– Państwo pewnie do pani profesor? – uratował mnie chudy studencik w golfie, który nie wiedzieć skąd pojawił się za moimi plecami. Nosił sweter w tak ciepły dzień, pewnie od marca nie wychodził z biblioteki. Podwinął rękawy i skinął na nas mówiąc:

– Proszę za mną. – Potem się odwrócił.

Skierowaliśmy się na drugą stronę dziedzińca. Szłam przodem, tuż za zziębniętym studencikiem, ale kiedy tylko mogłam zerkałam na Józka. Był zajęty tłumaczeniem ojcu, że budynek, do którego właśnie wchodzimy mieści uniwersyteckie obserwatorium astronomiczne. Przytrzymałam mu drzwi. Mówiąc „dzięki” spojrzał mi głęboko w oczy i to takim samym maślanym wzrokiem, jak Maciek z mojej klasy, kiedy spytał, czy pójdę z nim na koncert Kombi. Maćkowi wtedy odmówiłam, bo ani z jego wyborami muzycznymi, ani z charakterem nie było mi po drodze, ale Józek nic przecież nie mówił, niczego nie chciał. Wrócił do rozmowy z ojcem i zostawił mnie ze wspomnieniem tego swojego cielecego spojrzenia. Nie wiedziałam co o tym myśleć, może miał początki zapalenia spojówek i dlatego oczy mu lekko łzawiły?

Pokonaliśmy jedną klatkę schodową, potem dotarliśmy do kolejnej. Musieliśmy być już gdzieś pod wieżą, którą obserwowałam z placu na dole, kiedy miłośnik golfów otworzył sporych rozmiarów drzwi i puścił nas przodem. – Zapraszam do białej sali.

Korytarz nie zapowiadał tak pięknego wnętrza. Na podłodze lśniła marmurowa szachownica. Na niej ustawiono drewniane gabloty kryjące jakieś archiwa. Białe, pięknie wykończone kolumny łączyły się z wysokim sufitem, na jego środku znajdował się otwór prowadzący na wyższą kondygnację. Taka niewielka dziura pozwalająca tym z góry zerknąć co robimy na dole. Na szczęście w tamtej chwili nikt nas nie podglądał. Pod oknami wychodzącymi na dziedziniec stały biblioteczne stoły, stanowiska do czytania. Między oknami ustawiono regały ze starymi książkami. Do tego wszystkiego dochodził gigantyczny globus, nie, przepraszam, dwa wielkie zabytkowe globusy.

Nie mogłam sobie wyobrazić bardziej odpowiedniego miejsca na spotkanie z historyczką, która wyjawi nam tajemnicę skrywaną zapewne od wieków. – Jesteśmy w nadbudówce obserwatorium astronomicznego. – Nagle wyrósł koło mnie Józek. – To sala biała uniwersyteckiej biblioteki.

– Zapraszam tutaj! – zza kolumny w głębi sali wyłoniła się głowa Romana, a potem jego zachęcająca do podejścia dłoń. – Byłem trochę wcześniej i pozwoliłem sobie wejść na górę bez was. Poznajcie naszą panią profesor.

– Mówcie mi Zofia. – Zza Romana wyszła niska, żylasta kobieta, która tak na oko musiała mieć ponad sześćdziesiąt lat. Odgarnęła z oczu kosmyk siwiuteńkich, praktycznie śnieżnobiałych włosów, który wyrwał się z mocnego upięcia i błyskawicznym ruchem wyciągnęła przed siebie dłoń czekając na uścisk. Mój uścisk, bo stałam pierwsza.

– Alina.

– Czyli Aligator, prawda? Roman już naplotkował, kto wy i skąd. – Spojrzała karcąco na swojego przyjaciela, któremu natychmiast wyrósł na twarzy sztuczny uśmiech odsłaniający liczne ubytki. – Aligator, mogę tak do ciebie mówić?

– No, oczywiście...

– Ale pod warunkiem, że ja pozostanę Zofią. Profesor jestem dla tej mojej pryszczatej gawiedzi. – Skinieniem głowy wskazała ciepłoluba kręcącego się przy największym regale z książkami. – Ten akurat ma wakacyjną karę i aż do września robi za bibliotecznego klucznika.

– A co zrobił? – zapytałam szczerze przejęta losem cherlawego studenta.

– Opowiadał jakieś wampiryczne głupoty o siostrzenicy Batorego.

– To już rozumiem, dlaczego chodzi w golfie.

Zofia zanosła się niemal dzikim śmiechem, który odbił się echem po całym pomieszczeniu. Siedząca przy biurku pod oknem kobieta podskoczyła i zaczęła się nerwowo rozglądać. Profesor przetarła łzę, która popłynęła po twarzy wyżłobionym przez zmarszczki zagłębieniem.

– Dobrze. Naprawdę dobre. Już czuję, że się polubimy Aligatorku.

– Ale co? Ja nie rozumiem! – zaniepokoił się Roman.

– Chodzi o to, że chłopak nosi golf, bo go jakiś wampir podgryza – wyjaśnił Józek.

– No i to cię tak Zośka śmieje? Naprawdę? Profesor historii, niemożliwe. – Kiedy Roman kręcił głową, Zofia uściśnęła dłonie pozostałych członków naszej grupy. Potem zaprosiła nas do wielkiego biurka, na którym leżało kilka książek i stos zadrukowanych kartek. Usiedliśmy, wszyscy poza Zofią, która oparła się o stół, powiodła wzrokiem po naszych twarzach i zaczęła swój wywód.

– Wasz klucz sam w sobie jest niezwykle ciekawym zabytkiem, ale prowadzi do czegoś o wiele cenniejszego. Nie wiem jaki zamek otwiera, ale według mojej wiedzy, złożonej głównie z kilku historycznych plotek i notatek zapisanych na marginesach oficjalnych dokumentów, kryje się za nim berło Świętego Kazimierza.

– Tego, który leży w katedrze. – Ojciec musiał się upewnić.

– Tak, Kazimierza Jagiellończyka, patrona Polski i Litwy...

– ...oraz Radomia! – nie mogłam się powstrzymać. Zofia się uśmiechnęła nie odrywając wzroku od zgromadzonych na blacie papierów.

– Tak, Radom też może się cieszyć jego wsparciem. Za jego kanonizacją stała głównie polityka, po prostu Litwa przez cały wiek od przyjęcia chrześcijaństwa nie mogła się doczekać swojego patrona. Młodo zmarły, należący do dynastii Jagiellonów, niezwykle pobożny królewicz idealnie nadawał się na świętego. Do tego pojawiły się doniesienia o wsparciu jakiego księcia udzielił z zaświatów naszym rycerzom podczas wojny litewsko-moskiewskiej. Pokazał się im na chmurze i wskazał płytkie przejście przez rzekę. Do roboty wziął się brat świętego, Zygmunt Stary. Dzięki jego staraniom w 1521 papież Leon X wydał odpowiednie papiery kanonizacyjne i przekazał płockiemu biskupowi Ciołkowi. Niestety Ciołek, a co za tym idzie również Kazimierz, mieli pecha, w wyniku zarazy biskup zmarł i zamiast przewieźć do kraju dokumenty wybrał się na osobiste spotkanie z przyszłym świętym. Dopiero w 1602 uzyskano nową bullę i Kazimierz, 118 lat po swojej śmierci, doczekał się kanonizacji. Ale ludzie byli ciągle spragnieni nowych cudów z udziałem świętego.

– Stąd legenda o wciąż zamalowywanej trzeciej dłoni Kazimierza? – Józka wciągnęła. Z głową podpartą na dłoniach wpatrywał się w Zofię. Pewnie już się

widział na sali wykładowej, w roli jednego z jej najaktywniejszych studentów.

– Tak, mówiło się, że królewicz był dobry i hojny, stąd jeszcze jedna dłoń do dawania, ale jest też bardziej przyziemna, choć mniej znana legenda. Trzecia ręka to według niej berło Kazimierza. Przedmiot zapewne zamówiony przez księcia i zaginiony po jego śmierci. Klucz, na którym ukazane są lilia, herb Jagiellonów i tytuł ulubionego hymnu świętego to być może wskazówka, gdzie berło zostało ukryte. Znaleziony w grobie Barbary Radziwiłłówny, wskazuje na to, że królowa coś wiedziała, a wręcz przyczyniła się do ukrycia berła. – Zofia przerwała i znowu przeleciała wzrokiem po naszych twarzach. Nie wiem czy chciała, żebyśmy coś powiedzieli? Jak zwykle w takich sytuacjach można było liczyć na ojca, który nie wytrzymał napięcia i czuł się w potrzebie przerwania ciszy.

– Czyli mamy Barbarę, którą pochowano z kluczem do tajemnicy dobre pół wieku przed kanonizacją krewnego jej męża, poza tym nic?

– Macie mnie. – Wcześniejszą pauzą Zofia chciała podbić znaczenie wyjawianych właśnie informacji. Była gotowa na oklaski. – Jedyna szersza wzmianka o berle pojawia się w spisany kazaniu pewnego wileńskiego pastora, o którym opowiedział mi kolega z archeologii. Tak się składa, że Bogumił jest też specem od kalwinizmu Radziwiłłów. Bo, musicie wiedzieć, że brat Barbary, Mikołaj Radziwiłł, był ewangelikiem. Do tego właścicielem miejscowości Dubinki, które stały się jednym z najważniejszych w regionie ośrodków reformacji. A najważniejsze, że Bogumił właśnie prowadzi tam wykopaliska. Dlatego myślę, że swoje kolejne kroki powinniście skierować właśnie do niego, do Dubinek.

– Nie, no... dziękujemy. To jest trop! – Ojciec się ucieszył. – Następnym razem zjawimy się z co najmniej kartonem ptasiego mleczka.

– Nie ma sprawy. Wasze śledztwo to też mój interes, będę się mogła przyczynić do rozwiązania choć jednej historycznej tajemnicy, zamiast mieć to, co inni koledzy z branży i pakować do leniwych łbów. Zresztą o wszystkim będziecie nas na bieżąco informować, a po zakończeniu sprawy mamy z Romanem wyłączność na napisanie książki.

– Coraz większa kolejka do informowania świata. – Irmina wyglądała na naprawdę zmartwioną.

– No tak. Nie przypadkiem macie na pokładzie dziennikarkę. Dobra, ty dziecko naświetlisz problem w prasie i poinformujesz o pracach nad naszym dziełem. Będziemy wtedy kwita?

– Oczywiście, ale mam wyłączność na wywiady z autorami. Jakoś to zgramy w czasie, żeby wszyscy byli zadowoleni.

– Stoi! – Już myślałam, że Zofia, jak stary warszawski cwaniak, napluje sobie na dłoń i będzie chciała ją uściśnąć z Irminą, ale profesor zmieniła temat. – Umówiłam was z Bogumiłem na jutrzejszy ranek.

– No dobrze, sporo już wiemy. – Mówiłam podniesionym głosem, żeby wyrwać to towarzystwo z dzielenia skóry na niedźwiedziu. – A są jakieś bliższe nam historycznie plotki mówiące o berle? Ktoś o nim wspominał, poza tym pastorem?

– Plotki? Tak, właściwie ploteczki. Jest taka miejska legenda, którą opowiadają sobie badacze naszej wileńskiej historii, że słynna akcja w Bezdanych... słyszeliście o niej?

– Tak, tak – potwierdziłam przypominając sobie mini ekspozycję, którą pokazał mi ojciec zaraz po przyjeździe do Wilna. – Akcja czterech premierów.

– Właśnie. Piłsudski z kolegami chcieli ponoć nie tylko zrabować pieniądze wiezione z Kongresówki do Sankt Petersburga, ale też odzyskać pewien wartościowy dla Polaków przedmiot.

– Berło Kazimierza! – Moje słowa poszły echem po całym pomieszczeniu. Poniosło mnie z tych odkrywczych emocji. Kobieta pod oknem znacząco chrząknęła. Złapałam się za usta i wycedziłam w jej kierunku pewnie niesłyszalne: – Przepraszam.

– Tak mówi legenda, a właściwie plotka. W 1908 roku przyszłym premierom udało się odzyskać również nasze berło. Ponoć Piłsudski powierzył je Aleksandrowi Prystorowi, który brał udział w akcji, a poza tym urodził się w Wilnie i wiedział, gdzie na miejscu ukryć berło. Pod okiem przyszłego premiera miało pewnie czekać na lepsze czasy, kiedy Polska będzie już wolna.

– Ale dziesięć lat później nikt nawet nie wspominał o żadnym berle. – Ojciec wykorzystał chwilę, którą Zofia poświęciła na złapanie oddechu.

– Szczerze wam powiem, ja nie wierzę, że berło było przewożone pociągiem, na który oni napadli. Jednak legenda miała swój dalszy ciąg. Prystor nie powiedział, gdzie schował nasz skarb, bo mu go ukradziono. Zrobił to Chana Bobkes, który potem z innym żydowskim gangsterem, Aaronem Wójcikiem, założył Bruderferajn, jak to teraz mówią wileńską Cosa Nostrę. Właśnie ich udział w całej historii przekonał mnie do tego, że to zwykła legenda. Bandy-ci lubili koloryzować, opowiadali często bajki, manipulując faktami, których nie da się udowodnić. – Zofia sięgnęła po stojącą na biurku szklankę w metalowym koszyczku, z niedopitą i pewnie już zimną herbatą. Siorpnęła cicho i wróciła do opowieści. – Nie wiem, czy mieli prawdziwe berło, ale jeśli tak, było dla nich niezwykle cenne. Zresztą są różne hipotezy, nawet na tej sali znajdują się tacy, którzy snują całkiem rozbudowane teorie na ten temat. – Ostatnie słowa mówiła prawie szeptem. Rozejrzałam się podejrzliwie lustrując pięć zanurzonych w lekturze twarzy, które zajmowały miejsca przy bibliotecznych biurkach. – W każdym razie po ostatniej wojnie nikt już nie wspominał o berle świętego Kazimierza.

– A co się stało z tym Bruderferajn?

Zofia zamiast odpowiedzieć odwróciła się i zawołała:

– Zygi! – Chłopak w golfie odłożył książkę i niespiesznie ruszył w naszą stronę. – Młody to mój człowiek, wtajemniczony w naszą sprawę, no i jest specjalistą od dawnej przestępczości... – szeptała tak, jakby chciała, żeby chłopak nie słyszał. – ...a już szczególnie od tego braterskiego syndykatu.

– Tak, pani profesor?

– Co się stało po wojnie z Braćmi Ómami? – Pytanie zadała głośno, po czym przeniosła na nas spojrzenie i dużo ciszej dodała: – Bruderferajn znaczy „związek braci”, ale pod żądaniem okupów podpisywali się Bracia Ómy.

– Zeszli ze sceny. W dokumentach historycznych się nie pojawiają, zresztą tego rodzaju grupy za sowietów raczej nie miały szans egzystować.

– A berło? – musiałam się wtrącić. – Pani profesor... – Kobieta spojrzała na mnie groźnie, więc się poprawiłam. – Zofia wspominała, że miało dla nich jakieś znaczenie.

– Nie byle jakie! Było dla nich symbolem posiadanej władzy. Dzierżył je przedstawiciel zarządu prowadzący przestępcze zebrania. Wskazując nim uczestnika narady udzielał mu głosu. Mało kto wie... – wydawało mi się, że lekko wypiął cherlawą pierś. – ...że berło było dla nich do tego stopnia cennym przedmiotem, że tatuowali je sobie jako symbol przynależności do gangu.

– A pochwal się Zygi skąd wiesz takie rzeczy?

– Dotarłem do ostatniego żyjącego przedstawiciela przedwojennej wileńskiej mafii. – Pierś studenta jeszcze bardziej urosła, czyniąc jego sylwetkę niebezpiecznie wygiętą. Bałam się, że zaraz fiknie do tyłu. – Wywiad z nim będzie podstawą mojej pracy badawczej.

– Tylko, żeby nie stanowił jej całej treści. Jeszcze mięcha potrzeba Zygi...

– ...merytoryki i analizy. – Chłopak dokończył za swoją profesora. – Zapewniam, że do września skończę pisać pracę.

– Zygi, mam cię na Facebooku i wiem ile czasu poświęcasz na wrzucanie bzdetów, a ile na pracę! – powiedziała bardzo głośno, a już po cichu, nachylając się do mojego ucha, dodała: – Tylko się przekomarzam. Tak naprawdę to mistrz internetowej archiwistyki. W kwadrans znajdzie dane twoich przodków do 15 pokolenia wstecz.

– Przepraszam, a kim jest ten ostatni z Brudenferajn? – Historia przedwojennej wileńskiej mafii przyspieszała bicie mojego serca. Kolejna tajemnica, na dodatek z całkiem innej epoki niż Barbara Radziwiłłówna.

– No opowiedz państwu jak to dotarłeś do przedstawiciela lokalnej mafii.

Zygi spochmurniał i pochylił głowę. Wyraźnie nie chciał ujawniać swojego źródła.

– Mój pradziadek był kimś w rodzaju ordynansa Aarona Wójcika, Orła Setki, jednego z twórców gangu.

– W dzieciństwie karmił go opowieściami o przestępczym podziemiu Wilna i II RP. Tylko ciężko znaleźć potwierdzenie tych jego historii. Zero dokumentów, a do tego mały Zyga nawet nie pomyślał, żeby pradziadka nagrywać.

– Ma pan ciekawych przodków – zauważył ojciec.

– Nie ciekawych, a fascynujących! Opowiedz jeszcze coś o Brudenferajn.

Zygi spojrział na Zofię, ta lekko skinęła głową.

– No, tak jak państwo już słyszeli założył je Wójcik z Bobkesem, który tak naprawdę nazywał się Zelik Lewinsohn. Zawiązali przymierze w 1911, w knajpie Sonii Złotej Rączki, w strasznej mordowni.

– Mieli już wtedy berło?

– Pradziadek mówił, że tak, ponoć Bobkes pokazał je, żeby namówić przyszłych członków gangu do współpracy. Pewnie powiedział, coś w stylu „zobaczcie jakie skarby zdobywamy w pojedynkę, pomyślcie, ile możemy zdziałać razem”.

– I podziało?

– Tak, syndykat zbrodni rozkręcał się powoli, ale w czasie I wojny światowej rozszerzyli swoją działalność. Bogacili się korzystając z wojennej zawieruchy. Wszystkiego brakowało, więc czarny rynek kwitł. Łapówki ułatwiały załatwienie najtrudniejszych spraw. Bruderferajn wziął się za porwania i wymuszenia. Gangowi sprzyjał zarówno czas niemieckiej okupacji, jak i walki o miasto między Sowiecami a Polakami. Rozrośli się. Pod koniec wojny mieli już niemal tysiąc członków. Pobierali haracz od prawie wszystkich wileńskich kupców i szynkarzy. Zaczęli też organizować swoje struktury, na czele stał pięćosobowy zarząd finansowany ze składek szeregowych członków. Przestępcy oddawali też organizacji część łupów, wykupując tym samym coś na kształt ubezpieczenia. W razie aresztowania zapewniano im ochronę prawną, opłacenie kaucji i opiekę dla rodzin podczas ich pobytu w więzieniu. Przez takie działania coraz bardziej przypominali cech zawodowy czy też dzisiejszą korporację. Na ich nieszczęście pojawił się rozłam w organizacji, za nim poszły donosy do władz. Skończyło się tym, że Bobkes założył własną grupę, Złoty Sztandar i zaczęła się wyniszczająca wojna gangów. Złoty Sztandar miał mocne kadry, należał do niego między innymi Berka Krawiec, kształcący się u samego Ala Capone.

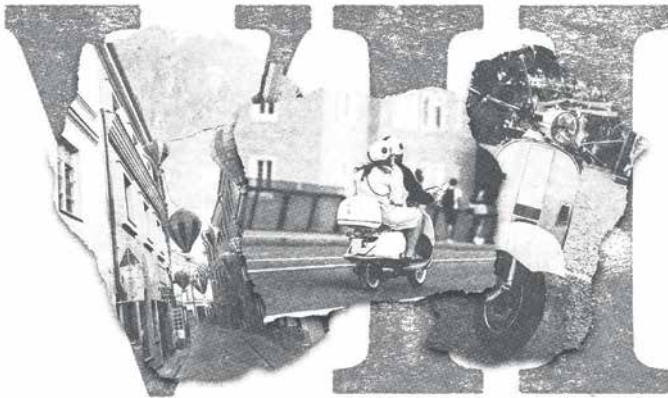
– Zbaczasz z tematu synku. Bruderferajn. – Zofia mrużyła oczy znad pokrytej herbacianym nalotem szklanki.

– Tak, przepraszam, mógłbym tak godzinami. Krwawe rozgrywki między gangami trwały jeszcze pod koniec lat 30. ubiegłego wieku. Ostatnią notkę znalazłem w prasie z 1938 roku. Potem przyszła wojna, która rozbiła wszyst-

kie przestępcze układy. Po niej wileńska mafia była już tylko historią, a mój pradziadek wziął się do uczciwej roboty.

– Czyli jakiej?

– Posiadał dogłębną wiedzę na temat budowy zabezpieczeń, więc został ślusarzem.



SALTO NA ZAKRECIE

Kiedy opuściliśmy uniwersytet, Irmina znowu dostała wezwanie do pracy. Bardzo nas prosiła, żebyśmy nie ruszali bez niej do Dubinek.

Irmina pobiegła. Zostaliśmy w trójkę. Razem z Józkiem w tym samym momencie spojrzeliśmy na ojca. Musiał wyczytać w naszych oczach pytanie: „I co teraz?”, bo natychmiast zaczął mówić. – No, dzieje się. Mamy masę nowych informacji i kusi, żeby kontynuować śledztwo.

– Czyli co, zostajemy? Idziemy dalej tropem berła?

– Jeśli to tak zostawimy, może nas ktoś ubiec. Może uda się odzyskać bezcenny zabytek, o którym wie niewielu historyków.

– To zostajemy?

– Powinienem cię odstawić do Warszawy i wrócić.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to? Po tym wszystkim co już się wydarzyło? Obiecałeś mi wakacje i mam, najfajniejsze jakie mogłabym sobie wyobrazić.

– Wiem, Aligator, ale sama widzisz, że to się robi niebezpieczne.

– Będziemy uważać. Nie podejmiemy żadnych działań bez twojej..., twojej i Irminy zgody. Zresztą spójrz na Józka – chłopak miał taką minę, jakby zbierało mu się na płacz. – Nie możemy mu tego zrobić i teraz wyjechać. – Józek jak na zawołanie zaczął potwierdzać ruchem głowy.

– Przestań czarować Aligatoru. Przemyślałem sprawę. Zostajemy, ale od teraz trzymamy się razem. Nikt samodzielnie nie robi najmniejszego kroku. Jutro jedziemy do Dubinek i zobaczymy co będzie dalej. Razem!

– Jesteś kochany – ucieszyłam się i pocałowałam ojca w policzek.

– Ale od teraz na każdym kroku się rozglądamy i jeśli zauważycie coś takiego jak śledzący nas biały mercedes, mówicie nam o tym. Niczego nie ukrywamy. Działamy rozsądnie i dzielimy się informacjami z resztą grupy. I najważniejsze, żadnej samowolki, żadnego biegania po mieście za łomiarzami.

– Tak, tak, wszystko dla dobra śledztwa.

– Nie, wszystko dla naszego bezpieczeństwa. Na nic mi berło świętego, jeśli ktoś rozwali ci głowę. Aligator, Józek, na poważnie, obiecujecie zachować ostrożność?

– Tak! – Józek napiął się jak struna, gdyby miał na sobie mundur pewnie zaraz by ślubował na honor odznaki harcerskiej.

– Oczywiście! Bezpieczeństwo przede wszystkim. A teraz ruszajmy. Proponuję znaleźć w Wilnie protestancką świątynię i dostać się do jakiegoś spisu znaczących rodów, które... – już się odwracałam, gotowa usiąść w jakiejś kawiarni i na spokojnie przejrzeć dane w Internecie.

– Aligator! Spokój. Chyba nie słyszałaś. Na dzisiaj koniec śledztwa. Bez Irminy nigdzie się nie ruszamy. Berło nie ucieknie. Gdzieś tam leży od kilku stuleci i myślę, że spokojnie poczeka, aż odkopiesz je i pokażesz światu.

– To, co dzisiaj robimy?

– Nie widziałaś cmentarza na Rossie, nie byłaś na Antokolu, w Ostrej Bramie, na Górze Trzykrzyskiej. Masz zaległości, a co jest najważniejsze podczas pracy w terenie?

– Deptanie po piętach turystom?

– Chyba chodzi o rozpoznanie – wtrącił się Józek. – Faktycznie niewiele wiesz o Wilnie, a chcesz w nim szukać zaginionego skarbu.

– A ty po czyjej jesteś stronie? – uśmiechnęłam się do mądrali.

– Aligator?! Jak chcesz polować samotnie, to wracamy i cię wypuszczę..., do jeziora Czerniakowskiego. – Ojciec udawał, że robi groźną minę. – Tutaj jesteśmy...

– Tak, wiem, zespołem.

No i zwiedzaliśmy prawie cały dzień. Fakt, sporo się dowiedziałam o mieście nad Wilią. Ostra Brama była miejscem niezwykłym. Poruszyło mnie już samo wchodzenie korytarzem do góry, kiedy minęliśmy starowinkę na kolanach pokonującą kolejne stopnie prowadzące do świętego obrazu. Szeptęła pod nosem modlitwy i z nadzieją, wilgotnymi od łez oczami, patrzyła na koniec schodów. Tam przed obrazem i wotami dziękczynnymi miały się pewnie spełnić jej wszystkie prośby.

Cmentarz na Rossie, mimo powagi miejsca, okazał się być miejscem pięknym o tej porze roku. Zalesione wzgórze pokryte setkami wiekowych nagrobków i pomników upamiętniających spoczywających tu Polaków. A było ich wielu, o czym ojciec i Józek próbowali opowiedzieć nieustannie się zagadując. Już przy mauzoleum, w którym złożono prochy matki Józefa Piłsudskiego i serce samego marszałka, zaczęli wyliczać nazwiska wybitnych rodaków, których doczesne szczątki spoczęły na terenie naszej narodowej nekropolii. Józek powiedział, że oprócz cywilów na Rossie znajdują się też mogiły żołnierzy walczących u boku wąsatego marszałka. A Piłsudski ponoć powiedział, że jeśli pochowają go na Wawelu, to chce, żeby jego serce leżało w Wilnie, razem z jego żołnierzami. Szliśmy w głąb cmentarza a Józek wyliczał nazwiska zmarłych przeplatając je krótkimi życiorysami. Ojciec tylko czekał, żeby mu przerwać, kiedy zobaczył popiersie Joachima Lelewela, zatkał Józkowi usta częstując go gumą do żucia, a sam rozgadał się o emigracyjnych losach polskiego historyka. Szczerze mówiąc mnie najbardziej zainteresowały znajdujące się na cmentarzu pomniki. Szczególnie Czarny Anioł niemal lewitujący nad grobem Izy Salomonowiczówny.

– Wyrzeźbiony przez Leopolda Wasilkowskiego – wyjaśnił Józek, gdyby nosił okulary, to właśnie teraz poprawiłby je na nosie gestem profesjonalnego znawcy tematu.

– Rzeźbiarza z Warszawy – dodał ojciec głosem przepełnionym dumą lokalnego patrioty.

Pokazali mi jeszcze kilka anielskich rzeźb, w tym dziarskiego aniołka pilnującego wiecznego snu małego dziecka.

Po południu weszliśmy jeszcze na Górę Trzykrzyską. Kiedy staliśmy pod olbrzymim, białym pomnikiem dowiedziałam się, że kiedyś nazwano ją Łysą Górą.

– Podobno krzyże wznoszono w tym miejscu kilka razy. – Józek przejął pałeczkę przewodnika. – Za czasów syna Giedymina zamęczono tutaj siedmiu franciszkanów. Czterech zakonników zrzucono ze wzgórza do Wilejki, a trzy ciała powieszono na krzyżach. – Józek ilustrował opowieść wymachując rękami. Wskazał biały pomnik, u którego podnóża staliśmy, a potem dół wzgórza. Był przejęty. Minę miał taką, jakby udzielał mu się ból umęczonych duchownych. Mój wzrok zatrzymał się na wspaniałej panoramie miasta. W tym samym momencie do ojca zadzwonił telefon. Przeprosił nas ruchem dłoni i odszedł na bok. Mój przewodnik nie zraził się uszczupleniem grona słuchaczy i kontynuował opowieść. – Kilka wieków później wileńscy franciszkanie wzniesli tu trzy drewniane krzyże, na pamiątkę męczeńskiej śmierci swoich braci. Kiedy te się rozsypały postawiono następne. Potem, kiedy i te się przewróciły, Rosjanie zabronili stawiania następnych krzyży. W czasie I wojny światowej zebrano fundusze na betonowy pomnik, który dotrwał do 1950 roku, wtedy radzieckie władze wysadziły go w powietrze. W 1989 w zaledwie 14 dni odbudowano Trzy Krzyże. Teraz zyskały dodatkowe znaczenie, bo są też pomnikiem ofiar stalinizmu na Litwie.

– Wracamy! Niestety będę was musiał zostawić w domu i lecieć na spotkanie. Znowu służbowe zawracanie głowy. – Ojciec nerwowo obracał telefon w dłoniach. – Zresztą to dobry czas na obiad, a z tego co pamiętam Irmina mówiła coś o lazanii w lodówce.

*

Tylko weszliśmy do domu, a ojciec zakręcił się na pięcie i zaczął wychodzić.

– Nie zjesz z nami?

– Mam spotkanie w restauracji, więc coś tam przegryzę. Bardzo was przepraszam, ale muszę już lecieć. – Ruszył do drzwi, otworzył je i jeszcze się do nas odwrócił. – Irminy jeszcze trochę nie będzie. Mam nadzieję, że nic nie zbroicie w tym czasie?

– Ojciec? – zrobiłam groźną minę. – A ile my mamy lat? Może opiekunkę załatw.

– Trzylatek nie rzuci się w pogoń za łomiarzem, tylko usiądzie na trawie i będzie beczał.

– Trzeba było wyrzucić ten łom w krzaki i o nim nie wspominać – szepnęłam do Józka.

– O! Właśnie o takie cwaniactwo mi chodzi, kiedy mówię, że macie nic nie kombinować. Unikajcie przygód do naszego powrotu. Jasne?!

– Jak słońce w gorący letni dzień. – Stałam na bacność, a Józek, widząc to, zasalutował.

– Widzimy się wieczorem. – Ojciec zamknął za sobą drzwi.

Przeszliśmy do kuchni poszukać obiecanej lazanii. Była tam, gdzie mówił ojciec. Kiedy podgrzewaliśmy ją w piekarniku na stole pojawiła się Kłątwa. Z gracją, kręcąc pomarszczoną pupą, przeszła przez całą jego długość. Kątem oka zerkała co robimy. Zapach pieczonego sera i makaronu wyraźnie nie trafiał w jej gusta, bo zaraz zniknęła w salonie. – Sprawdzała czy nie będziemy jeść ryby, inne potrawy jej nie interesują.

Mimo dokuczającego głodu jedliśmy ponad godzinę, bo okazało się, że Józek lubił serial „Stawiam na Tolka Banana”. Zdziwił mnie już tym, że w ogóle kojarzył coś tak starego. Pierwszy odcinek miał premierę jeszcze przed narodzinami naszych rodziców. Nie znał za to książki Adama Bahdaja, której serial był ekranizacją. Od małego kibicowałam Karioce, Cegiełce, Julkowi i reszcie bandy, no i uważałam, że Tolek Banan jest bardzo przystojnym chłopakiem. Z wiekiem trochę mi przeszło, ale nadal uważam, że to naprawdę dobry polski serial. Jako dzieciak marzyłam, żeby należeć do takiego gangu fajnych dzieciaków jak banda Tolka Banana. No i ta stara Warszawa w tle. Józek zaczął wypytywać o lokalizacje scen w poszczególnych odcinkach, a skończyło się na mojej przysiędze, że kiedy tylko zjawi się w Warszawie oprowadzę go serialowym szlakiem.

– No dobra, pojedziemy. A teraz w drogę – powiedziałam wstając od stołu.

– Jak to? Nie słyszałaś? Mamy...

– Co mamy? Nie zabronił nam wychodzić z domu. Oprowadziliście mnie po mieście. Widziałam wszystko to, co turysta powinien. A teraz chciałabym

zobaczyć trochę zwykłego życia, normalnych ludzi. Zabierz mnie na spacer po okolicy, do której turyści raczej nie zagląдают. Gdzieś, gdzie żyją zwyczajni Litwini.

– Myślisz, że się nie wściekną?

– Józek! Znam swojego ojca, zależy mu na kontynuowaniu śledztwa w takim samym stopniu jak nam. Nie wrócimy nagle do Warszawy. No chyba, że wydarzy się coś naprawdę niebezpiecznego, ale co może się stać podczas niewinnego spaceru po ulicach miasta.

– Właśnie jak tak się mówi, to potem dziwne rzeczy się dzieją – zakończył wypowiedź uśmiechem.

– A od kiedy ty w takie rzeczy wierzysz? Mówiłeś, że jesteś realistą. Chyba, że u tej wróżki, to byłeś razem z mamą?

– No dobra. Gdzie chcesz iść?

– Zaczniemy od miejsca, w którym najczęściej bywasz, a potem pójdziemy przed siebie.

– Czyli od mojej szkoły, jest w centrum miasta.

Pomyślałam, że jego propozycja, to trochę nuda, ale zaraz doszłam do wniosku, że i ja większość czasu spędzam w szkole, a jej okolice to teren mojej najaktywniejszej eksploracji.

– Niech będzie twoja buda.

– To kawałek drogi.

– Po twojej minie widzę, że masz już jakiś pomysł jak się tam dostać.

– A mam.

Było już trochę późno, wieczór mógł się zrobić chłodny, więc zarzuciłam na grzbiet ramoneskę. Zadowolona, że w końcu mam okazję się w niej pokazać wyszłam przed dom. Józek siedł tuż za mną. Widziałam, że coś kombinuje i do czegoś się szykuje. Nawet nie skomplementował mojej kurtki. Zniknął na chwilę w garażu, po czym wytoczył z niego oryginalny skuter Vespy. Obity, wiekowy, ale z klasą. Zielony, po prostu cudny.

– Jedna z niewielu rzeczy, jakie zostawił mój stary, kiedy zniknął. – Wręczył mi niebieski kask w białe gwiazdki. Sam naciągnął na głowę czarnego orzeszka, w którym jeździł pewnie na desce. Usiadłam za Józkiem.

Objęłam go ramionami i wtuliłam się w jego plecy. Zauważyłam, że pod tą swoją luźną koszulką jest całkiem, całkiem zbudowany. Czułam się za nim naprawdę bezpieczna. Do tego jeszcze bardzo ładnie pachniał. Musiał się spryskać po obiedzie jakąś wodą kolońską. Ruszyliśmy. Zza jego ramienia wystawała mi tylko głowa. Jazda była super. Szczyrzyłam zęby tak, że chyba tylko cudem nie złapałam w nie żadnej muchy.

Po jakiś 20 minutach znaleźliśmy się pod liceum Mickiewicza w Wilnie. Typowy szkolny budynek, duże szklane okna, dobudówka, pewnie z salą gimnastyczną. Do środka nie weszliśmy, bo wakacje, zamknięte. Potem Józek pokazał mi, gdzie na dużej przerwie wyskakują na hambuksy. Najedliśmy się lazanią, więc w budce kupiliśmy tylko frytki. Były obłędne, z batatów, takie lekko słodkie. Potem zatrzymaliśmy się przed ogrodzeniem białego pałacyku, który okazał się być ambasadą sąsiedniego kraju. – Żywie Biełaruś! – krzyknęliśmy jednocześnie i Józek ruszył, tak, jakbyśmy uciekali z miejsca zbrodni.

Zatrzymaliśmy się spory kawał drogi dalej. Usiedliśmy na ławeczce w podwórku wyjątkowo gęsto zarośniętym drzewami. Z jednego z okien leciała klasyczna melodia grana na pianinie. Józek wyciągnął ze schowka w skuterze butelkę oranżady. Przeprosił, że jest ciepła. W niczym mi to nie przeszkadzało, napiłam się łyeczek. Zrobiło się bardzo słodko. Potem patrzyłam, jak on pije. Było magicznie. Gdzieś tam nad dachami słońce zbierało się do zachodu. W koronach drzew śpiewały ptaki, ale tak jakoś cicho i spokojnie, wyraźnie zmęczone całodziennym upałem. Józek odstawił butelkę. Popatrzył mi głęboko w oczy, rozchylił lekko usta i wyraźnie do czegoś się zbierał. Jego głowa lekko przechyliła się w moją stronę i zastygł gdzieś pomiędzy kontynuacją ruchu a próbą powiedzenia niepotrzebnego w tej chwili słowa. Wtedy moje serce zabiło szybciej. Złapałam go za ramiona i niemal krzyknęłam: – Józek popatrz tam! – Odwrócił się we wskazywanym przeze mnie kierunku. Pobliską ulicą przejeżdżał właśnie biały mercedes.

– Alina, to ten sam! Te same numery.

Zerwaliśmy się na równe nogi. Przez ułamek sekundy patrzyliśmy na siebie, chyba oboje zastanawialiśmy się czy złamać złożoną ojcu obietnicę i podjąć ryzyko, po czym wskoczyliśmy na skuter i ruszyliśmy w pogoń za autem.

Starliśmy się trzymać jak największą odległość, jednocześnie nie tracąc auta z oczu. Jezdnia była praktycznie pusta, więc z jednej strony łatwo było go śledzić, ale z drugiej kierowca mógł uznać skuterowy ogon za podejrzaną sprawę. W każdym razie udało nam się zachować dyskrecję na tej i kolejnej ulicy. Za zakrętem biały mercedes przejechał jeszcze kilkaset metrów i zaczął skręcać na parking pod wysokim, szklanym hotelem, który nijak nie pasował do okolicznej zabudowy. Józek zwolnił, ale uznałam, że to wyjątkowo podejrzanym zatrzymać się akurat w momencie, w którym parkuje śledzony przez nas obiekt. Ścisnęłam jego rękę i na szczęście zrozumiał. Przejechaliśmy za zjazd parkingowy i kiedy zasłonił nas rząd tui, klepnęłam go w ramię. Stanęliśmy przed zielonym domkiem, który swoją urodą mógł zawstydzić hotelowego giganta po przeciwnej stronie ulicy. Zdjęłam kask, bo ograniczał mi pole widzenia. Józek zrobił to samo, usiadł też bokiem do mnie. Wciąż siedząc na skuterze patrzyliśmy w kierunku białego mercedesa. Widzieliśmy część auta przez przerwę między drzewkami. Drzwi się otworzyły i rozgrzanego asfaltu dotknęła smukła stopa w sandale z jasnych, drobno plecionych rzemyków. Zaraz potem obok auta wyrosła brunetka w kończącej się nad kolanami kremowej spódnicy i białej bluzce z dekoltem. Potrafiła dobrać dodatki, pod pachą trzymała gustowną skórzaną torebkę, idealnie pasującą do reszty kreacji. Wcale się nie interesuję, ale jakoś tak wiedziałam, że torebka jest od Prady. Mimo dosyć ostrych rysów twarzy uznałabym ją za piękną kobietę. Zamknęła drzwi i wcisnęła przycisk na breloczku. Samochód zamrugał sygnalizując zamknięcie zamków. Brunetka stała przez chwilę chowając kluczyki w torebce. Wtedy poczułam znane sobie przecucie, zapowiedź złego obrotu spraw. Lekko spocily mi się ręce. Niepokój zaraz przykryła lekka panika, bo kobieta zamiast ruszyć do hotelowego holu przeszła na drugą stronę parkingu. Zmierzała prosto w naszym kierunku. Na początku zasłaniały nas tuje, ale za chwilę miała wyjść na chodnik, z którego byliśmy widoczni jak sadzone jajo na patelni. Może nigdy nas wcześniej nie widziała, może nie było jej w samochodzie, kiedy łomiarz maratończyk biegał po Zwierzyńcu, ale teraz mogła zanotować w pamięci nasze twarze. Założenie kasków i odjechanie było zbyt podejrzanym. Musiałam ratować nas w inny sposób. Odwróciłam się

do Józka. Siedzieliśmy tak że nasze twarze prawie się stykały. Popatrzyłam w te jego brązowe oczy, on też spojrział w moje i... zrobił dokładnie to, co chciałam zrobić ja, zaczął mnie całować. Poczułam, że jest trochę zdenerwowany, ale już po chwili się odprężył i rozkoszował chwilą. Na moment zapomniałam o bożym świecie i zamknęłam oczy. Jego ręka zanurzyła się w moje włosy, objął mnie i przycisnął do siebie. Kiedy już zaczęła pochłaniać mnie magia chwili przypominałam sobie o kobiecie. Słyszałam jej delikatne kroki po drugiej stronie uliczki. Kiedy byłam już pewna, że znajduje się w zasięgu mojego wzroku rozchyliłam lekko powieki. Józek zapomniał o misji i był całkowicie oddany rozkosznej przyjemności. A brunetka? Właśnie nas minęła. Na jej twarzy malował się lekki uśmieszek, więc pewnie zauważyła całującą się parę. Szła dalej przed siebie, w kierunku kończącej ulicę kładki nad drogą szybkiego ruchu. Zauważyłam, że nad kostką ma niewielki tatuaż. Czarną, zaciśniętą dłoń, której przedramię oplatała łądyga, zdaje się, że z kwiatami.

Kobieta była już kilka kroków przed nami, kiedy zdecydowałam się prze-rwać to, co wychodziło Józkowi całkiem dobrze. Koniec przyjemności, musieliśmy kontynuować zadanie. Odsunęłam się od niego. Zrobiło mi się bardzo miło, kiedy zobaczyłam jego półprzytomne spojrzenie, ale trzeba było go przywrócić do rzeczywistości. Objęłam go dłońmi i wyszeptalam: – Jest słodko, ale musimy za nią iść.

Józek szybko się pozbierał. Zabezpieczył skuter i kiedy kobieta zaczęła znikać wśród drzew po drugiej stronie kładki już zmierzaliśmy w jej kierunku. Nic nie mówiłam, tylko złapałam swojego Józka za rękę i przyspieszyliśmy. Mojego, bo po tym co było przed chwilą czułam, że należy już tylko do mnie. Przynajmniej przez jakiś czas. Jak by powiedział dziadek, wszystko układało się „tip top”. Trwała super przygoda z fajnym chłopakiem u boku, który z lekkiego nudziarza i fajtlapy przemienił się nagle w specjalistę od całowania. Przestałam odczuwać ten lekki niepokój, który czaił się gdzieś pod spodem zapowiadając pecha. Wciągnęłam głęboko powietrze. Jejku, jak on cudnie pachniał, miał skuter, ciemne loki i w ogóle.

Idąc tropem brunetki trafiliśmy do parku. Drzewa rosły tu w dużych odstępach od siebie, głównie przy wydzielonych ścieżkach i w małych zagajnikach.

Alejkę, w którą weszliśmy, porastały z obu stron równe rzędy lip. Śledzona przez nas kobieta była już w połowie drogi do jasnego monumentu stojącego na końcu tego naturalnego korytarza. Pomyślałam, że jeśli się odwróci, to zaraz nas zauważy. Trzeba było imitować ruchy naturalne dla typowych spacerowiczów odwiedzających park. Na szczęście Józek złapał mnie za rękę i uwiarygodnił naszą legendę zauroczonych sobą młodych ludzi. Właściwie, to poza śledzeniem brunetki, byliśmy właśnie nimi. No i naprawdę było pięknie. Promienie zachodzącego słońca kładły się pomarańczową poświatą na krótko przystrzyżonej trawie. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że nie tylko drzewa rzucały tu cienie. Pomiędzy pniami, na polanach, stały niewielkie nagrobki. Rozsiane chaotycznie na całym terenie, pojawiające się to tu, to tam, jak wielkie grzyby. Do tego nie wszystkie były krzyżami, zauważyłam też kilka macew ozdobionych gwiazdami Dawida.

– Co tu robisz groby? – szepnęłam wtulając się w Józkowe ramię.

– Jesteśmy na cmentarzu na Zekrecie.

– Naprawdę? To nie park?

– Niemcy założyli tu cmentarz już w czasie I wojny światowej, z nagrobkami niemieckich, rosyjskich i austrowęgierskich żołnierzy. W dwudziestoleciu międzywojennym powstała jego polska część. Po wojnie Sowietci zniszczyli nekropolię i zrobili tu wesołe miasteczko.

– To co się stało z grobami?

– Szczątki żołnierzy zostały pewnie w ziemi.

– A tablice?

– Jeśli chodzi o polską część nekropolii, to kilka lat temu harcerze z mojej drużyny odkryli w okolicach dworca mur z nagrobków z polskimi nazwiskami. Okazało się, że to właśnie z Zakretu. No i tak tablice wróciły na cmentarz.

Kobieta zatrzymała się przy jasnym pomniku i po chwili skręciła w lewo. Monument okazał się być pękatym krzyżem, który stał na lekkim wzniesieniu. Przyspieszyliśmy, bo brunetka zaczęła za nim znikać. Zobaczyliśmy ją znowu, kiedy dotarliśmy na koniec ścieżki. Od krzyża rozchodziły się kolejne dróżki, kobieta wybrała tę, prowadzącą w najbliższą gęstwinę. Jej krok stał się pewniejszy, chyba się gdzieś spieszyła, bo zerknęła na zegarek. Ruszyliśmy ścieżką

równoległą do tej, którą szła. Józek uważał, że tak, nie wzbudzając podejrzeń, będziemy ją mieli wciąż na oku. Miał rację, kiedy obejrzała się w kierunku, z którego przyszła, nie przykuliśmy jej uwagi, bo byliśmy spory kawałek dalej, z boku. Nie mogliśmy jednak dotrzymać kobiecie kroku, bo cały czas przyspieszała, a zrównanie się z jej marszem mogło nas zdradzić. Do tego nasza ścieżka odbiegała coraz bardziej w lewo, a w tej części cmentarza drzewa posadzono dużo gęściej. W pewnym momencie śledzona postać zniknęła nam z oczu.

– Co teraz?

– Idziemy tam – Józek wskazał miejsce, w którym ostatni raz ją widzieliśmy.

– Robi się coraz ciemniej, a my wchodzimy w gęstwinę.

– Spokojnie, wiemy w którym kierunku szła, a za tamtą linię drzew nie wejdzie, bo zaraz za nią jest skarpa i rzeka. Z tego miejsca mogła tylko zawrócić albo iść dalej w głąb parku.

Zaryzykowaliśmy. Ścieżka prowadziła pomiędzy gęsto rosnące drzewa i już po chwili dotarliśmy do granicy cmentarza.

– Dalej jest park. Trochę dziki, taki leśny. Musimy być ostrożni, bo o tej porze w tej okolicy jest mało ludzi. Będziemy się bardziej rzucać w oczy.

Zrobiło się mrocznie. Ścisnęłam go mocniej za rękę. Gdyby nie to, że po prawej stronie mieliśmy skarpe i przerzedzające się drzewa pewnie nic byśmy nie widzieli. Zawsze miałam dobry wzrok w nocy, mogę się nawet pochwalić, że widziałam więcej od innych. Ale to już w pełnej ciemności. Najtrudniejszy był ten czas, kiedy ostatnie promienie słońca znikają, a księżyc i gwiazdy jeszcze nie pokazywały pełni oświetleniowych możliwości. Staraliśmy się iść szybko, jednocześnie wydając jak najmniej dźwięków. Józek był w tym świetny, stawiał stopy tak jakoś dziwnie, że nic nie było słychać. Przy nim moje kroki brzmiały jak skradanie się słońca po ścieżce wyłożonej chip-sami.

Nagle Józek stanął i pociągnął mnie lekko za ramię.

– Cii! – przyłożył palec do ust po czym przysunął je do mojego ucha. Wiem, to była pełna napięcia scena podczas akcji śledczej, ale przemknęło mi przez myśl, że zamiast informować mnie o sytuacji pocałuje w to zagłę-

bienie pod uchem. Niestety zaczął szeptać. Chociaż może to i lepiej, bo nie powinniśmy się w takiej chwili rozpraszać. – Słyszysz tam w krzakach po lewej?

Dobry był, nic nie słyszałam, poinformowałam go o tym kręcąc głową.

– Wsłuchaj się.

Tak też zrobiłam i faktycznie, kiedy na chwilę wstrzymałam oddech usłyszałam coraz cichszy szelest liści. Jakby ktoś przedzierał się przez las. Józek chyba zamienił się z wilkiem na słuch, bo dosłyszenie tego w marszu było dla mnie niemożliwe. W półmroku musiał dojrzeć rysujący się na mojej twarzy podziw, bo wyszeptał: – No co? Jestem harcerzem. Szkolili mnie do takich akcji. – Uniósł dłoń i wskazał ledwo widoczną przecinkę między drzewami. – Idziemy tam. Tylko ostrożnie, bo tu pełno suchych badyli.

Ruszył przodem. Puścił moją dłoń, przytrzymał teraz wyginające się gałęzie, tak żeby sprężynując nie uderzyły mnie w twarz. Kochany. Stop – pomyślałam. Stanowczo musiałam się uspokoić i skupić na naszym zadaniu. Tak, nasza znajomość weszła na nowy poziom i budziły się we mnie bardzo sympatyczne uczucia, ale w ciemnym lesie, śledząc niebezpieczną zapewne kobietę, powinnam się skoncentrować, a nie myśleć o latających mi w brzuchu motylach. Misja przede wszystkim.

Im dalej byliśmy od skarpy, tym bardziej robiło się ciemno. Na szczęście wzrok zaczynał się przyzwyczajać i dostrzegałam nawet gałęzie leżące pod stopami. Józek znowu się zatrzymał i przez chwilę nasłuchiwał. Tym razem nie doszedł do mnie żaden podejrzany dźwięk. On jednak coś usłyszał. – Tędy – wyszeptał i zmienił kierunek pakując się w jeszcze gęstsze krzaki. Nie protestowałam, przecież nie mogłam sobie znaleźć lepszego przewodnika po gęstych wileńskich lasach niż ten mój harcerski spec od sztuki przetrwania. Jeszcze przez kilkadziesiąt metrów przedzieraaliśmy się przez knieję. Potem usłyszałam ludzkie głosy. W tym samym momencie Józek odwrócił się do mnie, wyciągnął przed siebie wyprostowaną dłoń i powoli przesunął ją w dół jednocześnie uginając kolana. Zrozumiałam gest i zaczęłam przechodzić do parteru. Do nosa doleciał zapach mchu. Gęste i trochę wilgotne podłoże lekko ugięło się pod naciskiem dłoni i kolan. Kiedy już leżeliśmy na brzuchach, obok siebie, Józek

wskazał prześwit pod krzakami. Z tego samego kierunku dochodziła cicha rozmowa kobiety i mężczyzny. Nie dało się słyszeć o czym mówili, ale na pewno byli zdenerwowani. Wpełzliśmy w dziurę pod krzakami, żeby cokolwiek zobaczyć. Z drugiej strony roztaczał się widok na niewielką polanę. Rozmawiająca para stała na jej drugim końcu, widziałam tylko fragment sukienki śledzonej przez nas kobiety. Szturchnęłam Józka w ramię i pokazałam palcem gałąź nad nami. Pokręcił głową nie zgadzając się na mój pomysł. Odpowiedziałam mu szczerząc zęby i zaczęłam wypełzać tyłem spod krzaków. Może próbował mnie złapać, nie wiem, bo patrzyłam do tyłu.

Kiedy znalazłem się w miejscu, którego nie było widać z polany, wstałam ostrożnie. Józek siedział już w kuckach u moich stóp i gestykułując próbował mi coś przekazać. Nie reagowałam, więc zaczął się podnosić. Poczekiałam, aż będzie bliżej mnie.

– Spokojnie, jestem specem od łażenia po drzewach – wyszeptalam. – Tylko mnie podsadz.

Chyba chciał coś powiedzieć, ale byłam już przy szerokim pniu i pokazywałam mu koszyczek zrobiony ze splecionych dłoni. Zrezygnowany podszedł do mnie i splótł palce tak, jak mu pokazałam. Rozmowa na polanie zaczęła być bardzo żywiołowa, głos mężczyzny, mimo odległości i niezrozumienia słów, wydał mi się znajomy. Akurat, kiedy miałam się w niego bardziej wsłuchać to kobieta przejęła pałeczkę w rozmowie. Byli w każdym razie tak zajęci, że nie zwróciliby na nas uwagi nawet gdyby nie zasłaniały nas krzaki. Tym łatwiej było niezauważenie wdrapać się na pierwszą grzędę. To był dąb, z bardzo mocnymi gałęziami, ale dosyć wysoko odrastającymi od pnia. Właśnie dlatego potrzebna mi była asekuracja Józka. Czułam się jak prawdziwa arborystka. Wiedziałam, że tak się nazywają spece od włazenia na drzewa, bo w poprzednie wakacje, na Śląsku, trafiłam z dziadkiem na ich zawody. Pruli do góry szybciej niż nasz Wiewiór biega, kiedy zwęszy mielonkę. Niestety ja, w parku na Zakrecie, nie miałam odpowiedniego sprzętu, no i musiałam zachować maksymalną ciszę. Dlatego wspinaczka szła mi powoli. Na pierwszym przystanku polanę zasłaniały mi dębowe liście. Starając się trzymać jak najbliżej pnia, żeby za bardzo nie trząść gałęziami, wdrapałam się jakiś metr

wyżej. Stąd roztaczał się widok na całą polanę. Kobieta gestykulowała i mówiła, odwrócony do mnie plecami mężczyzna tylko przytakiwał, a o drzewo za nimi opierał się jakiś podejrzany typ. Wcześniej go nie zauważyliśmy, bo milczał i się nie poruszał. Poza tym nie było go widać z poziomu ziemi. Teraz zapalił papierosa, dzięki czemu dostrzegłam okoloną ciemnymi lokami twarz. Wysokie czoło zasłaniały okulary przeciwsłoneczne, od których odbijał się płomień zapalniczki. Miał podwinięte rękawy koszuli i jakiś tatuaż na przedramieniu. Wyglądał groźnie. W chwili, w której przyglądałam się ciemnemu typowi rozmówca kobiety wrzasnął: – Dosyć!

Rozpoznałam ten głos i nagle stałam się bardzo małeńka. Dłoń, którą dotąd pewnie ściszałam gałąź, zamieniła się w wateę. Mężczyzna odwrócił się w moim kierunku. Wtedy poczułam się tak, jakby wpadł na mnie rozpedzony nosorożec, omal nie spadłam z drzewa. Ujrzałam jego twarz i noc stała się na chwilę ciemniejsza. To był mój ojciec.

– Jak...!? – wyrwało mi się z ust i zaraz zamilkłam. Niestety odezwałam się na tyle głośno, że usłyszeli mój głos. Opierający się o drzewo typ spod ciemnej gwiazdy zerwał się na równe nogi. Kobieta krzyknęła do niego: – Bruno! – Zamaszystym ruchem rzucił papierosa i sięgnął dłonią do lewego biodra. Wyciągnął stamtąd coś, co błysnęło w świetle latarki zapalanej przez brunetkę. To było wąskie i długie ostrze, nóż. Odwróciłam się zanim światło padło na drzewo. Było wysoko, nie za bardzo widziałam podłoże pod nim, ale musiałam zaryzykować, skoczyłam. Udało się. Stopa nie trafiła na żaden wystający korzeń. Nie skręciłam kostki. Przez dosłownie sekundę zastygłam. Spojrzałam w lewo. Przebijający się przez liście snop światła rzucał małe cienie na twarz Józka.

– Wiejemy – złapałam go za dłoń i zerwałam się do biegu. Kierowałam nas w kierunku, z którego przyszliśmy. Przez chwilę ciągnęłam Józka, który chyba nie do końca wiedział co się dzieje. Kiedy poczułam, że przyspiesza, puściłam jego dłoń. Dźwięki przedzierającego się przez krzaki pościgu zdawały się być bardzo blisko, a dłonie były nam potrzebne do swobodnego biegu, odgarniania gałęzi i osłaniania przed nimi twarzy. Przekonałam się o tym, kiedy badył jakiegoś iglaka strzelił mnie w policzek.

– Sustokite! – rozległo się ochryple wołanie za moimi plecami. To musiał być nożownik Bruno. Przyspieszyłam już nie zwracając uwagi na pomniejsze gałązki. Przez myśl przeszło mi, żeby się zatrzymać, spróbować wszystko wyjaśnić, bo był tam mój ojciec. Przecież nie dałby mi zrobić krzywdy. Byłam jednak pewna, że mnie nie rozpoznał. Inaczej wołałby mnie po imieniu i próbował coś wyjaśnić bandziorom. A wspomnienie twarzy Bruna i ostrza w jego ręku przyprawiły o szybsze bicie serca i napędzały do biegu. Józek wciąż był obok mnie. Na szczęście nie zostawał w tyle. Nie widział noża i nie miał takiej motywacji jak ja, ale biegł co sił w nogach.

Kiedy dotarliśmy do kępy niskich, gęsto rosnących choinek, Józek klepnął mnie w ramię. Spojrzałam w jego kierunku, a on wskazał ręką nowy kierunek, moją lewą. Skręciłam tracąc trochę równowagę. Udało mi się nie wywrócić, ale straciłam na szybkości. Przyspieszyłam próbując nadrobić odległość dzielącą mnie od chłopaka. Kępa choinek okazała się być rzędem gęsto posadzonych drzewek. Biegliśmy wzdłuż niego. W pewnym momencie Józek się zatrzymał, odgiął dużą gałąź i spojrzał na mnie. Zrozumiałam i skoczyłam w powstałe w ten sposób przejście między choinkami. Ruszył zaraz za mną. Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie stanęłam na chwilę i obejrzałam się za siebie. Nikt się za nami nie przeciskał. Gdzieś daleko, po najwyższych gałęziach drzew przesunęło się światło latarki. Ciężko oddychałam opierając się dłońmi o kolana. Rytmiczne tempo nabijało mi w uszach tak mocny rytm, że nie byłam w stanie wsłuchać się w ciemność. Przypomniałam sobie, że nożownik biegł za nami po ciemku. Wtedy, jakieś dziesięć metrów od nas poruszyły się gałęzie i ze szpaleru iglaków wypadł zdyszany Bruno. Natychmiast rzuciłam się do biegu, a Józek za mną. Już nie myślałam o kierunku, po prostu grzałam, ile sił w nogach, jak najdalej od tego typu. Słyszałam, że Józek jest tuż za mną i nie myślałam o położeniu bandziora. Oddech, który jeszcze przed chwilą był krótki i urywany, teraz przestał być problemem. Już nie biegłam, a dawałam susy, przeskakując kolejne zakamarki lasu. Tylko cudem gałęzie mijanych drzew nie oderwały mi głowy. Kolejny wielki krok i lewa stopa lądowała w miękkiej trawie, następny i prawa trafiała na szyszki, potem jeszcze jeden i pode mną nie było już nic. Powietrze. Pusta przestrzeń. Ostatnim sko-

kiem wybiłam ciało do przodu i teraz leciałam głową w dół. Nawet nie wiem jakim cudem zaczęłam wywijać w powietrzu kozła, który z braku podłoża, na którym mogłabym wylądować, zamienił się w salto. Świat zawirował. Zobaczyłam odbijające się od wody światło, potem cienie w płątaniu korzeni i las do góry nogami. Kiedy już zrobiłam pełny obrót, grzmotnęłam najpierw pośladkami, a potem plecami o ziemię. Cudem nie trafiłam w jakiś sękaty korzeń. Pod sobą miałam tylko piasek. Zaczęłam zsuwać się w dół, po skarpie. Zgarnęłam okrakiem trochę liści i traw, po czym wyhamowałam ryjąc piętami w ziemię. Ległam bez ruchu. Serce waliło, ale głowę przepełniało uczucie niezwykłego, biorąc pod uwagę okoliczności, szczęścia. Zwyczajnie cieszyłam się, że przeżyłam ten upadek. Poza tym zadziałał olbrzymi zastrzyk adrenaliny. Wszystkie problemy zjechały na dalszy plan. Tuż obok mnie pojawił się nagle Józek. Położył się na boku i dłonią dotknął mojego policzka.

– Alina, żyjesz? – wyszeptał. Nie mogłam mu odpowiedzieć. Gardło jakby zamknęło się dla słów. Oparłam się na łokciu i nie mogłam się powstrzymać... zaczęłam go całować. Przełałam w tę czynność całą energię i radość, jakie przepełniły mnie po skoku. Liczyliśmy się tylko my. Otaczający nas świat przestał mieć znaczenie. Nad nami panowała całkowita cisza. Nikt nas nie szukał na skarpie schodzącej wprost do Wilii. Zjechałam kawał drogi od wiodącej przez park ścieżki i nikt o zdrowych zmysłach nie ruszyłby o tej porze skarpą w dół.

Jeszcze przez dłuższy czas leżeliśmy patrząc na gwiazdy. Z każdą chwilą przybywało ich coraz więcej, a ja odsuwałam od siebie myśl o tym, czego właśnie się dowiedziałam, że mój ojciec mógł być zdrajcą. Położyłam głowę na piersi Józka i słuchałam, jak bije serce.

Savalas miał sporo czasu na myślenie. Dostanie się ze Szwajcarii do Wilna nie było takie proste, żeby sprawnie pokonać tę trasę musiał wrócić na niemiecką stronę jeziora. Z Friedrichshafen miał samolot do Frankfurtu, a stamtąd już prosto do Wilna. W sumie jakieś osiem godzin podróży. Miał już za sobą przeprawę przez wodę i pierwszą część podniebnej podróży, był gdzieś nad Polską i analizował wydarzenia sprzed kilku godzin.

Bez trudu zlokalizował dom potomków Szwajcara, który ponad 70 lat temu zakochał się w Wilnie. Ten trop podsunął jego zwierzchnikom informator, na bieżąco monitorujący rozwój sytuacji na Litwie. W białym domku z niewielkim ogródkiem mieszkało tylko starsze małżeństwo prawników. Na szczęście nie włączali na noc klimatyzacji. Kiedy zasnęli przeciągnął przez uchylony lufcik rurkę, przymknął go i odkręcił butlę z gazem. Starał się kontrolować ilość wpuszczanej substancji, bo chciał, żeby gospodarze usnęli, a nie dopisali dwa krzyżyki do listy jego ofiar. Miał tylko nadzieję, że nie mieli kota, bo jego maleńkie serduszek mogłoby nie wytrzymać takiej ilości chlorometanu. Nie chciał skrzywdzić żadnego mruczka, bo darzył te stworzenia więcej niż sympatią. Psy go nie lubiły, może wyczuwały brudną robotę. Koty to co innego, od razu leciały ocierać się o jego nogi.

Kiedy był już pewien, że małżeństwo się nie obudzi przetrząsnął dom, a w szczególności domowe biuro wiekowego adwokata, w poszukiwaniu starej korespondencji, pamiętników czy choćby notatek pozostawionych przez Alfreda Rietmanna. Nie znalazł nic co mogłoby go nakierować na ślad sprawy sprzed lat. Sprawy tak ważnej dla organizacji. Nie miał czasu na zacieranie śladów, udało mu się otworzyć maleńki sejf schowany za obrazem w salonie. Wyjął z niego biżuterię i gotówkę. Wyszedł z domu. Kosztowności wyrzucił do studzienki przecznice dalej. Obok odpływu deszczówki stał zaparkowany stary sportowy Enzmann 506. Idealny pojazd dla niego. Auto z lat 50. XX wieku musiał zostawić na ulicy gość jednej z pobliskich willi. Rejestracja wskazywała na kogoś z Genewy. Bez trudu dostał się do środka i uruchomił silnik, odpalenie auta bez komputera było dla niego jak bułka z masłem. Otworzył dach i przez kwadrans cieszył się jazdą przez uśpione Arbon.

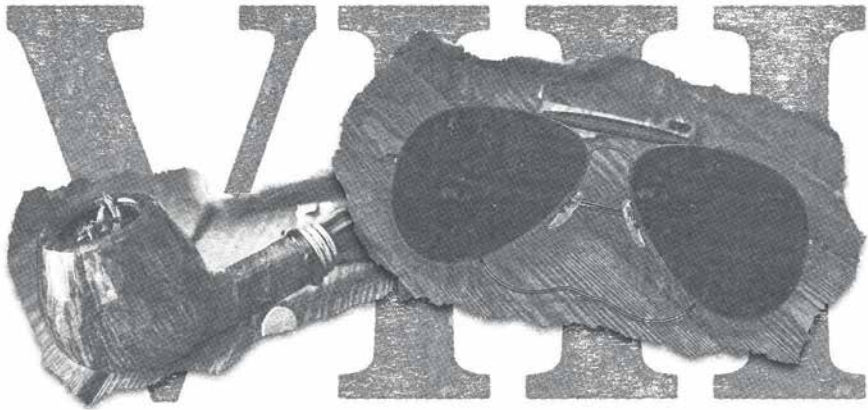
Światła na wszystkich mijanych skrzyżowaniach były wyłączone, podobnie kamery miejskiego monitoringu. Zadał o to programista organizacji, który zhakował miejskie systemy cyfrowe, aby usunąć jak najwięcej śladów bytności Savalasa w Arbon. On musiał tylko zadbać o włączenie lokalizacji w komórce tak, aby siedzący gdzieś pod Rygą specjalista mógł monitorować jego pozycję. Zaparkował samochód dwie przecznice od swojego celu. Przeszedł ten odcinek na piechotę. Już kilka godzin wcześniej haker sprawdził

archiwa cyfrowe miejscowego Muzeum Saurera, które mogło posiadać listy przesłane przez chłopaka z Wilna do szwajcarskiego przyjaciela. W bazach danych instytucji znalazł tylko znane organizacje materiały. Pozostało osobiste przejrzanie teczek schowanej w podziemiach muzeum.

Systemy monitorujące teren muzeum padły pierwsze. W wyłączeniu zabezpieczeń ochrony Savalas musiał trochę pomóc cyfrowemu aniołowi stróżowi. Naciągnął na twarz materiał cienkiej kominiarki z wyciętymi otworami na oczy. Lubił takie bajery bardziej niż były mu potrzebne. Nawet gdyby ktoś go rozpoznał, zanim rozpoczęłoby się śledztwo byłby już w sąsiednim kraju. Ale z drugiej strony fajnie było zakryć twarz i poczuć się jak komiksowy bohater. Heros, a może raczej genialny łotr. Przeciął odpowiednie kable w skrzynce na zewnątrz budynku. Niczym kocur wdrapał się do okna znajdującego się dwa metry nad ziemią. Zaparł się nogami i ramieniem o wgłębienie framugi, diamentem do szkła wyciął w szybie otwór. Przeciął kabelki biegnące po wewnętrznej stronie i otworzył okno. Wsunął się do środka chwilę przed tym, jak zza rogu budynku wyszedł strażnik z latarką. Już wcześniej specjalista z Rygi przesłał Savalasowi plany budynku z instrukcją najprostszego dotarcia do archiwum. Klatka schodowa, dwoje drzwi i trzy przecięte kabelki dzieliły go od pomieszczenia w podziemiach. Dotarł tam w trzy minuty. Otwarcie odpowiedniej szafki zajęło mu kolejne półtorej minuty, zamek był bardziej skomplikowany niż ten, który musiał pokonać wchodząc do pomieszczenia. W przegrodce opisanej ALFRED RIETMANN, odkrył oryginalny maszynopis wspomnień inżyniera – to go nie interesowało – i kilka odręcznie pisanych listów. Korespondencję schował do plastikowej koszulki na dokumenty, którą wcisnął sobie pod kurtkę. Kolejne dwie minuty później był już na zewnątrz budynku i spokojnym krokiem turysty maszerował w kierunku przystani. Następane pół godziny zajęło mu dotarcie na środek jeziora Bodeńskiego. Zatrzymał łódź, rzucił kotwicę i przy lampce pokładowej przejrzał zabrane z muzeum listy. Część napisano po niemiecku i dotyczyły mechaniki pojazdowej. Było też trochę rodzinnych plotek i kilka krótkich listów od Witolda Talmonta, ostatni z 1959 roku. Te dotyczyły zdrowia, historycznej zawieruchy i jej wpływu na losy Polaka oraz jego rodziny. Ani słowa na interesujący orga-

nizację temat. Wyjął telefon, zadzwonił i przedstawił mierne wyniki swoich poszukiwań. Zasugerował, że listów może być więcej, że może jeszcze sprawdzić mieszkanie muzealnika, który zajmował się Rietmannem. W odpowiedzi usłyszał całkiem nowe instrukcje.

Wizyta w Arbon była ślepyim zaufaniem. Nie dziwił się zarządowi, że przetrzącał go teraz do centrum wydarzeń związanych z poszukiwaniami. Został Szwajcarię za sobą. Jakies 10 kilometrów pod nim przebiegała granica polsko-litewska. Za godzinę miał lądować w Wilnie, kolebce organizacji, mieście, w którym się wychował, z którego uciekł i do którego nie lubił wracać.



GNIAZDO RADZIWIŁŁÓW

Nie mogłam zasnąć. Już nie czułam tej radości, której zastrzyk dostałam na skarpie. Chciało mi się nawet trochę płakać. Swędzenie w łopatce ustąpiło. Widocznie zapowiadało pogłębienie znajomości z Józkiem. Natomiast niepokój zwiastujący negatywne zdarzenie nie przeminął. Szykowało się coś o wiele gorszego niż ojcowiska zdrada. Gdzieś między pierwszą a drugą w nocy zaczęły się rodzić pytania: Czy ojciec naprawdę jest po stronie bandytów? Przysiąc się, że go widziałam? Czy powiedzieć tylko Józkowi? Stwierdziłam, że na razie zachowam tę wiedzę dla siebie i zobaczę, jak rozwiną się wypadki.

A kim byli ludzie, z którymi spotkał się ojciec? Samochód wskazywał na przestępców, ale czego chcieli? Deptali nam po piętach, więc najpewniej o berło. Nagle przypomniałam sobie jeden szczegół i połączyłam go z tym, co mówił student Zofii. Chwyciłam za telefon i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że jest środek nocy i nie wypada dzwonić do starszej pani. Weszłam na Facebooka, wspominała, że go ma. Odnalazłam jej profil, same zdjęcia starych rycin i lamerskie żarciki, niektóre nawet zabawne. Otworzyłam znajomych, na szczęście nie zablokowała podglądu. Zaczęłam szukać Zygiego, ale nie miało to sensu, kiedy kierowałam się jego ksywką i imieniem. Skupiłam się na zdjęciach i niemal od razu, spośród 547 znajomych Zofii, wyłowiłam studencika w golfie. Wysłałam zaproszenie. Przyjął

natychmiast. Nie spał. Weszłam na Messengera i napisałam: – Cześć, przepraszam, że tak późno, ale mam małe pytanie dotyczące tego Bruderferajna.

– Jeszcze nie śpię. Jestem nocnym markiem. Postaram się pomóc. Dawaj! – odpisał niemal natychmiast potwierdzając moje wampirze podejrzenia.

– Wspominałeś o tatuażach, które robili sobie członkowie gangu. Mówiłeś, że były wzorowane na berle naszego świętego. – Ciężko było, ale starałam się pisać pełnymi zdaniami, nie skrótami, których używałam do rozmów ze znajomymi. Strasznie długo to trwało, ale skoro komunikowałam się ze studentem historii, to chyba wypadało się postarać.

– *Momencik;*)

Czekałam posłusznie. Użył emotki, więc chyba nie był takim strasznym wapiakiem. Po chwili wysłał mi obrazek z trzema grafikami.



Wszystkie przedstawiały zaciśnięte pięści, ale każda kolejna miała więcej szczegółów.

– *Pierwszy tatuaż, ten tylko z okiem, nosili szeregowi członkowie gangu, złodziejaszki, oszuści i bojówkarze. Drugi, z pnącym się wokół przegubu kwiatem, pewnie lilią, mieli pracownicy wyższego szczebla, ludzie organizujący pracę tych niżej postawionych i ci od czarnej roboty, o której wiedział tylko zarząd, wykonawcy wyroków i zadań specjalnych.*

– *A trzeci to pewnie zarząd?* – napisałam, kiedy on jeszcze wstukiwał ostatnie słowa.

– *Tak! Aureola nad pięścią. Święci złoczyńcy, sprawiedliwi, którzy wydają wyroki. W zarządzie było pięć osób.*

– *Widziałeś kiedyś któryś z tych tatuaży?*

– Nie. To znaczy, pradziadek miał ten szeregowy, ale usunął go w czasie wojny. Została obrzydliwa blizna.

– A w którym miejscu?

– Na przedramieniu, ale wydaje mi się, że mogli go sobie robić gdzie chcieli.

– Dzięki, wielkie!!

– A dlaczego w ogóle pytasz? Masz jakiś trop? Widziałaś gdzieś taki znak?

– Nie, tylko pomyślałam, że warto by było wiedzieć jak wyglądały te tatuaże. Na wypadek gdybym gdzieś coś takiego zauważyła. Może to oni po wojnie ukryli swój skarb i podobnym znakiem oznaczyli skrytkę.

– Słusznie.

– Bardzo ci dziękuję i jeszcze raz przepraszam za porę. Już późno. Pora spać. Kolorowych snów!! – „Kolorowych snów”? Tak pisze dziadek do babci, kiedy jest na rybach. Bardziej mogłam się ośmieszyć tylko dodając motylki i tęczę.

– Dobranoc.

Wszystko stało się dla mnie jasne. Ludzie w parku mieli właśnie takie tatuaże. Ojciec współpracował z Bruderferajn. Przystępczą organizacją, która nie zniknęła po drugiej wojnie światowej, a jedynie dobrze się kamuflowała.

*

Rano spojrzenie w oczy domownikom nie było łatwe. Trudno było prowadzić rozmowy z myślą o potrójnej tajemnicy, której musiałam teraz dochować. Po pierwsze nie mówić Józкови o ojcu na Zakrecie. Po drugie nie wspominać temu drugiemu, że go widziałam. Po trzecie nie wygadać się rodzicom, gdzie byliśmy w nocy. Tu przynajmniej tajemnicę dzielił ze mną Józek. Tego, że coś więcej zaczęło mnie z nim łączyć nie dało się już ukryć. Podczas śniadania wydało nas to jak na siebie patrzymy. Jego maślane oczy, kiedy nalewał mi mleko do płatków. Oczywiście je przelał, bo nie patrzył tam, gdzie trzeba. Moje spojrzenie też musiało im coś mówić, bo co tu kryć, szukałam jakiegoś oparcia w trudnej chwili i tylko w jego oczach znajdowałam wytchnienie. Kiedy już wytarł obrus z mleka złapałam go pod stołem za rękę. Irmina zareagowa-

ła natychmiast. W kąciku jej ust zakwitł uśmieшек, stuknęła ojca ramieniem i wskazała na nas. Myślała, że tego nie widzę. Mój rodziciel oczywiście nie wiedział o co chodzi i zamiast przyjrzeć się nam bliżej popatrzył na przyjaciółkę, dostrzegając tylko jej dziwne zachowanie. Miał pełne usta, więc zrobił tylko minę w stylu „no, co?”. Irmina znowu wskazała nas, ale ja już zdążyłam puścić dłoń Józka i złapać w nią łyżkę. Nie chciałam, żeby ojciec widział nasze szczęście. Kobieta szepnęła mu coś do ucha. Ten przełknął głośno kanapkę, popił kawą i zrobił głęboki wdech.

– Coś się tu zmieniło od wczoraj? – rzucił w naszą stronę.

– Nasze słodkie gołąbki! – Irmina się roześmiała, robiąc przy tym minę swatki, której udała się robota. Józka zalała czerwień, a ja nie chciałam dać się sprovokować i milczałam.

– Mam nadzieję, że... – zaczął ojciec tak, jakby wpadł na pomysł początku wypowiedzi, ale nie miał zielonego pojęcia jak ją zakończyć. Zamilkł. Irmina, znowu szturchnęła go ramieniem. – No, chyba, tego... Młodość ma swoje prawa i wy oboje...

Miałam ochotę powiedzieć mu, że to nie jego interes, że już chyba za późno, żeby opowiadać nam o ptaszkach i pszczołkach. Że jesteśmy dwójką rozsądnych młodych ludzi i wtrącanie się rodziców jest wyjątkowo krępujące. A tak w ogóle, zarówno jako ojciec, jak i zdrajca, nie powinien się mieszać w nasze sprawy.

A powiedziałam jedynie: – Możemy sobie darować tę rozmowę?

– Ale wiesz, że jako twój ojciec...?

– Dziękuję, już się najadłam. – Wstałam od stołu. Nie byłam w stanie znieść jego gadki. O mały włos nie wymknęło mi się, że wiem co robił w parku ostatniego wieczoru w towarzystwie ciemnych typów z Bruderferajm. Musiałam wyjść z kuchni i jakoś się opanować. Ojciec chciał coś powiedzieć, ale Irmina złapała go za ramię i pokręciła głową. Złapałam kubek z kakao i pomaszerowałam na taras. Usiadłam pod ścianą, tak, żeby nie widzieli mnie z kuchni. Obok mnie zaraz zjawiała się Klątwa, usiadła na taborecie, polizała łapę i zaczęła się gapić na rzekę całkowicie ignorując moją obecność. – Racja, tylko spokój mnie dzisiaj uratuje. – Pociągnęłam łyk kakao i zrobiłam to samo co kot. Ranek był piękny.

Nie dane mi było długo siedzieć w samotności – o, przepraszam, w ciszy, bo miałam towarzystwo Kłątwy – po chwili usłyszałam skrzypienie tarasowych drzwi. Już miałam posłać jakąś złośliwość ojcu, ale kiedy odwróciłam głowę zobaczyłam skradającego się do mnie Józka. – To tylko ja! – uniósł dłonie do góry, jakby chciał pokazać, że nic w nich nie ukrywa. Uśmiechnęłam się i poklepałam miejsce obok siebie. W tym samym momencie, w którym dotknął pośladkami ławki, Kłątwa zerwała się, w dwóch susach pokonała taras i zniknęła w wysokiej trawie. Uznała, że jest już zwolniona z obowiązku dotrzymywania mi towarzystwa. Wtuliłam się w Józka, niemal wymuszając, żeby objął mnie ramieniem. Chyba nie spodziewał się takiej bliskości, bo siedział trochę spięty. Przynajmniej do chwili, w której wyszeptałam: – Dziękuję, że jesteś.

Miałam cichą nadzieję, że to mu wystarczy i choć przez chwilę posiedziemy w milczeniu, ale nie. Uznał, że trzeba drażnić sprawę mojego porannego zachowania.

– Coś cię martwi? Między nami wszystko...?

– Nie, znaczy tak, w porządku, spokojnie. Jestem dzisiaj trochę podenerwowana. Wiesz, babskie sprawy. – Trafienie było celne. Dwa ostatnie słowa sparaliżowałyby każdego faceta, a już szczególnie chłopaka na samym początku znajomości. Już nie dopytywał, tulił, a po chwili nawet poprawił opadający mi na twarz kosmyk włosów.

Staruszkowie dali nam jeszcze cały kwadrans na tarasie. Potem Irmina poinformowała, że zbieramy się do drogi.

Zapakowaliśmy się do naszego samochodu. Rodzice z przodu, my z tyłu. Widok ojca coraz bardziej działał mi na nerwy. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej by było jednak z nim porozmawiać. Dać mu szansę na wyjaśnienie sprawy albo pogrzebanie się w jeszcze większym kłamstwie. Ostatecznie zdecydowałam się zachować milczenie do końca dnia i uważnie obserwować ojca.

Już na początku drogi próbował zagadywać. Zapytałam wtedy czy mogę włączyć muzykę. Zgodzili się, więc wyciągnęłam ze schowka między fotelami pudełko z płytami, wyjęłam jedną i podałam ją Irminie. Przyznam się, że wybrałam pierwszy studyjny album Metallici, żeby trochę zagrać ojcu na nerwach. Miałam nadzieję, że ostre granie go wkurzy. Jednak ku mojemu zdziwieniu płyta ożywi-

ła staruszków. Kiedy mój rodziciel usłyszał głos Jamesa Hetfielda przypomniał sobie, że w 1999 był na koncercie metalowych gwiazd na stadionie warszawskiej Gwardii.

– Nie, no żartujesz? Ja też tam byłam.

Tak dowiedziałam się, że Irmina przez rok uczestniczyła w wymianie studenckiej w Warszawie. Ojciec nic o tym nie wiedział i zdziwił się, że to wcześniej nie wypłynęło. Potem zaczęła się wymiana informacji o odwiedzanych klubach, imprezach i koncertach. Kilka razy zapędzali się za daleko we wspomnieniach i ucinali w pół zdania, przypominając sobie, że dorastająca młodzież siedzi na tylnych siedzeniach. Irmina wtedy chichrała, a ojciec strzelał rogala do swoich myśli. Kiedy w samochodzie rozbrzmiewał kończący płytę marszowy krok, jechaliśmy już po drewnianym moście prowadzącym do Dubinek. Potem trasa wiodła wzdłuż jeziora tak pięknego, że aż żałowałam, że musimy wjechać na wzgórze i zostawić je za sobą. Jednak miasteczko też mnie nie zawiodło, bardziej przypominało zagubioną wśród lasów wioskę zabudowaną drewnianymi chatami. Wyglądały tak, jakby wybudowano je co najmniej 150 lat temu i świetnie się przy tym trzymały. No i chyba każda z nich była wciąż zamieszкана. Wszystko to stało na delikatnie falujących wzniesieniach.

Kiedy dojechaliliśmy we wskazane przez Zofię miejsce, mieliśmy jeszcze jakieś pięć minut do spotkania z Bogumiłem, ale archeolog już tam był. Siedział na kamieniu i kopał fajkę. Spodziewałam się zobaczyć siwego dziadka w słomkowym kapeluszu i zatkniętym za ucho pędzelkiem do odpylania skamieniałości. Z moim wyobrażeniem wiekowego profesora łączyła go tylko fajka. Podniósł się rozwiewając chmurę tytoniowego dymu. Był wysokim brunetem, długie włosy zaczesywał do tyłu i spinał gumką do włosów. Miał najwyżej 35 lat. Nie golił się od kilku dni, ale tylko dodawało mu to uroku. Ściągnął przeciwsoneczne okulary – takie w stylu lat 80., identyczne jak te noszone przez Stallone w „Cobrze” – i spojrzął na nas tymi swoimi zielonymi ślepiami. Był fajny. Irmie nie też zaświeciły się oczy. Przedstawił się. Uścisnął nam dłonie. Mocny uścisk, ale litościwy dla niewieścich palców. Zdaje się, że co innego sprzedawał chłopakom, bo Józek aż pobladł, kiedy młody archeolog ścisnął mu rękę.

– Bogumił, jak w „Nocach i dniach”? – ojciec zagadał puszczejąc oko Irminie. Żalotne.

– Mówcie mi po prostu Boguś. Przyjaciele Zośki są moimi przyjaciółmi. – Archeolog nie pociągnął filmowego tematu i odsłonił w uśmiechu wyjątkowo jasne jak na nikotynistę uzębienie. – Proszę za mną.

Założył z powrotem przeciwsłoneczne okulary, odwrócił się i wskazał kierunek marszu. Poprowadził nas przez łąkę. Nic nie mówił, do chwili, w której doszliśmy do rozkopanej łąki. Spod ziemi odsłonięto tu sypiące się fundamenty ceglanej budowli.

– To pozostałości kalwińskiego zboru w Dubinkach. – Ojciec już otwierał usta i miał o coś zapytać, ale Boguś go uprzedził. – A skąd w Dubinkach protestanci? Już w drugiej połowie XVI wieku to miejsce było jednym z największych ośrodków reformacji na Litwie. Za sprawą kogo? – Archeolog wskazał palcem Józka, który otworzył usta i wydał z siebie tylko nieokreślony dźwięk. – Dokładnie, Mikołaja Radziwiłła, dla przyjaciół i historyków „Rudego”. To on w 1564 zrobił religijny „coming out” i ogłosił, że jest kalwinistą. Przy zamkowy drewniany kościół przerobiono wtedy w zbór, a do końca wieku zamieniono go w murowaną świątynię. Zośka wspominała, że interesuje was Barbara Radziwiłłówna, która dla Rudego była kim? – Tutaj nie wskazał nikogo konkretnego, pytanie było skierowane do całej grupy.

– Siostrą! – strzeliłam wrywając się przed szereg.

– Wyśmienicie! Nawet przez krótki czas Barbara mieszkała w Dubinkach. Brat opiekował się siostrą pewnej zimy w połowie XVI wieku. Żyła tu do czasu, kiedy w jej obecności zawałiła się ściana murowanego domostwa. Przerażona uciekła z Dubinek, na szczęście była już wiosna, drogi przejezdne. Ale przypuszczam, że w kolejnych latach zdarzało jej się odwiedzać brata. Zwłaszcza, że miała wśród kalwinów kilkoro przyjaciół.

– A berło? Wspominał pan Zofii o jakimś kazaniu, w którym się ono pojawia. – Ojcu udało się przebić z pytaniem.

– Tak, zapraszam dalej. – Przestał opowiadać i ruszył wzdłuż wykopalisk. Bez słowa przeprowadził nas na drugą stronę pozostałości zboru. Znaleźliśmy się w świeżo odkopanej części zabudowań. Fundamenty sięgały dużo

głębiej, a w wielkim dole, odgrodzonym od łąki żółtą plastikową wstęgą, pracowało troje młodych ludzi.

– Ferajna, mamy gości. – Dziewczyna dłubiąca w nadgniłym murze tuż pod nami, odłożyła narzędzia i dla żartów zasalutowała. – Spoczniej, to nie kontrola. Turysci. Przerwa na kawę. – Umorusana trójka ochoczo ruszyła w stronę drabiny i wygramoliła się na powierzchnię. Ruszyli w stronę małej przyczepy kempingowej, obok której pasły się krowy. – Schodzimy do grobu. – Uśmiechnął się i puścił nas przodem.

Dół miał cztery metry głębokości i kształt długiego prostokąta, szerokiego na jakieś dwa metry i długiego na sześć. Schodząc po drabinie widziało się najpierw cienką warstwę trawy, potem ziemię, która z czasem mieszała się ze zbutwiałym drewnem i fragmentami cegieł, a potem mieliśmy już tylko kruszący się czerwony budulec. Stałam pośrodku pomieszczenia, które kiedyś skryte było głęboko pod ziemią, a dziś za sufit miało bezchmurne niebo. Doświetlała je tylko ustawiona na statywie mocna lampa.

– Spójrzcie tutaj! – rozkazał Boguś i palcem wskazał kilka płyt wmurowanych w ceglany mur. – To jest nasze ubiegłoroczne odkrycie. Cała krypta powstała w XVII wieku, właśnie wtedy rozpoczął się powolny upadek dubnieckiego zboru. Legenda mówi, że dało mu początek uderzenie w budynek pioruna. We wsi gadali, że to boski znak wycelowany w „heretyków”. Ja za upadek zboru obwiniałbym raczej potop szwedzki. Boski czy polityczny, skutek był taki, że wiek później znowu królował na tych ziemiach katolicyzm.

– Jak to się ma do berła i kazania?

– A pan widzę niespokojny. Już przechodzę do waszego skarbu. – Bogumił usiadł na rozkładanym wędkarskim stołku, który zostawili na dole jego współpracownicy, wyjął skórzany woreczek i wydobyłym z niego tytoniem zaczęła nabijać fajkę. – To nie było kazanie. Tutaj Zofia trochę pokręciła. W latach 20. XVIII wieku zaczęto planować budowę zboru w Wilnie. Zawiązano komitet, w którego składzie znalazł się ksiądz Rafał Downar. Duchowny, bardzo zasłużony dla społeczności litewskich protestantów. Nauczał po polsku i litewsku, zainspirował nawet tłumaczenie na litewski Nowego Testamentu, znał grekę, łacinę, hebrajski, francuski, niemiecki, holenderski, rosyjski. No człowiek świątły.

– A berło? – ojciec się niecierpliwił, czym wkurzał i mnie, i Bogusia.

– Panu się bardzo śpieszy? Jeszcze chwilkę i pognacie dalej w tę swoją wyprawę. Poświęćcie chwilkę profesorskiej głowie, która tęskni za wykładami. Ta trzódka na górze zna te historie na pamięć, bez tego bym ich nie dopuścił do żywej historii. A wam i tak prezentuję skróconą wersję. – Zapalił fajkę. Zapalnąkę zgasił machając zamasyżuje ręką ojcu pod samym nosem. – Dostrzegam w panu niepokój wykładowcy, który porzucił uczelnię. – Trafił w sedno. Ojciec obronił doktorat i zaraz potem porwała go praca w terenie. Nie potrafił usiedzieć na uczelni. Ale czasem się odgrażał, że to wszystko rzuci i jeszcze będzie nauczać. Boguś zaciągnął się dymem z fajki. – Dobra, wróćmy do Downara. Wspominałem o komitecie budowy zboru w Wilnie. Nasz duchowny napisał wiele listów poparcia tej inicjatywy. Część z nich ocalała, a jeden nawet w formie szkicu, który nigdy nie wszedł do oficjalnej korespondencji. Downar wspominał w nim o berle jako „pieczęci zaufania”. Napisał dokładnie: „pieczęć zaufania, którą koronowane głowy obdarowały społeczność kalwińską na Wileńszczyźnie”. Potem wspomniał, że Radziwiłłowie właśnie jego przodkom przekazali pod opiekę berło katolickiego świętego. Dodał: „w obawie przed niewiedzą i brakiem zrozumienia”, tego trochę nie rozumiem. – Boguś zdjął z ramienia niesiony ze sobą mały plecak i zaczął w nim grzebać. – W każdym razie berło jest w tym tekście symbolem zaufania jakim obdarzono ewangelików. Nie dodał tego fragmentu do ostatecznej wersji żadnego listu, może właśnie dlatego, że chciał dalej chronić przekazany przez Barbarę skarb.

– Ale, mamy panu wierzyć na słowo? Gdzie ten dokument? – ojciec był nieznośny, a Boguś wyciągnął z plecaka tablet. Ekran był w stanie czuwania, archeolog się przygotował i pokazał mojemu staruszkowi skan dokumentu. – Proszę, tu są dowody. Poda pan adres, prześlę na maila. Ja z przyjemnością pomagam tym, co kopią na górze. Tylko proszę czasem zejść do mnie pod ziemię i opowiedzieć jak to się wszystko skończyło. Bo, że coś znaleźliście, to sobie w prasie przeczytam, ale szczegóły najlepiej przekazać ustnie.

– Przepraszam! – uniosłam rękę, jak bym prosiła o pozwolenie odezwania się podczas lekcji. Potakując udzielił mi głosu. – A dlaczego rozmawiamy tutaj, pod ziemią?

– No właśnie! – Boguś podszedł do ściany za nami. Staął obok przyprószonych warstwą ziemi tablic nagrobnych. Zaciągnął się fajką i z całych sił dmuchnął w jedną z nich dymem. – Spójrzcie tutaj. – Kiedy chmura się rozstąpiła dostrzegliśmy nazwisko Dolner, część daty śmierci wskazującej na XVII wiek i jeszcze jakieś litery. Reszta tablicy odpadła odsłaniając zawartość grobu.

– Dolnerowie to była rodzina, która w XVII wieku przybyła tu ze Szwecji. Przodkowie Rafała Downara. Myślę, że Barbara podczas pobytu w Dubinkach, już po nawróceniu jej brata na kalwinizm, przekazała berło na przechowanie ewangelikom. Tak znalazło się w rękach Dolnerów, a potem kolejnych przodków Downara. Być może ta rodzina posiada wiedzę o waszym berle do dzisiaj. Ale znalezienie ich to już kopanie w zupełnie innej materii niż moja.

– Znaleźliście w środku coś ciekawego? – Irmina wskazała dziurę w tablicy prowadzącą do nagrobnej wnęki.

– Tylko szczątki imię Downara. W laboratorium potwierdzili, że to męzczyzna. Były też resztki ubrania i jakieś metalowe pierdółki, pierścień, klamra od pasa.

– Przepraszam – zwróciłam się do profesora. – Ma pan może taki... wasz archeologiczny pędzelek?

– Ależ oczywiście. – Podał mi przedmiot wyciągnięty z tylnej kieszeni spodni.

– A mogę? – wskazałam litery na tablicy przyprószone obsypaną ziemią.

– Ależ oczywiście.

Odsłoniłam pędzelkiem elementy napisu znajdujące się nad nazwiskiem Dolnar. Zawsze marzyłam, żeby zrobić coś takiego na wykopaliskach.

– Myślę, że pan Boguś kieruje nas na dobry trop. Spójrzcie na te litery.

Odsłoniłam, żeby wszyscy widzieli znany nam skrót: O.D.D.M.

– Omni die dic Mariae – rozszyfrował Józek. – To chyba niezwykle na kalwińskim nagrobku?

*

Zaraz po naszej rozmowie Boguś zarządził koniec przerwy, pożegnał nas i nawet nie czekając aż odejdziemy, zabrał się do roboty. Wracaliśmy do sa-

mocho, a ojciec nawijał jaki to dziwny człowiek ten Bogumił. Irmina się uśmiechała. Szepnęła do mnie: – Zazdrośnik. – Ją radował, a mnie niesamowicie wkurzał.

Kiedy dojeżdżaliśmy do mostu w Dubinkach cicho zapiszczała.

– Co ci? – ojciec zwolnił i spojrzał na swoją przyjaciółkę.

– Siu siu mi się chce.

– To nie mogłaś wcześniej?

– Wcześniej mi się nie chciało.

– Tam jest parking. – Józek wychylił się do przodu i wskazał polanę nad jeziorem. – Da się zjechać i są gęste krzaki.

Zaraz za mostem skręciliśmy w lewo i zatrzymaliśmy się przy drewnianej wiacie piknikowej. Oprócz nas nikogo tu nie było. Fajne miejsce na przerwę w podróży, nad samą wodą, może tylko zbyt blisko drogi.

Irmina wyskoczyła z auta i pobiegła w krzaki, a ja ruszyłam w stronę brzegu. Zatrzymałam się dopiero, kiedy czubki butów dotknęły wody. Przykucnęłam, palcem narysowałam okrąg na tafli wody. Po chwili zauważyłam stojącego na moście wędkarza. Głupio pomyślałam, że może płoszę mu ryby. Wstałam, zawiesiłam wzrok na drugim brzegu i słuchałam fal objających się o przęsła mostu.

– To nie tylko miejsce związane z Radziwiłłami. – Podskoczyłam nie spodziewając się głosu ojca za plecami. Jeszcze bardziej mnie wkurzył podchodząc tak znienacka i przerywając mi chwilę wyciszenia. – To też rozdział trudnej polsko-litewskiej historii. – Mówił tak, jakby czytał podręcznik. – W czerwcu 1944 policjanci z utworzonego przez Niemców litewskiego batalionu Schutzmannschaft zamordowali w pobliskich Głinciszkach 39 Polaków. – Znowu się wymądrzał. Zwykle lubiłam, kiedy się popisywał wiedzą, ale tym razem drażniło mnie niemal każde jego słowo. – W odwecie Wileńska Brygada AK kilka dni później zaatakowała Dubinki, w których mieszkały rodziny tych litewskich policjantów. Zabili ponad dwudziestu Litwinów. – Wymieniał fakty, a każde kolejne słowo pompowało wielki balon goryczy w mojej głowie. Do jego aktualnych przewinień zaczęły dołączać starsze grzechy. Rzeczy, o których nigdy z nim nie rozmawiałam, które przykrywałam radością z kolejnych powrotów,

długich telefonicznych rozmów, trafionych podarków. Resztkami sił starałam się utrzymać nerwy na wodzy. Kiedy poczułam, że złość zaraz wycisnie ze mnie pierwsze łzy, zacisnęłam zęby, odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy. – Dzisiaj się uważa, że to była... – tyle zdążył powiedzieć zanim moje wściekle zmrużone oczy nakazały mu milczeć. Nie wiem, może zapalnikiem była dramatyczna opowieść o mrocznej stronie naszej historii? A może trzymanie za zębami wiedzy o wczorajszym zajściu w parku? W każdym razie poczułam potrzebę wypłucia z siebie czegoś męczącego mnie od dużo dłuższego czasu. Wybuchłam tekstem, który nawet mnie zaskoczył.

– Jak mogłeś mnie tak po wszystkim zostawić?! Moja matka zginęła i potrzebowałam ojca, potrzebowałam, żebyś był blisko...!!

– Jak? Co? Przecież... wiesz, musiałem...

– Co musiałeś? Zostawić jedyną córkę swoim rodzicom i uciec!? Myślisz, że to normalne? Że mieszkam z dziadkami, a ojca widuję raz w miesiącu? – Miałam całkowicie gdzieś, kto mnie słyszy i co sobie pomyśli o drącej się na ojca nastolatce. – Myślisz, że mi wystarczy wciskanie głodnych kawałków przez telefon!? Że co? Zabytki, skarby, wiekowe cuda. Martwi od wieków święci i królowe zamiast żywego ojca na miejscu? Tak, oczywiście, to wszystko daje frajdę, ale jest też szkoła, są ludzie... radości... Prawdziwe problemy! O tym chcę z tobą rozmawiać. Że mnie w szkole dwie takie obszczekują za plecami! O Józku, że się pojawił...– Chłopak jeszcze przed chwilą szedł w naszym kierunku, ale kiedy zobaczył mój wybuch zaczął zwalniać. Wyhamował do zera słysząc swoje imię. – Może właśnie o nim chcę pogadać. O tym, że mi się ktoś, w końcu tak naprawdę podoba... I o tym, że się martwię o dziadka, jego chore serce. Babci astmę. O... Boże, o nas chcę rozmawiać... Właśnie o tym co się między nami dzieje! A ty co?! – Odwróciłam się do niego plecami. Nie mogłam znieść tego bydlęcego spojrzenia, tej bezradności wobec mojej złości. Myślałam, że weźmie mnie w ramiona i powie jakieś magiczne słowa. Nie wiedziałam jakie, on powinien wiedzieć. Może nawet próbował to zrobić, ale kiedy złapał mnie za ramię, nadeszła kolejna fala złości. Wyrwałam mu się i ruszyłam z powrotem w stronę jeziora. Darłam się jeszcze głośniejszy, bo drogą akurat przejeżdżało kilka samochodów, a jeden zdaje się nawet zjeżdżał na nasz parking. – A ty co?! Praca?!

Życie na walizkach i jak najdalej! Ty myślisz, że ja nie wiem? Nie wiem, że uciekasz?! – Zatrzymał mnie brzeg. – Myślisz, że te pierdoły, gówienka, prezenciki, podtrzymają jakąś więź? – Jak teraz na to patrzę, to trochę głupio wymachiwałam w powietrzu czapką z kreskówkowym krokodylem. Z rozpędu zamachnęłam się i wrzuciłam ją do jeziora. Dokładnie tam, gdzie unosił się splawik wędkarza. Mężczyzna zarzucający z mostu wędkę nawet nie zauważył, że zanieczyściłam mu łowisko, bo oniemiały gapił się na moje przedstawienie. Miał strasznie głupią minę i biorąc pod uwagę fakt, że pewnie nie znał polskiego, przywiązywał zbyt wiele uwagi do całej sceny. Dopiero po chwili pojęłam, że nie gapi się na mnie, ale na placyk za moimi plecami. Wtedy usłyszałam przerażony krzyk Irminy: – Józek!!

Odwrociłam się. Wszystko co wtedy zobaczyłam zapamiętałam tak, jakby rozgrywało się w zwolnionym tempie. Najpierw zauważyłam spanikowaną Irminę, biegnącą z lasu w stronę parkingu. Potem nieprzytomnego ojca, jakiś osiłek w dresie, zakrywający twarz kominiarką, wciągał go do bagażnika czerwonej toyoty z przyciemnianymi szybami. Bliźniaczko podobny typ stał nad leżącym na ziemi Józkiem. Mój bohater właśnie szykował się do powstania, po ciosie, którego nie miałam szansy zobaczyć. Zakurzyło się kiedy zwinnie podskoczył na równe nogi. Przyjął bokerską postawę, trzymając zaciśnięte pięści blisko twarzy i zrobił krok w kierunku zamaskowanego bliźniaka.

– Józek, nie!! – krzyczała Irmina, kiedy mój chłopak leciał do tyłu po ciosie wymierzonym prosto w twarz. A ja stałam jak zamurowana. Nie mogłam się ruszyć. Obserwowałam to wszystko i nie byłam w stanie zareagować, bo wydawało mi się, że to jakaś ułuda, sen na jawie. Irmina padła na kolana wznosząc jeszcze większy obłok pyłu niż upadający Józek. Objęła jego głowę i próbowała cucić syna. Ocknęło mnie dopiero trzaśnięcie bagażnika, w którym upchnięto mojego ojca. Kiedy biegłam w stronę auta, dwa typy pakowały się na tył samochodu. Zauważyłam jeszcze dłoń kierowcy, który wyrzucił coś przez uchylone okno. Potem odjechali wzbijając oponami chmurę godną miana małej burzy piaskowej. Wbiegłam w ten szary obłok. Pył drażnił oczy i gardło, zaczęłam kasłać. Zatrzymałam się w miejscu, w którym wcześniej stał samochód. Zasłoniłam dłonią usta i zgięta kaszlem popatrzyłam na ziemię. Przy śladach opon

leżał papierek po lizaku, który wyrzucił za okno kierowca porywaczy. Popatrzyłam na drogę. Samochód był już za pobliskim zakrętem. Nawet gdyby udało mi się dostrzec tablice rejestracyjne, to i tak auto na pewno było kradzione.

– Alina, przynieś wodę! – krzyknęła Irmina, przynosząc tym samym moje myśli z porywaczy na nieprzytomnego Józka. Z nosa ciekła mu krew. Pobiegłam do samochodu po butelkę i obmyłyśmy mu twarz. Spływająca woda wyłobowała w pyle na jego policzkach ciemne podłużne ślady. Wyglądał trochę jak muzyk gotyckiej kapeli, któremu łyzy wzruszenia po udanym występie rozmazały makijaż. Krwotok ustał, ale mój chłopak wciąż był nieprzytomny. Spojrzałam na Irminę, której prawdziwy makijaż rozmazały prawdziwe łyzy. Chlipała cicho i bezradnie, obejmując dłońmi głowę syna.

– Jedziemy do szpitala! – zawołałam łapiąc ją za ramię. – Chodź, przeniesiemy go do samochodu. – Wiem, nie powinno się go ruszać, na wypadek obrażeń kręgosłupa, ale na swoją obronę powiem, że działałyśmy pod wpływem bardzo silnych emocji, a upadek Józka nie wyglądał na poważny. Próbowaliśmy go dźwignąć, ale z Józka był kawał chłopca i o niesieniu go kilkanaście metrów przez dwie drobne kobiety nie było mowy. Na szczęście do ekipy ratunkowej dołączył wędkarz z mostu. On złapał chłopaka za ramiona, my za nogi i razem zapakowaliśmy Józka do samochodu. Coś tam mówił po litewsku, Irmina zdaje się podziękowała w tym samym języku. Kiedy wsiadałam do auta wcisnął mi do ręki jakiś nasiąknięty wodą przedmiot. To była moja czapka. Ruszyliśmy. Irmina okazała się być doskonałym kierowcą, choć jednocześnie zasłużyła na miano pirata drogowego. Zdarzyło się jej ściąć kilka zakrętów i wyprzedzić na ciąglej paru powolnych użytkowników drogi. Usprawiedliwiał ją fakt, że gnała na ratunek własnemu dziecku. Siedziałam z tyłu trzymając jego głowę na kolanach i próbując zapanować nad resztą ciała, żeby się nie obijał podczas ostrzejszych zakrętów. Najechaliśmy na dziurę w asfalcie, rzuciło nami potężnie i Józek zajęczał.

– Co się dzieje? – spanikowana Irmina odwróciła głowę w naszą stronę.

– Spokojnie – uspokoiliam ją widząc, że mój chłopak otwiera oczy. – Uwaga!

Irmina wróciła wzrokiem na drogę, akurat w chwili, w której z lasu zaczęła wyjeżdżać jakaś furgonetka. Wyminęła ją, a Józek zajęczał.

– Kto dał Irminie kluczyki? – syknął łapiąc się za głowę. – Pozabija nas.
– Jak się czujesz synku?
– Głowa boli... i nos. Co się stało? – Mrużył oczy, jakby szukał czegoś w pamięci i nagle to znalazł. – Co z twoim ojcem? Gdzie on jest?
– Porwali go... Wsadzili do samochodu i...
– Teraz ich ścigamy? – wciąż trzymając się za głowę zaczął się podnosić.
– Leż spokojnie, możesz mieć wstrząśnienie mózgu. – Zmusiłam go do położenia głowy z powrotem na moich kolanach. – Jedziemy do szpitala, muszą cię obejrzeć. A z ojcem... – Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie wiedziałam co dalej robić. – Na pewno trzeba zadzwonić na policję, potem chyba do ambasady.

– Ale teraz, jedziemy w kierunku, w którym odjechali, prawda? Ze mną jest w porządku. Dostałem i tyle...

– Leż! – przytrzymałam go mocniej.

– Wykręć 112, ja z nimi porozmawiam – powiedziała Irmina nie odrywając tym razem wzroku od drogi.

– Już, momencik. – Kiedy sięgałam do kieszeni po telefon odezwał się w nim dźwięk wiadomości. Przeczytałam wiadomość i milczałam.

– Dacie mi ten telefon? – Irmina wyciągała w naszym kierunku rękę.

– Mamy problem – powiedział Józek, a ja zdałam sobie sprawę, że trzymałam telefon tuż przy jego twarzy i widział całą wiadomość.

– Co tam się dzieje dzieciaki?! Prowadzę, nie mogę się co chwila odwracać.

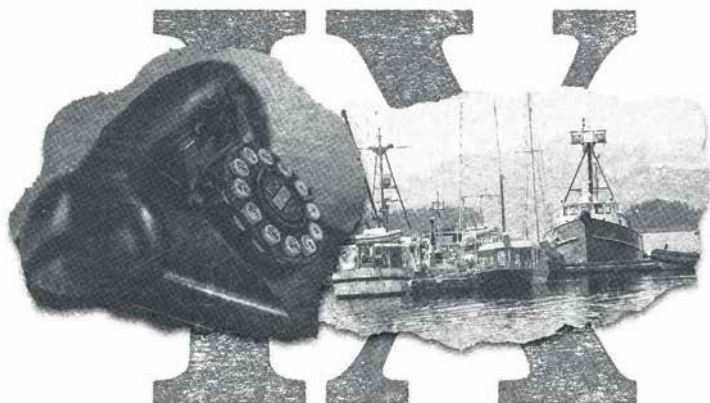
– Porywacze do mnie napisali... – zaschło mi w gardle.

– Co? Co napisali?

– *Tatuś cały i zdrowy. Nie mów policji, nie informuj władz. Daj nam berło albo dobry trop, a ojciec wróci bez strat. Masz trzy dni. W razie czego pisz na ten numer, odpowiemy. Bracia Ćmy.*

Nie mogliśmy prowadzić dalej rozmowy, bo Józkowi zaczęła znowu lecieć krew z nosa. Było dosyć dramatycznie. Ja starałam się tamować krwotok, robić okłady ze znalezionej na tylnym siedzeniu mokrej szmatki i utrzymywać głowę swojego mężczyzny bez ruchu. Irmina przeżywała katusze, bo nie mogła robić tego co ja i musiała się skupić na dowiezieniu nas w całości do naj-

bliższego punktu medycznego. Józek miał chwilowy przypływ energii, podczas którego przekonywał, że krew z nosa to nic takiego. Potem się uspokoił. Nawet wyglądał na zadowolonego, że może bezkarnie trzymać głowę na moich kolanach.



STUDENCKIE ŻYCIE

Buzujące przez kilkadziesiąt minut emocje wycisnęły ze mnie wszystkie siły. Irmina pognąła z Józkiem na ostry dyżur, a ja opadałam na ławeczce przed szpitalem. Miałam w głowie temat ojca, tego, gdzie jest i czy na pewno nic mu nie zrobią. Gdyby nie gonitwa myśli pewnie bym tam przysnęła.

Razem ze zniknięciem ojca wszystko się posypało. Ale ja z jakichś niewyjaśnionych powodów nie wpadałam w rozpacz. W chwili, w której, tam na parkingu, wykrzyczałam skrywane uczucia pękło coś bardzo bolesnego. Mimo że sytuacja była naprawdę zła, trochę mi ulżyło. Musiałam tylko chwilkę odsapnąć i mogłam biec dalej, odnaleźć berło, oddać je złym ludziom i zabrać im ojca, bez względu na to czy zdradził czy nie. Jak i gdzie to zrobić? O tym zdecydowałam się pomyśleć, kiedy odpocznę. Słońce grzało, przymknęłam lekko oczy i wsłuchałam się w szeleszczący szept rosnącego obok drzewa. Poruszające się na wietrze liście rzuciły mi na twarz cienie. Pod zamkniętymi powiekami migotało. Gdzieś zniknął nawet niepokój towarzyszący złemu przeczuciu. Pomogę ojcu, a potem weźmiemy Józka, może Irminę i pojedziemy nad morze. Józkowi nic nie będzie. Ojciec wróci cały... Tak właśnie odpłynęłam. Spałam pewnie z minutę. Ocknęłam się, kiedy twarz przysłonił mi cień. Światło pod powiekami przestało migotać. Obudziłam się, ale nadal nie otwiera-

łam oczu. Ktoś usiadł obok mnie. Wyobraziłam sobie, że to Józek przyszedł mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie chce mnie jeszcze budzić.

– Wszystko będzie dobrze.

– Co powiedzieli? – otworzyłam oczy i spjrzałam na Irminę. Też była wykończona. Patrzyła tępo w przestrzeń przed sobą.

– Wstrząśnienie mózgu od uderzenia i krwotok z nosa. On tam ma taką żyłkę cieńszą, otwiera się przy byle urazie i krew mu leci. Już się zdarzało. Zostanie na obserwacji do jutra. Wszystko będzie dobrze.

– Mogę go zobaczyć?

– Dali mu coś na sen. Zresztą tam na oddział tylko rodzinę wpuszczają. Wytrzymacie bez siebie jeden dzień. – Odwróciła się w moim kierunku i zła-pała mnie za rękę. – Alina. Musimy się zgłosić na policję. Trzeba im wszystko opowiedzieć. Sami przecież nie znajdziemy tego berła.

– Bez ojca? Może damy radę...

– Nie w trzy dni. To są kryminaliści. Odważyli się porwać człowieka. Nie możemy im ufać. Chodź, pojedziemy teraz na komisariat.

Wiedziałam co robić. Przetarłam twarz i ściągnęłam z niej warstwę brudu. Spjrzałam na ciemne wnętrze dłoni. – Muszę się umyć. Jest tu łazienka?

– Tam – Irmina wskazała wejście do budynku. – W połowie korytarza, drzwi po lewej. Idź. Ja tu poczekam.

W łazience obmyłam twarz i ręce. Potem wyszłam na korytarz i ruszyłam w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszłam. Na szczęście po drugiej stronie budynku było otwarte wyjście, prosto na ulicę. W portfelu miałam ze trzysta euro i telefon, w plecaku powerbank, gdyby komunikacja się wyładowała, poza tym scyzoryk, multitool, bluzę z kapturem i pomadkę do ust. Byłam gotowa na trzy dni samotnych poszukiwań. Żałowałam tylko, że Józka nie będzie przy tym jak zacisnę palce na berle św. Kazimierza.

*

Pod szpitalem wsiadłam w autobus i podjechałam na wileńskie stare miasto. Krążyłam po małych, ciasnych uliczkach, podwórkach i wąskich przejściach między nimi. Unikałam głównych ulic. Na głowę naciągnęłam kaptur, na oczy okulary, byłam przekonana, że w takim kamuflażu nikt mnie

nie pozna. Teraz jak o tym myślę, to z daleka musiałam wyglądać jak nastolatka na gigancie. Miałam nadzieję, że może chodzenie wśród wiekowych budynków, stąpanie po kocich łbach i rozglądanie się za cudownie zesłanym mi od Świętego Kazimierza znakiem przybliży mnie do rozwiązania zagadki. Rola ojca w całej sprawie stała się jeszcze bardziej niejasna. Jeśli współpracował z przestępcami, to dlaczego go uprowadzili? To, że posunąłby się do sfingowania własnego porwania nie trzymało się kupy. Bo po pierwsze nie zrobiłby tego córce. Oszukiwanie to jedna sprawa, ale knucie na taką skalę? W jego wykonaniu niemożliwe. Po drugie, po co miałby sfingować własne uprowadzenie, skoro razem mieliśmy większą szansę na odnalezienie skarbu. Widać ktoś z Bruderferajn, bo że to oni nie miałam żadnych wątpliwości, uznał, że niezły ze mnie detektyw i sama dam radę doprowadzić sprawę do końca. Zresztą wiedzieli, że człowiek szantażowany ma o wiele większą motywację, jest zdolny do większych poświęceń, i posunie się dużo dalej. Na przykład do porzucenia przyjaciół i przeprowadzenia akcji na własną rękę.

Przez cały czas mojego łażenia po mieście, Irmina dzwoniła i pisała kilkanaście razy. Nie odpowiadałam. A potem spisałam sobie jej numer do notatnika i zablokowałam połączenia od niej. Nie chciałam, żeby ciągle mi przypominała, że jestem zbiegiem. Wyłączyłam też dźwięk w telefonie, żeby się nie denerwować.

Było późne popołudnie, a ja do niczego nie doszłam. Zrobiłam sobie przerwę w kawiarence wciśniętej między wiekowe kamienice. Znalazłam ją tylko dlatego, że prowadził do niej szyld. Usiadłam przy stoliku obok okna. Wychodziło na podwórko zagracone elementami budowlanego rusztowania. Widać mieszkańcy szykowali się do remontu elewacji, ale biorąc pod uwagę załobnienie zebranych materiałów i powiewające gdzieś pajączyny, trwało to już kilka dobrych lat. Czułam się tu bezpieczna, miałam pewność, że nikt nie będzie mnie szukał w takim miejscu. Przez chwilę analizowałam ostatni trop jaki mieliśmy w kazimierzowskiej sprawie – protestancki duchowny, ksiądz Rafał Downar. Lata 20. XIX wieku. Wyciągnęłam komórkę i wygooglowałam księdza. – Litewski nauczyciel i działacz społeczny, członek społeczności kalwińskiej, superintendent Jednoty Litewskiej – czytałam. – W 1798 roku zawarł

małżeństwo z Elżbietą z Dyjakiewiczów, miał dwie córki i syna. – Policzyłam w myślach. Biorąc pod uwagę niepokoje XIX wieku i dwie wojny światowe, przez dwieście lat mogło się pojawić od kilkudziesięciu do nawet kilkuset potomków Downara. Jak ich wszystkich przepytać, a przede wszystkim kto ich znajdzie? Wtedy przypominałam sobie słowa Zofii o Zygim: – ...to mistrz internetowej archiwistyki. W kwadrans znajdzie dane twoich przodków do 15 pokolenia wstecz.

Włączyłam Messengera. Już zaczęłam pisać wiadomość, kiedy doszło do mnie jak dużo informacji trzeba będzie streścić. Nacisnęłam słuchawkę i zadzwoniłam. Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Cześć, to znowu ja. Aligator.

– Aligator? A, tak, Alina. Aligator, to twoja ksywka. I jak tam śledztwo?

– Do dzisiaj szło małymi kroczkami, ale dzisiaj stanęliśmy w szerokim rozkroku i znowu potrzebuję twojej pomocy.

– Jeśli mogę pomóc, to mów...

– Ale, to dosyć... No, raczej nie na telefon. Zależy mi na dyskrecji.

– Rozumiem. W takim razie... nie wiem, jest tu u mnie knajpa na dole...

– A nie mogę wpaść do ciebie? – Zyga wyraźnie nie wiedział o tym, że mnie szukają, a ja miałam już plan.

– No... tak. Oczywiście. Przepraszam, że nie zaproponowałam. Pomyślałam, że może chcesz się najpierw spotkać w neutralnym miejscu...

– Zyg, nie chcę iść na randkę, tylko proszę cię o pomoc...

– Tak, tak. Zaraz prześlę ci adres. To obok dworca.

– Super! Będę za pół godziny. – Wiedziałam, gdzie znajduje się dworzec i tak sobie wyliczyłam, że w pół godziny tam dojdę. – Do zobaczenia.

– Cześć!

Może to nie jest zbyt odpowiedzialne, młoda dziewczyna pakująca się do studenckiego mieszkania. Ale byłam w potrzebie i komuś musiałam zaufać. Intuicja mówiła mi, że dom wampirycznego magistranta jest w rzeczywistości bezpieczną przystanią.

Dokładnie dwadzieścia minut później znalazłam się na małej uliczce przypominającej warszawską Pragę. Zaglądałam w takie same bramy jak

na naszej Stalowej. Tylko kamienice były odrobinę niższe. Zabytkowy domofon pamiętał dzieciństwo mojego ojca, ale działał i nie poraził mnie prądem. Zabrzęczał ochryple zamiast zadzwonić. Potem usłyszałam znajomy głos: – Cześć, drugie piętro, pierwsze drzwi po lewej. – Kolejne bzyknięcie odblokowało mi drzwi. Klatki schodowej chyba nikt nie remontował od połowy ubiegłego wieku, ale była zadbana. Nie śmierdziało, podłoga była zamieciona, a łuszczącej się na ścianach farby nie upiększył żaden grafoman mający się za artystę graffiti. Na półpiętrach stały doniczki z kwiatami, pewny znak, że mieszkali tu przede wszystkim starsi ludzie.

Zygi otworzył mi drzwi i wpuścił wprost do zaskakująco czystego salonu. Nie miał na sobie golfa tylko podkoszulkę. Nareszcie mogłam zobaczyć, że nie skrywał wampirycznych ukąszeń na szyi. Mieszkanko było niewielkie, ale architekt, likwidując przedpokój, zdecydował się wykroić z tych niemal 30 metrów salon z wnęką kuchenną, sypialnię i zapewne łazienkę – tego wchodząc nie wiedziałam, bo drzwi były zamknięte. Nie było regału, więc masa książek leżała w stosikach na podłodze. Były tak równo ułożone, że razem z meblami budowały przestrzeń pokoju. To był świadomie dodany element architektury wnętrza. Znałam się na tym, bo razem z babcią śledziłyśmy kilka wideoblogów poświęconych projektowaniu wnętrz. Pod oknem stało biurko, właściwie drewniany blat na koziołkach, a na nim wielki monitor podłączony do laptopa. Obok fotel na kółkach, prosta, szara kanapa pod ścianą. Zmieścił się jeszcze niski stolik ze szklanym blatem. Pomalowane na biało ściany lokator przyozdobił tylko jednym plakatem. Od razu rozpoznałam, że facet w okularach przeciwsłonecznych to David Bowie, a przed nim siedzi Catherine Deneuve.

– Najlepszy film Tony’ego Scotta!

– Jesteś pierwszą osobą, która tu weszła i rozpoznała „The Hunger”. – Nie krył podziwu, a ja postukałam palcem w przypięty do kurtki znaczek z Bowiem. – Wierna fanka.

– Ja bardziej od tej strony dotarłem do tego filmu – wypiął pierś i wskazał grafikę na swojej koszulce. Widniał na niej trochę kwadratowy obrys ludzkiej twarzy wpisany w koło i napis Bauhaus. Okładka płyty popularnego w latach 80. zespołu.

– To oni grali piosenkę w pierwszej scenie?

– Tak. – Odwrócił się, złapał pilota i z kolumn pod oknem popłynął pulsujący motyw otwierający stary horror z gwiazdorską obsadą. – Kawa, herbata, cola czy woda?

– Herbata, masz zieloną?

– Mam. To ja robię, a ty opowiadasz.

Kiedy gotowała się woda wyłożyłam mu – tak bez wielu szczegółów – do czego doszliśmy w Dubinkach. Powiedziałam, że musimy dotrzeć do potomków duchownego i że tylko on może nam w tym pomóc. Chwilę się zastanawiał, potem usiadł przed komputerem i zaczął przeszukiwać nieznane mi bazy danych. Był na litewskich i polskich stronach, potem odwiedził jakieś anglojęzyczne. Mieszałam w tym czasie herbatę, potem ją piłam, zjadłam dwa herbatniki wyłożone na talerzyku. Nalałam sobie wody. Byłam z wizytą w ubikacji – połączonej z małą, ale bardzo czystą łazienką. Zygi stukał w klawiaturę, jeździł myszką, mruczał coś pod nosem. Kiedy płyta Bauhauusa się skończyła, usłyszałam dźwięk drukarki. Była schowana za kanapą. Schylił się i podał mi zadrukowaną kartkę.

– Tu masz pierwszą grupę, nazwiska, adresy i numery telefonów. Nie pytaj, jak to zdobyłem i najlepiej zniszcz po użyciu. Możesz zacząć dzwonić, a ja jadę dalej. – Trzymałam w rękach kartkę, na której pogrupowane były kontakty do zaledwie sześciu osób. Zygi zmienił płytę. Tym razem z głośnika sączyła się cicho muzyka z jakiegoś filmu, którego tytułu nie mogłam sobie przypomnieć. Dopiero po wykonaniu trzech pierwszych telefonów wpadłam na to, że słyszę Preisnera, z którejś części trylogii kolorów Kieślowskiego. A co do telefonów, zabrałam się najpierw za te z Polski. Do pierwszego musiałam dzwonić kilkakrotnie, bo było ciągle zajęte. W sumie wszyscy odebrali. Przedstawiałam pokrótce, że szukam potomków Downara i pytałam czy kiedykolwiek słyszeli o berle. Były chwile zastanowienia, dopytywanie domowników i stanowcze „nie”. Generalnie nikt nic nie słyszał, ci ludzie nawet nie wiedzieli, że mają takiego przodka. Pod pierwszym litewskim numerem nikt nie mówił po polsku, a po angielsku udało mi się ustalić, że to na pewno pomyłka. Kolejne rozmowy poskutkowały tylko wykreśleniem z listy reszty

nazwisk. W międzyczasie dostałam kolejną kartkę. Dwa telefony do Szwecji, pozwoliły mi podszlifować angielski. Szczególnie obiecująca była rozmowa z panią, która interesowała się genealogią. Zbierała wszelkie informacje na temat swojej rodziny. Faktycznie rozpoznała Rafała Downara, ale berło, Święty Kazimierz i Barbara Radziwiłłówna nijak nie wpisywali się w znaną jej rodzinną historię. Minęła 22.00. Zygiego wciągnęły poszukiwania, więc pewnie nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Nadeszła pora na dokończenie realizacji mojego planu noclegowego.

– Słuchaj, jest już późno. Pożarłam się trochę z ojcem. Czy mogę u ciebie przenoć? Napiszę do niego, gdzie jestem i...

– Spoko, spoko. Ale śpisz na kanapie – odpowiedział nawet nie odrywając wzroku od ekranu. – Daj znać, jak będziesz chciała się już kłaść, to dam ci koc i poduszkę. A teraz muszę się na tym skupić... – Był jak robot, dostał zadanie i musiał je wykonać do końca.

Na Litwie zegarki przestawiało się o godzinę do przodu, więc w Polsce i na zachód od niej wciąż była 21. z minutami. Wykonałam jeszcze dwa telefony, jeden do kraju, drugi do Niemiec. I nic. Zrobiłam się bardzo senna. Miałam za sobą naprawdę ciężki dzień. Zygi przerwał na chwilę poszukiwania. Dał mi obiecany koc i poduszkę, rozłożył kanapę. Nawet nie pytając czy chcę, zrobił mi kakao, sobie też. Wszystko to robił bardzo mechanicznie, wyraźnie nie mógł się doczekać, aż wróci do zleconego przeze mnie zadania. Potem powiedział „dobranoc” i zniknął z laptopem w sypialni. Włączyłam sobie cichutko Preisnera, który grał kilka godzin wcześniej. To był album „Niebieski”. Zrobiło mi się strasznie smutno. Zaczęłam myśleć o ojcu. Gdzie jest? Czy nic złego mu nie robią? O Józku. Czy doszedł już do siebie? Popłynęła pierwsza łza i wtedy zadrżał trzymany przeze mnie w ręku telefon. To był Józek. Nie wahałam się, odebrałam.

– Józek? Nic ci nie jest? Tak mi ciebie brakuje... Ja...

– Wszystko dobrze. Głowa boli, ale nic poza tym – szeptął. – Ciągle jestem w szpitalu. Dali mi coś takiego, że spałem do tej pory. Leżę na sali z jakimś chrapiącym koleśkiem i nie wiem co się dzieje na świecie.

– Kochany, jak ja za tobą tęsknię.

– Ja, ja za tobą też...

– Posłuchaj. Jestem bezpieczna, u przyjaciół, ale nie powiem ci, gdzie...

– O czym ty mówisz?

– Nie rozmawiałaś z mamą?

– Nie, coś tam pisała, ale nie przeczytałem. Od razu po przebudzeniu zadzwoniłem do ciebie. Nic nie wiem. Nawiałaś? Matka chciała iść na policję, a ty uciekłaś?

– Tylko tak znajdę berło i uwolnię ojca. Policja by nas trzymała długie godziny. Potem Irmina by mnie zamknęła w domu, dla bezpieczeństwa. A czas leci. Trzeba odbić ojca...

– Alina, to niebezpieczne.

– Wiem, ale muszę zaryzykować. Obiecuję, że kiedy tylko się czegoś dowiem zadzwonię i was sprowadzę. Bez wsparcia nie ruszę na wojnę z Bruderferajn.

– Jest noc. Gdzie jesteś? Na pewno bezpieczna?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. Tak bym chciała, ale nie mogę. Doprowadzę to wszystko do końca i będzie dobrze, wszystko dobrze. Józek, ja, kocham cię... – zamurowały mnie własne słowa. Spanikowałam i się rozłączyłam. Potem wyciszyłam telefon i schowałam go pod poduszkę.

Byłam wykończona, ale długo nie mogłam zasnąć wpatrując się w plakat filmu o wielkiej miłości, która przetrwała setki lat.

*

Rano obudziło mnie drżenie telefonu. Wciąż miałam wyłączony dźwięk. Rozejrzałam się nie do końca jeszcze wiedząc, gdzie się znajduję. Na zegarze w kuchni była 7.16, wtedy skojarzyłam mieszkanie Zygiego. Telefon wciąż drżał, wydając to ledwo słyszalne buczenie. Znalazłam go pod poduszką. Nieznany mi numer. Najpierw pomyślałam, że to może policja, interpol, czy co tam by mnie szukało. Ale zauważyłam, że pod numerem wyświetla się kraj – Stany Zjednoczone. Odebrałam. Mężczyzna po drugiej stronie przeproszał po angielsku, że tak wcześniej dzwoni. Nazywał się Tom Downer. Tłumaczył się, że u niego w Anchorage jest prawie noc i zastanawiał się, o której wypada zadzwonić. Potem przeproszał, że nie mówi po litewsku, wyjaśniłam, że je-

stem Polką. Wtedy przeprosił za nieznamość polskiego. Kiedy już skończył litanię przeprosin wytłumaczył, że dostał mój numer od dalekiej krewnej ze Szwecji, z którą zaprzyjaźnił się podczas jej poszukiwań genealogicznych. Nazywał ją słodką wariatką. Powiedziała mu o wczorajszej rozmowie ze mną i na hasło berło zapaliła mu się w głowie lampka. Wtedy usłyszałam historię jego ojca, litewskiego marynarza, który pod koniec lat sześćdziesiątych, w porcie na Alasce, wybrał wolność i nie wrócił na statek. Założył rodzinę w nowym kraju. Ale do końca życia karmił syna opowieściami o Wilnie i jego tajemnicach. Największą z nich była legenda o berle schowanym w jednym z wileńskich kościołów.

Ojciec Toma usłyszał o berle od swojego dziadka. Piękny przykład historii mówionej. Ponoć ich przodek, pastor, stał na straży skarbu ukrytego w katolickiej świątyni. Tylko on znał miejsce, w którym go schowano. Potem z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie tę historię, a skarb nazywali berłem. Ojciec zdecydował się na własną rękę je odnaleźć. Korzystając ze wskazówek dziadka zlokalizował nawet kościół, w którym miało się znajdować. To był ponoć górujący nad miastem budynek, przy zakonie jakiś misjonarzy. Oczywiście było więcej przesłanek wskazujących na ten budynek, ale Tom znowu zaczął przeproszać, że nie pamięta zbyt wiele z tej historii, a dokumentów nie ma żadnych. W każdym razie jego ojciec bardzo chciał się dostać do środka. Na nieszczęście w tym kościele, w latach 60. XX wieku, znajdowało się więzienie. Nie dał rady się tam przedostać. Nawet rozmyślał czy nie dać się celowo posadzić, ale w międzyczasie pojawiła się okazja wypłynięcia w morze i zostania za oceanem. Do Wilna już nigdy nie wrócił.

– Bardzo mi pan pomógł! To jest wspaniały trop – ucieszyłam się słysząc to wszystko.

– Mam nadzieję, że skoro jesteś w Wilnie zaraz tam pobiegiesz i zadzwonisz z wiadomością, że odnalazłaś skarb. – Tom zaśmiał się do słuchawki. – Mam naprawdę szczerą nadzieję. Bo widzisz, mój ojciec przez pierwszą część życia był obieżyświatem i poszukiwaczem przygód, a przez drugą bajarem, który opowiadał fantastyczne rzeczy o swoich przeżyciach. Do dzisiaj, dopóki nie zadzwoniła ta moja słodka wariatka myślałem, że to jedna z jego

zmyślonych opowieści. Do głowy mi nie przyszło, żeby sprawdzać, czy istnieje jakiś skarb ukryty w świątyni, z której zrobiono więzienie. To wszystko wyglądało jak bajka, Indiana Jones. Przepraszam!

– Naprawdę nie ma za co. Dziękuję, że pan zadzwonił.

– Musiałem, słodka wariatka mnie zmusiła. Powiedziała, że jak to wszystko prawda, to ty piszesz właśnie historię naszej rodziny.

Zakończyłam rozmowę obietnicą informowania o kolejnych odkryciach. Zdążyłam się rozłączyć, a do pokoju wszedł Zygi. Przywitaliśmy się i kiedy już miałam powiedzieć mu o rozmowie z Tomem Downerem do gospodarza zadzwonił telefon.

– Naprawdę? – Popatrzył na mnie robiąc wielkie oczy. – Ale proszę pani, jak to uciekła, skoro... – Nie słyszałam co mówi jego rozmówczyni, ale w głosie płynącym z drugiej strony linii rozpoznałam Zofię.

Zrozumiałam co to znaczy. Na wypadek takiej sytuacji spałam w spodniach. Wciągnęłam trampki, nawet ich nie sznurując. Skarpetki musiałam niestety porzucić. Złapałam do ręki plecak i kurtkę, a potem ruszyłam w stronę drzwi.

– Cześć! Wielkie dzięki za pomoc! – zawołałam odwracając się w drzwiach. –Przepraszam, mam nadzieję, że nie będziesz miał przeze mnie kłopotów. – Posłałam mu dłonią całusa. Wtedy mnie zaskoczył. Wyłączył rozmowę i spojrział na mnie.

– Nie jestem kapusiem. Nic im nie powiem. Rozumiem, że masz swoje powody, żeby samotnie prowadzić śledztwo. Biegnij, jak musisz, ale jeśli będę ci mógł jeszcze jakoś pomóc, to dzwoń.



GADZIA PUŁAPKA

Świątynię znalazłam bez trudu. Korzystając ze wskazówki Toma Downera wygooglowałam, w którym kościele w Wilnie znajdowało się za czasów sowieckich więzienie. Było kilkanaście wyników i wszystkie prowadziły do kościoła Serca Jezusowego. Potem przypomniałam sobie, jak Józek wspominał, że z kopuły tej świątyni roztacza się najpiękniejszy widok na zachodzące nad Wilnem słońce. Jednak moją wyobraźnię rozpałała penitencjarna przeszłość budynku. Jeszcze bardziej ciągnęło mnie do środka to, że opuszczony kościół był zamknięty.

Dostać się na teren kościoła nie było łatwo. Przeszłam ulicę wzdłuż długiego muru, zza którego wystawała tylko kopuła barokowej budowli. Bez bardzo wysokiej drabiny nie miałam szans go pokonać. Mur kończył się dwiema bramami. Pierwszą zamykały wielkie metalowe wrota z napisem „Teritorija saugoma, eiti draudžiama”. Domyślałam się, że nieznane mi słowa informują o bezwzględnym zakazie wstępu. Druga nie miała drzwi. To było wejście na podwórkę jakiejś instytucji. Właśnie wjechało tam osobowe kombi. Zauważyłam, że mur oddzielający to podwórkę od terenu kościoła jest dużo niższy. Stałam tak, żeby widzieć co się dzieje dalej z kierowcą i pasażerami auta. Dla niepoznaki udawałam, że podczas spaceru sprawdzam coś w komórce. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Z bagażnika wyjęli sporych rozmiarów pudło. Musiało

być ciężkie, bo niosąc je strasznie sapali. Zniknęli w budynku, który z mojego miejsca był ledwo widoczny. Uznałam, że to okazja do niezauważonego wtargnięcia na teren. Ewentualni obserwatorzy zajmą się pomaganiem we wnoszeniu wielkiej paczki. Nie myślałam się. Ktoś trzeci podtrzymywał tragarzom drzwi prowadzące do budynku, części kompleksu, który odkryłam po lewej, zaraz po przejściu przez bramę. Ale moją uwagę przykuły przede wszystkim pnącza wspinające się po interesującym mnie murze. Jedno z nich oplatało zbitą z desek drabinkową pergolę, która kończyła się tuż pod szczytem mojej przeszkody. Jeszcze raz zerknęłam na budynki za swoimi plecami. Musiały należeć do kościoła, bo na placu zauważyłam kapliczkę, a na ścianie gablotę z wizerunkiem Jezusa. Nie miałam czasu zastanawiać się nad przeznaczeniem tego miejsca. Trzeba było działać, dopóki pozostawałam niezauważona.

Rzuciłam się na drabinkę. Była stabilna, choć jej wygląd wskazywał na co innego. Bez problemów dotarłam na samą górę. Usiadłam na szczycie wychylając się jak najbardziej na drugą stronę. Starałam się być jak najmniej widoczna, bo głupio by było wpaść, kiedy się zaszło tak daleko. Plac przed kościołem był pusty, żadnych samochodów ani ludzi. Do ziemi miałam jakieś dwa i pół metra. Chwilę się wahałam, ale za plecami usłyszałam skrzypienie otwieranych drzwi i trzeba było skakać. Wybiłam się rękami i o dziwo wylądowałam bez potknięcia. Przez chwilę obserwowałam okolicę. Nic się nie działo. Nikt nie podniósł alarmu. Nie czułam się za pewnie na otwartym terenie, bo mógł mnie zauważyć ktoś z budynku po drugiej stronie placu. Pochylona przebiegłam wzdłuż muru, w kierunku ściany zabytkowej świątyni. Przyłgnęłam plecami do kruszącej się elewacji. Wyrównałam oddech. Stałam obok wejścia do bocznej kaplicy. Masywnych drzwi strzegła kłódka tak wielka, że pewnie nie dałabym rady jej unieść. Ruszyłam w kierunku głównego wejścia. Domyślałam się, że jeśli obowiązywał zakaz wstępu, to główne drzwi też były zamknięte. Ale przecież musiałam sprawdzić wszystkie możliwości dostania się do środka. Na placu usypano niewielką górkę gruzu, idąc za nią nie musiałam się już tak kryć. Weszłam na podwyższenie prowadzące do głównego wejścia do świątyni. Tutaj kłódkę uzupełniał gruby łańcuch. Kolejne drewniane drzwi – mimo że zniszczone, to wciąż piękne – zabezpieczono jedynie dwoma metalowymi prętami. Dla mnie wciąż

przeszkoda nie do pokonania. Żadnych otworów w ścianach, przez które mogłabym się przecisnąć, niskich okienek, do których da się dosięgnąć przy pomocy na szybko skleconego rusztowania. Do kościoła przylegał budynek zakonny, ciągnął się przez cały plac. Józek wspominał, że przed powstaniem styczniowym siostry wizytki, prowadziły tu szkołę dla szlachetnie urodzonych panien. Przez chwilę mignął mi w wyobraźni obrazek, na którym siedzę w kosmicznie niewygodnej sukni, w oknie na pierwszym piętrze. Skrobię coś piórkiem na papierze i tęsknym wzrokiem spoglądam na panoramę XIX-wiecznego Wilna. Zaraz wróciłam do rzeczywistości i zaczęłam kombinować, czy któryś z wewnętrznych korytarzy budynku nie łączy się bezpośrednio z kościołem. Okna znajdowały się na tyle nisko, że gdyby któreś było otwarte wgramoliłabym się do środka. Jednak nie sprawdziłam jeszcze drugiej strony kościoła.

Pięć minut później już wiedziałam, że wąskie przejście między ścianą świątyni a pokonanym przeze mnie murem nie skrywa żadnych drzwi. Pozostało wrócić do budynku przyklejonego do kościoła. Kiedy wychodziłam na placyk zobaczyłam jakiś ruch. W cieniu jednego z drzew rosnących za gruzowiskiem ktoś kuczał opierając się plecami o pień. Nie widziałam jego twarzy, była zwrócona w drugą stronę. Chyba też się ukrywał. Rozejrzał się nerwowo. Wtedy zobaczyłam kto to. Rozpoznałam Zefirka. Człowieka, z którym ojciec rozmawiał w Gdańsku. Pochylił głowę do przodu i chyba zaczął grzebać w kieszeni. Uważając na każdy krok podeszłam bliżej i ukryłam się za stertą gruzu. Wyrzałam. Wciąż tam był. Chyba wyciągnął telefon. Po chwili usłyszałam ściszony głos.

– Gdzieś tu jest...

– ... – rozmówcy nie słyszałam, ale kiedy tamten mówił, Zefirek potulnie milczał.

– Poszła na drugą stronę kościoła.

– ...

– Ja sam? Sam nie dam rady. To olbrzymi budynek...

– ...

– Tak! Mógłbyś mi...

– ...

– Przepraszam... mógłby mi pan pomóc.

– ...

– Dobra, czekam.

Wyłączył telefon i w tym samym momencie mnie zaskoczył. Raptownie odwrócił głowę i spojrzał na znajdujące się za moimi plecami wejście do świątyni. Nie zdążyłam się schować, a on wyłowił z widzianego przez siebie obrazka moją twarz. Nasze spojrzenia się spotkały. Zefirek zerwał się na równe nogi i już po chwili biegł, lekko utykając, w głąb zespołu zakonnych zabudowań. Ruszyłam za nim. Nie odwracał się, nie zerkał jaka przestrzeń dzieli go ode mnie. Uciekał przed siebie. Skręcił za biały mur dzielący podwórko na dwie części. Zniknął mi z oczu na dosłownie kilka sekund. Kiedy znalazłam się po drugiej stronie jego już tam nie było. Widziałam tylko kupki gruzu porośnięte trawą, pofałdowaną przestrzeń ciągnącą się aż do murowanej ściany, od której dzieliło mnie ze trzydzieści metrów. Po lewej budynek zakonny, po prawej szpaler drzew i wysoki mur. Uciekinier nie miał szans w tak krótkim czasie dobiec do żadnego z tych miejsc, a tym bardziej wskoczyć przez okno albo pokonać pięciometrowej wysokości przeszkodę. Nawet do drzew by nie dobiegł. Zefirek wyparował. Najbardziej logicznym wyjaśnieniem była teleportacja. Rażnym krokiem ruszyłam przed siebie. Pomyślałam, że może sprytnie ukrył się za którymś z porośniętych trawą pagórków. Przeskoczyłam pierwszą górkę i wszystko wokół mnie zniknęło.

Leżałam na dnie wielkiej dziury. Ze wszystkich jej ścian wystawały czerwone cegły, czasem układające się w większe fragmenty murów. To musiała być zawalona piwnica, której nikt nie zabezpieczył. Bo i po co, skoro na ten teren obowiązywał zakaz wstępu. Niestety jedyne wyjście prowadziło do góry, jakieś pięć metrów wspinaczki i znowu znalazłabym się na kościelnym dziedzińcu. Miałam szczęście. Upadłam tak fartownie, że zaliczyłam tylko lekkie stłuczenie prawego biodra. Zdarłam też łokieć ukochanej kurtki. W dole panował półmrok. Buty mi się od czegoś kleiły. Dotknęłam mazi palcami i powąchałam. To był stary, przepalony olej, pewnie samochodowy. Odsunęłam się pół kroku do tyłu i wtedy o mało nie stanęło mi serce. Ktoś za moimi plecami tak przeraźliwie krzyknął, że aż bębenki w uszach zabolowały. Natychmiast się odwróciłam. Na ziemi, w rogu ceglanej jamy, leżał Zefirek. Do policzka miał

przyklejone pasemko przetłuszczonych włosów, przesunięte z kryjącej łysinę pożyczki. A może te włosy były mokre od łez?

– Boli! – skomlał trzymając się za nogę.

– Złamana?

– A skąd mam wiedzieć? Nie jestem lekarzem. Chyba tak. Boże, jak to straszliwie boliiii! – Miałam już do czynienia z mężczyzną ze złamaną nogą, ale nigdy nie widziałam, żeby jakikolwiek facet zachowywał się aż tak histerycznie. Oczywiście już po malutkim kuku w paluszek informowali o zbliżającej się śmierci, ale żaden z nich, nigdy, aż tak nie rozpaczał. Czułam, że muszę wykorzystać słabość tego człowieka. Ale z drugiej strony, ta porządna część mnie, gdzieś w środku, nalegała, żeby szybko przynieść mu ulgę w cierpieniu. Zdusiłam ten anielski głos, tłumacząc sobie, że teraz muszę być bezwzględny aligatorem.

– Chcesz, żebym poszła po pomoc?

– Tak! Tak, idź. Wezwij karetkę.

– To musisz ładnie odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. Będziesz milczał, to poleżysz w tym rowie z kilka dni zanim cię znajdą. A może nikt nie będzie tędy przechodził?

Przez chwilę siedział cicho trzymając się za nogę, potem znowu jęknął. – Dobra, pytaj. Tylko szybko.

Emocje podpowiadały, że powinnam zacząć od pytania o porwanie ojca. Rozum dyktował co innego. Logika bezwzględna jak Spock ze Star Treka mówiła, że Zefirek zaraz by kręcił, że nic nie wie. Potem musiałabym zmarnować sporo czasu na wyciągnięcie jakichkolwiek informacji od leżącej przede mną pierdoły.

– Spokojnie, to tylko złamanie.

– Ale boli jak diabli!

– Co cię łączy z moim ojcem? – Zefirek spojrzał na mnie tymi swoimi załzawionymi ślepiami. Zastanawiał się pewnie, ile mogę wiedzieć. – Tylko nie zalewaj, widziałam was razem.

– No, współpracujemy. Pomaga mi czasem w projektach dotyczących muzealnictwa.

– Jesteś muzealnikiem?

– Tak, muzealnikiem, od zabytków...

– Wędrownym? Chodzisz po ulicach od Gdańska do Wilna i pytasz ludzi czy nie widzieli jakiś zabytków? Nie kituj... Skąd znasz mojego ojca?!

– Powiedziałem, że razem pracujemy. Nie mówił ci czym się zajmuje? Zawołaj pomoc, błagam...!

– Wiem czym zajmuje się mój ojciec. Renowacją... – Zefirek przerwał mi głośnym śmiechem, a potem nagle go zatkało. Zrobił minę jakby zobaczył kostuchę. Zaczął macać się po plecach. Potem podniósł do góry trzy uwalone olejem palce. – Boże, krew. Ja krwawię! Dziewczyno, zawołaj pomoc, zabierz mnie do szpitala! Mam krwotok, pewnie też wewnętrzny. Błagam...!

– Jeszcze raz, co łączy cię z moim ojcem?

– Dobrze! Powiem! Tylko wezwij już pomoc...

Wyjęłam z kieszeni telefon i udawałam, że wpisuję numer telefonu. Jednak zaraz opuściłam smartfon i spojrzałam mu prosto w oczy: – Najpierw odpowiedź.

– Twój ojciec może i na co dzień zajmuje się renowacją zabytków. Ale tutaj jest z ramienia biura...

– Biura?

– Europejskiej... – stęknął poprawiając swoją pozycję na ziemi. – ...europejskiej instytucji zajmującej się poszukiwaniem zaginionych dzieł sztuki. Jestem terenowym łącznikiem twojego ojca... Kiedy trzeba sprawdzam archiwa, historię zabytków i takie tam... Pilnuję też, żeby jego przykrywka była... wiarygodna. Razem szukamy staroci dla... biura. – Wydział, łącznik, przykrywka? Ilu jeszcze rzeczy nie wiedziałam o ojcu? Przykrywką pewnie była jego praca renowatora, w rzeczywistości robił jakąś o wiele bardziej tajną robotę. Boże! Mój ojciec był agentem specjalnym, czy czymś podobnym. Bondem od zabytków. Bournem polskiego muzealnictwa. Wolałam za dużo nie dopytywać, żeby się nie wydało jak mało o ojcu wiem.

– Bruderferajn nadal istnieje? – wystrzeliłam z zupełnie innej beczki. Musiałam szybko potwierdzić swoje przypuszczenia. Bałam się, że Zefirek zaraz pogrzy się w rozpacz i stracę z nim kontakt.

– Tak! To teraz bardzo wpływowa organizacja.

– Ten gang...

– To nie gang. Już raczej korporacja o międzynarodowym zasięgu. Agresywny biznes. Działają przede wszystkim za naszą wschodnią granicą, ale mają swoje filie... też na... Zachodzie... Są potężni...

Ostatnie słowa wypowiadał tak, jakby odpływał. Nagle urwał. Wróciła moja anielska strona, bo zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę mu nic nie jest. Czy nie odpuścić? Ale zaraz pomyślałam o ojcu, którego trzeba przecież ratować.

– Pracujesz dla nich, prawda? – Zaryzykowałam po to, żeby go trochę rozruszać. – Widziałam, że utykasz. To ty włamałeś się do domu Romana i chciałeś ukraść klucz!

– A co ci to da dziewczucho? Jestem urzędnikiem europejskim, nikt nie uwierzy jak coś takiego powiesz...

– Czyli potwierdzasz? Dobrze. A po co Bruderferajn berło Świętego Kazimierza? Dlaczego tak się uwzięli, żeby je zdobyć?

– Kiedyś je mieli, jeszcze przed wojną...

– Wiem, było dla nich ważne. Atrybut władzy, czy coś takiego. Ukradli je przysłemu premierowi...

– To bujda. Prystor nigdy nie miał berła. Bobkes stworzył taką legendę, a tak naprawdę kazał wykonać berło wileńskiemu jubilerowi. Poszedł do cechu i pokazał plany narysowane przez jednego zdolnego, co podrabiał dla gangu dokumenty. Oszukał wszystkich, bo chciał mieć jakiś przedmiot, który... Au! – Zefirek znowu próbował zmienić niewygodną pozycję. – No, miał nadać powagę jego władzy, czy coś. Krążyły wtedy w Wilnie takie historie, że jakieś berło było, ale nikt go nie widział, to sobie je przedwojenny boss wyprodukował. Do śmierci się nie przyznał, że to kit. Dopiero w czasie wojny, ten co narysował szkic berła sypnął w obozie, że to postarzane na zamówienie srebro, podróba, „pic na wodę, fotomontaż”.

– Ale Bruderferajn nadal chce mieć berło, to prawdziwe?

Zefirek znowu wsadził łapę pod swoje plecy. Potem pocierał palcami ubrudzone smarem paluchy. Mimo półmroku wydawało mi się, że zbladł.

– Odpowiadaj! Dalej go szukają, prawda? – ignorowałam jego stękanie. Widział, że się nie ruszę, więc chwilę dyszał, a potem uspokoił oddech.

– Kiedy twój ojciec odgrzebał, te listy o kluczu... ludzie z organizacji pomyśleli, że to droga do oryginalnego berła. – Na początku mówił bardzo cicho, jak na łożu śmierci. – A, że jeszcze tyle lat po wojnie siedzi im w głowach ten rupieć, to rzucili się do poszukiwań.

– To znaczy do węszenia wokół naszego śledztwa?

– Nie, no prowadziliśmy, znaczy prowadzili też własne...

– Prowadziliście? Czyli oni ci więcej płacą?

– Słuchaj gówniario, mam dosyć albo mi pomożesz albo będziesz musiała... – Uniósł się, emocjonalnie i fizycznie, co wywołało kolejną falę bólu. Tym razem zasyczał.

– Nie rzucaj się, jeszcze kilka spraw i biegnę ratować twojego obtłuczonego kulasa. Zacząłeś mówić o podjętych przez was tropach?

– Ten wasz Witek ze Szwajcarem okazali się ślepym zaułkiem.

– Szukali innych listów?

– W Arbon niewiele było.

– Gdzie jeszcze poszli?

– Twój ojciec. Rozmawiałem z nim w Gdańsku.

– Wiem, widziałam was.

– Powiedział mi wtedy o dawnym majątku pod Iławą, należącym do jakiejś wileńskiej szlachty. Sugerował, że tam może być zakopane berło.

– Ale nic nie znaleźli?

– Nic! – Odpowiedź Zefirka utwierdziła mnie w przekonaniu, że ojciec domyślał się jego zdrady i kierując go na fałszywy trop sprawdzał, czy informacja wyjdzie poza to ich biuro.

– Potem ruszyliście naszym tropem?

– Tak! Bruderferajn miał dostęp do jego raportów... – Zamilkł na chwilę zdając sobie sprawę jak głęboko się pogрузzył, ale ból był silniejszy niż potrzeba utrzymania legendy uczciwego pracownika europejskiej instytucji. – Jadąc do Wilna twój ojciec pewnie myślał, że to będzie prosta sprawa, łącznie po zabytkach i archiwach, trochę wykopków i znajdzie kolejny zaginiony

skarb. Dlatego cię zabrał. Zwykle tak wygląda jego robota. Nawet nie wiedział, że idzie na wojnę z taką organizacją...

– A dostę do raportów organizacja miała dzięki tobie? Ojciec nikogo nie zdradził?

– Nie, jest czysty.

– To co robił w nocy na Zakrecie? Dlaczego spotkał się z bandziorami?

– Widzę, że głęboki dół to najlepsza pułapka na gady. Stoję tak, słucham i sobie myślę, żeś się nieźle rozgadał przyjacielu! – zagrzmiało gdzieś nad nami. – Dzwoniłeś po wsparcie, to masz. Ale teraz to chyba cię zostawię w tej dziurze z Aligatorem. – Spojrzałam do góry i zobaczyłam pochylającego się nad otworem mężczyznę. Był łysy, a z ust wystawał mu patyczek od lizaka.

– Savalasa się tu nie spodziewałam!

– Plus za orientację w popkulturze. Ktoś w twoim wieku rozpoznaje takie inspiracje? Mówili, że jesteś sprytna, a tu jeszcze taka wiedza. No, no.

– Rozumiem, że mnie pan zmiękcza, zanim zaczniesz grozić? Dobry i zły glina w jednym?

– Niestety, nie masz aż takiego szczęścia. Władza trzyma się z dala od zrujnowanych kościołów.

– No, tak. zapomniałam, że Savalas grał też Blofelda. – Przypomniał mi się arcywróg Jamesa Bonda. – Rozumiem, że pan z Bruderferajn? – Właściwie nie musiałam pytać, lizak powiedział mi, że to on stał za uprowadzeniem ojca. Przypomniałam sobie papierek pozostawiony na miejscu porwania.

– Powiedzmy, że jestem przedstawicielem pewnej korporacji, która pilnuje swojej inwestycji personalnej...

– Jesteś chamskim bandytą mafijny pacholku! – Nie wytrzymałam. – Oddaj mi ojca!!!

– Spokojnie gadzinko, bo jak mnie wkurzysz, to tatuś już nigdy nie opowie ci żadnej bajeczki.

Chciałam mu odpowiedzieć używając mało stosownego słownictwa, ale przerwało mi odległe, radosne wołanie jakiejś kobiety. – Niemożliwe! Kogo ja widzę?! Po tylu latach!

Savalas spojrział w bok i zbladł. Wyglądał tak, jakby próbował schować twarz w ramiona. Wbił wzrok w ziemię i zniknął z naszego pola widzenia.

– Halo! Proszę pani! – Stwierdziłam, że zawołam tajemniczą kobietę, bo tak naprawdę wątpiłam w to, że o własnych siłach wydostanę się z tej dziury. Chwilę potem zaskoczył mnie widok... zakonnicy. Dopiero potem uznałam, że kobieta w habicie na terenie nawet zrujnowanego kościoła, to osoba bardziej na miejscu, od nieudanego sobowtóra dawnej hollywoodzkiej gwiazdy.

– A co ty tam robisz dziecino?

– Chwila nieuwagi i zapadłam się pod ziemię.

– Nic ci nie jest?

– Mnie nie, ale ten typek tutaj ma chyba złamaną nogę.

– I krwawię, proszę siostry. – Zefirek uniósł się odrobinę, żeby zakonnica lepiej go widziała.

– To nie krew, tylko rozlany olej. – Nie było sensu dłużej go oszukiwać.

– Błagam, niech mnie siostra ratuje od tego bachora!

– Najpierw powiedz, gdzie jest mój ojciec!

– Już idę po drabinę i chyba po karetkę trzeba zadzwonić. A wy sobie jeszcze wyjaśnijcie, co tam do siebie macie.

Kiedy siostra zniknęła, stanęłam nad Zefirkim. Staralam się robić jak najgroźniejszą minę. Stwierdziłam, że to może być za mało, więc wzięłam do ręki wielką dechę, która kiedyś musiała być fragmentem okiennej framugi. – Masz minutę. Mów, gdzie jest mój ojciec.

– Nie wiem – zapiszczał Zefirek. – Nic mi nie mówią. Chcą tylko informacji, ale nic nie mówią... Błagam, daruj mi. Ja z nimi pracuję, bo grozili, że krzywdę zrobią...

Uderzyłam jeszcze deską w otwartą dłoń, ale już bez energii. Wierzyłam mu. Naprawdę się bał, że mu coś zrobię i do głosu doszła dobra Alina. Nawet jeśli wiedział co jest z ojcem, to tak się bał Bruderferajna, że trzymał język za zębami. Dla takiego hipochondryka, w tej sytuacji, milczenie musiało być wielkim wysiłkiem.

*

Siedziałam przy pokrytym ceratą stole. W powietrzu unosił się zapach świeżo gotowanego rosółu. Odwrócona do mnie plecami kucharka szatkowała pietruszkę. Upiłam jeszcze łyk herbaty i pociągnęłam nosem. Oczy jeszcze

mnie piekły po rozmowie z siostrą zakonną. Moja wybawicielka dosłownie przed chwilą wstała od stołu i poszła zadzwonić, zapewne w mojej sprawie. Okazało się, że sąsiadujący z kościołem Serca Jezusowego teren należy do wileńskiego hospicjum, prowadzonego przez zakonnicę, która nas uratowała. To właśnie z jego parkingu skoczyłam na drugą stronę muru.

Kilka godzin wcześniej pomocnik siostry pomógł mi wyjść z dołu na kościelnym dziedzińcu spuszczać do niego olbrzymią drabinę. Trochę więcej czasu zajęło wyciąganie z niego Zefirka. Stękał i jęczał na każdym szczebelku. Nasza wybawczyni obejrzała jego nogę i stwierdziła, że przypuszczalnie nie jest złamana. Mimo to Zefirka zawieziono na prześwietlenie, a ja znalazłam się w kuchni. Dostałam herbatę. Siostra chciała wiedzieć, jak doszło do tego, że wylądowałam w dole, dlaczego zadaję się z kimś tak nieprzyjemnym jak Savalas i o co chodzi z moim ojcem. Zastanawiała się czy wzywać policję. Wtedy nie wytrzymałam. Chciałam coś powiedzieć, ale strasznie drżał mi głos. Mogłam wydusić z siebie tylko: – Ja jestem... – Potem chciałam coś dodać, ale nastąpił wylew histerycznego płaczu. Nie mogłam tego powstrzymać. Kiedy uspokoiłam potok łez i chciałam coś powiedzieć szloch znowu unieruchomił moje gardło. Powtarzałam tylko „ja”, czasem „ja, jestem” i „muszę”, pozostałe słowa już ze mnie nie wychodziły. Przypomniałam sobie, że takie ataki histerycznej niemocy zdarzały mi się we wczesnym dzieciństwie, ale już nigdy potem. Doszłam do wniosku, że to efekt utrzymującego się od wielu godzin napięcia. Tama puściła, kiedy poczułam się bezpiecznie i spotkałam kogoś, kto okazał mi sympatię. Bo siostra była osobą niezwykle ciepłą. Kiedy tak histerycznie drżałam wstała od stołu i mnie przytuliła. Potem już zwyczajnie ryczałam. Jakieś pięć minut. Kiedy odzyskałam spokój, kobieta wróciła na swoje miejsce.

– Dziękuję. – Pociągnęłam nosem i przetręłam palcami oczy.

– Dziecinko, spokojnie. Tutaj lzy to codzienność, nie ma się czego wstydić, a wyplakać trzeba – mówiła do mnie jak do małego dziecka i wcale mi to nie przeszkadzało. – A teraz opowiedz mi tyle, ile chcesz. Może razem znajdziemy rozwiązanie twoich problemów.

– Nie mogę, teraz nie mogę tego... – Naprawdę chciałam komuś to wszystko opowiedzieć. Zrzucić z siebie ciężar tajemnicy.

– Dobrze, powiedz tyle ile możesz, a ja postaram się pomóc.

W jej spojrzeniu było coś kosmicznie kojącego i czułam, że mogę jej zaufać. Zdecydowałam się powiedzieć siostrze co sprowadziło mnie na teren dawnego zakonu. – To może trochę brzmieć, jak z powieści przygodowej. Trochę trudno może uwierzyć...

– Zaufaj dziecko. – Złapała mnie za dłoń i zaczęłam mówić. Powiedziałam, że razem z przyjaciółmi szukamy berła Świętego Kazimierza i trop prowadził tutaj. Opowiedziałam o potomku Wilniuka, człowieku z Alaski, którego ojciec, jeszcze za komuny, szukał berła w zamkniętym kościele, w którym było kiedyś więzienie, kościele obok zakonu misjonarzy.

– Ja muszę się tam dostać. Muszę to znaleźć. Bo inaczej będzie... Niech siostra zrozumie, nie mogę powiedzieć wszystkiego. Ale to nie sprawa jakiś tam ambicji poszukiwacza skarbów, a życia i śmierci...

– Rozumiem, że łysy, który stał nad wami, kiedy siedzieliście w dziurze, jest w to zamieszany?

– Tak!

– To domyślałam się też, że sprawa nie jest bezpieczna. On do grzecznych nie należy.

– Siostra go zna?

– Kiedyś znałam... Ale wróćmy do twoich poszukiwań. Kiedy cię znalazłam, chciałaś dostać się do środka kościoła, który stoi po sąsiedzku?

– Serca Jezusowego.

– To się zgadza, jak i to, że było tu więzienie. Ale uwierz mi słoneczko, nic w środku nie znajdziesz. Zajrzałam w nim za każdy róg, do każdego zakamarka. Tak samo jak do przylegających do niego zabudowań. Znam je jak zawartość własnej kieszeni. Nic tam nie ma...

– Ale może siostra coś przeoczyła...

– Na pewno nie. Od kilku lat budynek jest badany przez specjalistów od renowacji, budowlanców z dyplomami, techników i muzealników z jakimś przenośnymi echosondami. Sporo ustrojstwa tam widziałam. Nic tajemniczego nie znaleźli, a wiesz dlaczego?

– Ja nie, ale myślę, że siostra mi powie. – Robiło się naprawdę ciekawie.

– Widzisz, górująca nad miastem, opuszczona świątynia, przy której mieścił się zakon Misjonarzy, to nie kościół Serca Jezusowego, a Wniebowstąpienia Pańskiego. Stoi tuż obok, po drugiej stronie ulicy. – Siostra wskazała kierunek przeciwny niż dawne więzienie. – Twój Tom Downer coś pokręcił albo jego ojciec. W każdym razie tam za rogiem może się kryć rozwiązanie twojej historycznej zagadki.

– Nawet nie pomyślałam, żeby wszystko sprawdzić. Tak się skupiałam na tym więzieniu, że nie zauważyłam, że on mówił o Misjonarzach. – Złapałam się za czoło.

– Wiesz, że to nie jest mocny trop? Opowieść sprzed kilkudziesięciu lat.

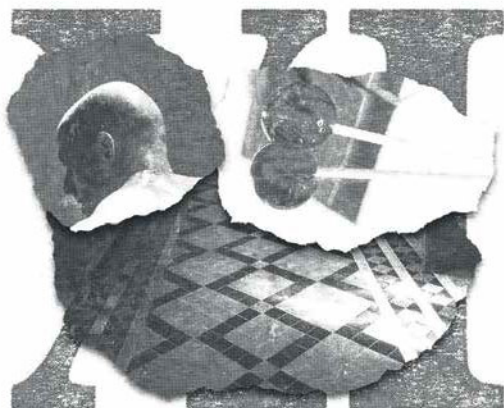
– Wiem, ale nie mam nic innego, to jedyne co tak szybko... Mam mało czasu.

– Przypuszczam, że nie jesteś pełnoletnia i mam obowiązek poszukać twoich bliskich, szczególnie jeśli grozi ci niebezpieczeństwo. Albo zgłosić do władz...

– Ale...

– Spokojnie, zawrzemy umowę. Przenocujesz tutaj. W zamian za to pomożesz nam przy posiłkach. Jutro po śniadaniu pomogę ci wejść do kościoła. Jest zamknięty na cztery spusty, ale mam na tyle znajomości, żeby otworzyły się przed nami jego drzwi. Możesz go do woli... Jak to się mówi? Eksplorować. Przez cały dzień. Ale jeśli nic nie znajdziesz, to umawiamy się, że sama dzwonisz do rodziców, czy też opiekunów. Nie wiem z kim przyjechałaś do Wilna, ale ktoś na pewno się o ciebie martwi. Umowa stoi? – wyciągnęła w moją stronę otwartą dłoń.

– Stoi! – ścisnęłam tak mocno jak siostra i zrozumiałam, że jeśli następnego dnia nic nie znajdę, trzeba będzie się poddać. Zgłosić na policję i oddać im ten ostatni z trzech dni jakie dostałam od Bruderferajn na odzyskanie ojca. Musiałam dotrzymać słowa danego komuś, kto chce mi pomóc i wspiera w tak trudnej chwili. Oczywiście swoje robił też habit, przecież nie mogłam oszukać zakonnicy?



CZEGO BOJĄ SIĘ ĆMY?

Rano wstałam i poszłam pomóc w kuchni. Dzień wcześniej zmywałam po kolacji, tym razem przyszło mi w udziale noszenie tacy z napojami. Na początku myślałam, że to trudne zadanie, musiałam utrzymać równowagę na schodach. Ale naprawdę ciężko zrobiło się na piętrze. W końcu dotarło do mnie gdzie jestem, pomagałam roznosić posiłek w hospicjum. Sparaliżował mnie widok pierwszej starszej i schorowanej osoby, ale kiedy tylko zobaczyłam radość w jej oczach zrobiło się różnie. Siostra powiedziała, że jej podopieczna bardzo lubi, kiedy odwiedzają ją nowe twarze. Ośmieliłam się i w kolejnym pokoju udało mi się z uśmiechem przywitać mieszkańca hospicjum. To było trudny poranek, ale cieszyło mnie, że mogłam pomóc. Nawet obiecałam, że jak już będzie po wszystkim, przyjdę jeszcze pomóc. Choćby poczytać komuś przed snem. Siostra uznała, że to dobry pomysł.

Następne godziny śmignęły mi jak w kalejdoskopie. Przynajmniej tak je zapamiętałam. Od kiedy wyszłyśmy z domu byłam strasznie nakręcona. Przeczynałam, że w kościele Wniebowstąpienia Pańskiego znajdę coś ważnego. Właśnie, przeczynałam czy miałam nadzieję?

Do świątyni miałyśmy naprawdę kilka kroków. Dosłownie pięć minut po wyjściu z hospicjum stałyśmy przed naprawdę wspinałym budynkiem.

Kościół wcale nie wyglądał na opuszczony. Stałyśmy na chodniku, a nad nami górowała piękna barokowa fasada. Dwie smukłe wieże celowały prosto w niebo. Nie mogłam się doczekać, aż znajdę się w środku, ale siostra postanowiła zrobić mały wstęp historyczny.

– Wspaniała świątynia, prawda? Czeka na przyszłoroczny remont, ale od początku nie miała szczęścia. Kamień węgielny położono pod koniec XVII wieku, ale prace budowlane rozciągnęły się na 35 lat. W międzyczasie wybuchł pożar dachu, był najazd Szwedów, epidemia dżumy i zwyczajnie brakowało pieniędzy – mówiąc patrzyła do góry, na strzeliste wieże. Nagle wróciła spojrzeniem do mnie. – A! W nocy sobie przypomniałam, że może ci twoi Downerowie tak do końca wszystkiego nie pokręcili, bo w tym zespole zakonnym też było kiedyś więzienie, tyle, że w pierwszej połowie XIX wieku. Potem koszary, a nawet zdaje się szpital psychiatryczny. W 1919 wrócili tu księża misjonarze i prowadzili gimnazjum. Po II wojnie światowej zrobiono w zakonie szpital, a kościół po prostu stał i niszczał. No dobra! – Wyjęła z trzymanej pod pachą torby pęk kluczy. – Wchodzimy do środka.

Siostra otworzyła niewinną kłódkę blokującą zasuwę i znalazłyśmy się w kościelnym krużganku. Do pokonania kolejnych drzwi potrzebne były jeszcze dwa klucze, maciupki do kolejnej, niewielkiej kłódeczki i olbrzymi do samych wrót. Ten się zacinał, więc nareszcie mogłam się do czegoś przydać i włożyłam trochę wysiłku w przekręcenie go w zamku. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i weszłyśmy do opuszczonego kościoła. Szczęka mi opadła, kiedy zobaczyłam to wielkie wnętrze pozbawione barwnych obrazów, lśniących darów wotywnych, ław i przede wszystkim ludzi. Podłogę pośrodku zagracały tylko materiały budowlane.

– Kościół jest twój! Zostawiam ci klucze, kanapki i butelkę wody. – Kochana, pomyślała o wszystkim. Wyjęła foliową torbę i powiesiła ją na haku przy wejściu, dołączyła do tego pęk kluczy.

– Nie zostaje siostra ze mną?

– Wydaje mi się, że mogę ci jeszcze bardziej pomóc. Tylko muszę wyskoczyć na miasto, ale wrócę, obiecuję, że przed zmrokiem. Rozglądaj się do woli, tylko na siebie uważaj. Wiesz, to jednak opuszczona budowla. Powodzenia!

Za siostrą zamknęły się wrota i zostałam sama. Nie mogłam w to uwierzyć. Sama. Bez pałętających się wszędzie turystów, wtrącających się do wszystkiego mądrych głów i ochrony obiektu pilnującej, żeby niczego nie dotykać. Mogłam do woli eksplorować zabytkowe wnętrze, do którego na co dzień nikt nie ma dostępu. Miałam bez obawy, w olbrzymim budynku szukać, być może niewielkiej, wskazówki dotyczącej ukrycia berła. Od kiedy weszłam przez te drzwi, między łopatkami chodziło mi całe stado mrówek. Wiedziałam, że nasz skarb gdzieś tu jest. Tyle że do przeszukania miałam gigantyczną przestrzeń. Ruszyłam przed siebie. Ściany były obdrapane, tylko w bocznej nawie ocalały jakieś malowidła ścienne. Przyjrzałam im się szukając berłopodobnych kształtów, pnących się lilii, jagiellońskich herbów. Nic z tego.

Pół butelki wody i kanapkę później, czyli po dwóch godzinach dreptania z zadartą do góry głową, byłam w punkcie wyjścia. Mogę powiedzieć, że dokładnie obejrzałam sobie wszystkie ściany i sufity. Sprawdziłam też podłogę, licząc na to, że przygotowane przez ekipę remontową ciężkie materiały nie zakrywają jakiegoś ważnego elementu. Niestety większość starej, zapewne kamiennej posadzki zamieniono na drewniane deski. Szczerze mówiąc byłam zaskoczona, że czas upłynął mi tak szybko. Tylko siostra coś długo nie wracała.

Bocznymi schodkami wdrapałam się na chór. Stanęłam obok rozpadających się organów, pod rzędem zabytkowych piszczałek. Spojrzałam na kościół z góry. Byłam załamana, bo zbliżało się południe, a ja wciąż nie natrafiłam na najdrobniejszy nawet ślad Świętego Kazimierza. Oparłam się o marmurową barierkę i mając za plecami ołtarz napiłam się wody. Kiedy uniosłam głowę spojrzałam na organy i myślami poleciałam ku ulubionej pieśni Kazimierza „Omni die dic Mariae”. W Dubinkach użyto skrótu O.D.D.M. Pewnie tam na początku było przechowywane berło, w grobie Dolnera. Potem Downarowie, albo ich przodkowie przenieśli je do Wilna. Być może właśnie tutaj. Więc i tu trzeba szukać oznaczenia O.D.D.M. A skoro to skrót tytułu pieśni, to powinnam zacząć właśnie tutaj, na chórze. Gdzieś wśród tych piszczałek? A może w samych organach? Spojrzałam

na pozostałości instrumentu. Nie był wykonany z niczego, co gwarantowało przetrwanie wieków, więc był kiepskim materiałem na skrytkę. Rozejrzałam się po całym piętrze. Tylko ułożona z kamiennych bloków podłoga gwarantowała bezpieczne przechowanie jakiegokolwiek skarbu. Padłam na kolana i przejrzałam całą posadzkę. Na wierzchu nie było żadnej wskazówki, nigdzie. Padałam z nóg. Mimo że kamienie były zimne położyłam się na nich i leżałam tak przez chwilę na plecach patrząc na sufit kościoła. Właściwie były to jedyne okoliczności, w jakich mogłam sobie pozwolić na zajęcie takiej pozycji w świątyni. Odetchnęłam parę razy i zaczęłam się podnosić. Wzrok powędrował do stóp, a potem dalej, do kamiennego stopnia, na którym ustawiono organy. Górna płyta trochę wystawała zasłaniając pionową część stopnia. Tę powierzchnię dało się dojrzeć tylko z mojej pozycji, leżąc na podłodze. Właśnie tam, na gładkim, podłużnym i wąskim bloku kamienia zobaczyłam jakieś wyżłobienia. Kto umieszczałby zdobienia w miejscu niedostępnym dla oczu wiernych i duchownych? Tylko ktoś, kto chciał coś ukryć. Znowu padłam na kolana i paznokciami zeskrobywałam z rowków warstwę brudu przez wieki pokrywającą ten zakamarek świątyni. Serce biło mi jak oszalałe. Złamałam zbyt wygięty paznokieć. Zabolało, ale i tak dokończyłam tymi, które mi zostały. W kamieniu wyryto jakieś litery, a między nimi dużo mniejsze znaki. Musiałam niezłe wygiąć głowę, żeby przeczytać co było tam napisane, ale i tak wiedziałam co zobaczę. To było to! O+D+D+M. Krzyże zamiast kropek, ale to było na pewno „Omni die dic Mariae”. Zrobiłam zdjęcie, żeby nie siedzieć ciągle z głową przy podłodze i dopiero teraz, powiększając fotkę na telefonie, zobaczyłam, że środkowy krzyż jest odrobinę większy, a w jego wnętrzu wciąż zbiera się kurz. Chyba wiedziałam co to jest. W rogu balkonu znalazłam stary gwóźdź i przy jego pomocy wydłubałam brud z zagłębienia. Tak, to był otwór, do którego niemal na sto procent musiał pasować klucz z grobu Barbary Radziwiłłówny. Wszystkie elementy historycznej łamigłównki wskakiwały na właściwe miejsca. Downarowie przenieśli berło ukryte w grobie swojego przodka do kościoła Wniebowstąpienia Pańskiego. Zamknęli skrytkę, a potem podłożyli klucz do grobu Barbary Radziwiłłówny, musieli znać miejsce, w któ-

rym spoczywało jej ciało. No, ale przecież to właśnie ich rodzinie królowa powierzyła losy swojego skarbu. Nic więc dziwnego, że mieli dostęp do innych związanych z nią tajemnic.

Tylko chwilę myślałam co dalej. Drżącą dłonią szukałam ostatnich połączeń i znalazłam Zygiego.

– Obiecałeś mi pomóc!

– Aligator?

– Tak! Wiesz, gdzie Zofia trzyma nasz klucz?

– Chyba wiem. Znaczy u siebie w biurze go schowała...

– Możesz go dyskretnie zabrać? Wykraść, znaczy się pożyczyć. Potem podłożymy z powrotem. Obiecuję! Ale jak się uda, to ona cię pewnie ozłoci.

– Co się uda?

– Zygi, mam to... Znaczy się prawie mam berło Świętego Kazimierza!

Wtedy czas zwolnił. Następną godziną dłużyła mi się niemiłosiernie.

Przez chwilę zastanawiałam się czy dam radę sama odsunąć podłużny kamień. Obmacałam miejsca, w których dotykał reszty podestu. Były tam szpary wypełnione brudem i zielonym nalotem. Pewnie dałoby się podważyć kamienny blok jakimś łomem, ale po pierwsze, to byłoby niszczenie zabytków, a po drugie mieliśmy przecież klucz i pasujący do niego zamek. Trzeba było tylko poczekać na Zygiego. Doszłam do wniosku, że jednak na wszelki wypadek przydałby się łom. Stary mechanizm skrytki mógł potrzebować pomocy siłowej, jakiegoś podważenia. Poszłam na dół poszukać i znalazłam, w niecałe pięć minut. Za stertą desek była skrzynka z narzędziami należącymi do ekipy remontowej. Kolejne dziesięć minut robiłam dokumentację fotograficzną miejsca znaleziska, bo uznałam, że tak zrobiłby profesjonalny poszukiwacz skarbów. Położyłam też przed schowkiem kilka cienkich desek przytaszczonych z dołu, żebyśmy podczas otwierania nie musieli siedzieć na zimnej podłodze. Zjedzenie kolejnej kanapki zajęło mi pięć minut. Przez jakiś czas przeglądałam też telefon, miałam nieodebrane połączenia z kilkudziesięciu numerów. Esmesów nawet nie czytałam, żeby się nie denerwować. Resztę czasu wypełniło nerwowe chodzenie w tę i z powrotem.

Mimo że spodziewałam się Zygiego, podskoczyłam słysząc trzask otwieranych drzwi. Wyrwał mnie z kontemplowania ocalałych fragmentów malarstwa ściennego.

– Aligator! – wrzasnął. Wyszedłam z bocznego ołtarza, kiedy on patrzył dokładnie w przeciwnym kierunku. Tym razem on podskoczył, nie spodziewając się mnie z tej strony.

– Masz klucz?!

– A dzień dobry? Cieszę się, że cię widzę?

– Przecież wiesz, że dzień dobry! Najlepszy. Mamy to, tylko trzeba otworzyć.

– Nie było łatwo, ale klucz też jest. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki przezroczystą torebkę z grubego plastiku. To w nią zawinięty był klucz. Pomachał nią w powietrzu. – Musiałem poczekać, aż Zofia wyjdzie pomagać w poszukiwaniach...

– Jakich poszukiwaniach?

– Jak to jakich? Ciebie szukają. Twojego ojca.

– To wszystko zaraz się skończy. Wyjmujemy berło i dzwonimy ze znaleziskiem do wszystkich świętych.

Załapałam torebkę z kluczem i ruszyłam w kierunku schodów prowadzących na chór.

– Za mną!

Zaprowadziłam go pod organy.

– I gdzie to jest? – W odpowiedzi wskazałam schodek pod konsolą instrumentu. Zygi padł na kolana. – Naprawdę! Znalazłaś to. Jesteś rewelacyjna!

Nie będę ukrywała, że poczułam przyływ dumy i samozadowolenia. – Mam nadzieję, że będzie pasował. Ktoś się nieźle napracował, żeby stworzyć skrytkę otwieraną kluczem, który powstał kilka stuleci wcześniej.

– No tak, kościół jest z XVIII wieku, a klucz z XVI.

– To co, otwieramy?

– Otwieramy słodziutka – zabrzmiało zaraz za moimi plecami. Odwróciłam się i w cieniu prowadzącej na parter wąskiej klatki schodowej zobaczyłam dwie niewyraźne postacie. – Tak! Ernst Stavro Blofeld powrócił. Za-

brałem ze sobą pomocnika. – Zawiniątko z kluczem wypadło mi z ręki. Serce niemal stanęło. Savalas popchnął stojącego przed sobą mężczyznę. To był ojciec. Miał zakneblowane taśmą usta i związane z przodu ręce.

– Tato! – krzyknęłam i rzuciłam się w jego stronę.

– O, nie, nie. Do kąta – Savalas trzymanym w dłoni pistoletem wskazał mi miejsce między organami, a ścianą. Myśl o tym, co może zrobić z tą bronią była silniejsza niż chęć podparcia chwiejącego się na nogach ojca. Nie wyglądał na pobitego, ale miał przekrwione oczy. Był bardzo zmęczony. Niechętnie wypełniłam polecenie bandyty kierując się powoli we wskazane miejsce.

– Proszę siadać! – Savalas złapał ojca za ramię i usadził pod ścianą. – Zabrałem tatusia, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jego wsparcia i doświadczenia.

Zauważyłam, że łom, który przytaszczyłam z dołu, leży kilkanaście centymetrów od mojej dłoni. Pomyślałam, że jeśli huknę nim Savalasa w uzbrojoną dłoń, to razem z Zygiem go obezwładnimy. – Na rodzinne powitania przyjdzie jeszcze czas. – Dłoń z pistoletem przesuwiała się ode mnie w kierunku ojca. Odczekałam, aż lufa nie będzie skierowana na żadne z nas i rzuciłam się do łomu. Niestety narzędzie było już w innych rękach. Łapę trzymał na nim Zygi. Uśmiechał się jak mały urwis, któremu udało się splatać psikusa.

– Przykro mi mała. – Zygi wzruszył ramionami. – Life is brutal and full of zasadzkas...

– Kiepskie masz dziecino wybory towarzyskie. Akurat studenciak pracował dla nas.

Miałam ochotę zapytać Zygiego „jak mogłeś? ”, ale zacisnęłam usta. Nie chciałam dać studencikowi powodu do radości z udanego zaskoczenia. Tak głupio podprowadziłam Bruderferajn wprost do rozwiązania zagadki. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy on naprawdę wykradł przed chwilą klucz, czy nie zrobił tego dużo wcześniej. Zaświeciła mi się w głowie lampka, że przecież jego dziadek był członkiem Bruderferajn, a skoro organizacji nie rozwiązano, to dzisiaj cała rodzina mogła należeć do gangu. Jak mogłam komuś takiemu zaufać? A zresztą, jakie to teraz miało znaczenie? Mieli wszystko.

Powinłam się skupić na utrzymaniu ojca i siebie przy życiu.

– Skoro wszystkie karty zostały już odsłonięte i jesteśmy w komplecie, to przechodzimy do otwierania! Panienska będzie czynić honory. Niech chociaż tyle ma ze swojego odkrycia.

Spojrzałam na ojca, przymknął oczy i pokiwał twierdząco głową.

– Podnieś klucz i go użyj.

Wykonałam polecenie Savalasa. Odwinęłam przedmiot z folii, padłam przed stopniem na kolana i pochyliłam się mocno do przodu. W tej pozycji było mi najwygodniej przekręcić klucz w zamku. Na początku nie chciał nawet drgnąć. Użyłam drugiej ręki. Nic.

– Może jednak studencik spróbuje pomóc?

Na wiadomość, że to ta żmija ma otworzyć drzwi do skarbcza włożyłam w przekręcanie klucza jeszcze więcej siły. Pomogło. Poruszył się lekko, a potem przekręciłam go o 180°. W momencie, w którym wprowadziłam mechanizm zamka w ruch coś zgrzytnęło i płyta z inicjałami O+D+D+M lekko odsunęła się od reszty podestu. Wsadziłam palce w powstałą przed chwilą szparę między kamieniami. Tę po lewej stronie. Domyśliłam się, że cały schowek działa jak szufla w wiekowym biurku dziadka. Po przekręceniu klucza trzeba było ją po prostu wyciągnąć. Cały problem polegał na tym, że nie była zrobiona z drewna, a z kamienia. Kiedy ciągnęłam z jednej strony, tylko lekko drgnęła.

– Złap z drugiej i ciągnij! – krzyknęłam do Zygiego na moment zapominając mu zdradę.

Student nawet nie drgnął.

– No pomóż dziewczynie éwoku! – wrzasnął Savalas.

Zygi padł na kolana i zaczął ciągnąć z drugiej strony. Potężna szuflada z kamienia wciąż się opierała. Musieliśmy zaprzeć się nogami o ścianę. Wysunęła się na ponad pół metra i dalej nie chciała drgnąć. Przez cały czas naszego siłowania z kamieniem zerkałam do środka. Musiałam zarejestrować chwilę pojawienia się skarbu. Wiedziałam, że berło będzie zapewne zakurzone. W wyniku zachodzących przez wieki reakcji chemicznych metal może mieć jakiś nalot. Nie wiedziałam do końca co tam się wytwarza na złocie i srebrze, ale byłam

pewna, że właśnie z nich odlano tak cenną i pożądaną rzecz. Niestety wewnątrz szuflady skrywało jeszcze metalową skrzynię, kolejne „opakowanie” skarbu. Była pięknie zdobiona, po bokach miała fikuśne detale, a na wieku wyryto jakiś kształt. Przetarłam powierzchnię pozbywając się wiekowego pyłu i odkryłam na nim płaskorzeźbę. Poczułam, że krew płynie mi szybciej w żyłach, bo zdobienie przedstawiało coś na kształt berła, które tatuowali sobie członkowie Bruderferajn. Dłoń była dużo mniejsza, a przedramię bardziej przypominało uchwyt do trzymania, pokryty roślinnym wzorem. Nie było aureoli, a oko wpisano w samą dłoń, ale z całą pewnością, to było berło.

– To musi być to! – powiedział Savalas pochylając się nad moją głowę. Spojrzałam na niego, a potem na ojca. Mimo że miał zakneblowane usta, jego oczy płonęły rządzą poznania co jest w środku. Łysy dźgnął mnie lufą pistoletu w plecy. – Otwieraj!

Złapałam za wieko. Znowu opór. Nie chciało się otworzyć. A napięcie rosło. Zygi wyciągnął z kieszeni szczyryk i już miał go wbić w szparę z boku. – Ostrożnie, nie zniszcz jej – powiedziałam licząc na to, że członek przestępczego klanu będzie w stanie uszanować wartość historyczną skrzynki. O dziwo chłopak postarał się być delikatny i lekko podważył wieko. Puściło. Razem je unieśliśmy i naszym oczom ukazało się berło Świętego Kazimierza. Na okładce wielkiej książki odlano w złocie płaskorzeźbę podobną do tej, którą przed chwilą widzieliśmy na wieku. Brzegi wolumentu umocnione były srebrnymi wykończeniami, które pokrywał wzór wijących się lilii. Sama okładka wykonana była z grubej, popękanej skóry. To wszystko nie spodobało się Savalasi.

– Otwórzcie to! Zobaczcie czy w środku nie ma berła! Może pod spodem?

Zygi ostrożnie otworzył księgę, gdzieś na środku wypełniających ją stronnic. Była precudnie zdobiona i ręcznie pisana, a właściwie, biorąc pod uwagę piękno kaligrafii, malowana. Przełożył kilka kart. Każdą stronę podzielono na dwie części, w górnej i dolnej znajdowały się pola wypełnione tekstem, a między nimi i na marginesach namalowano piękne ilustracje. Widziałam litery, ale wydawało mi się, że nie napisano ich w żadnym znanym mi języku. Na pewno nie była to łacina. Student odsłaniał kolejne strony, ale księga nie była wydrążona w środku, jak pewnie myślał Savalas.

– Wyjmijcie to ze skrzyni!

Zrobiliśmy jak nam kazał i położyliśmy księgę na kamiennej posadce, naszym oczom ukazało się puste dno skrzyni.

– To niemożliwe! Gdzie jest berło? Jesteś takim sprytkiem dziewucho, to odpowiadaj. Gdzie teraz szukać berła? Co, trzeba to przeczytać, rozszyfrować i będą kolejne wskazówki? Czy oni oszaleli w tym średniowieczu?

– To jest berło Świętego Kazimierza – odpowiedział za mnie Zygi wskazując księgę. Przesunęłam się bliżej ojca. Chciałam go osłonić, bo Savalas wyciągał pistoletem.

– O nie! Nie wkręcicie mnie historyczne dziwaki. Berło gdzieś tam jest – wskazał łufą kierunek wileńskiej starówki. – Zwiąż dziewczuchę i idziemy. Pomogą nam je znaleźć albo pójdą na dno Wilii.

Był maksymalnie nastawiony na znalezienie przedmiotu przypominającego przedwojenną podróbkę i nie przyjmował do wiadomości faktu, że berło było właśnie tą księgą. Stał plecami do murowanej barierki, a za sobą miał całą przestrzeń kościoła. My z ojcem kuliliśmy się pod ścianą, a Zygi wyraźnie nie wiedział co robić.

– Powiedziałem, zwiąż ją! Pakuj księgę do plecaka i się zwijamy.

– Odłóż broń synu! – gdzieś z dołu zagrzmiał potężny męski głos. Savalasa zamurowało, oparł się o balustradę i wypuścił z ręki pistolet. – Dlaczego chcesz skrzywdzić tych ludzi? – Na czole łysego natychmiast pojawiły się krople potu. Patrzył gdzieś w bok, ale nie odwracał głowy, tak jakby bał się spojrzeć w twarz tego, kto go wzywał. – Odwróć się! Patrz jak matka do ciebie mówi! – Nie mogłam uwierzyć, że to głos kobiety, był tak mocny i męski.

– Alina! Jesteś tam? Nic ci nie jest? – odezwał się drugi głos, należący do siostry.

– Tak! Jestem cała. Mój ojciec... mój ojciec też tu jest...

– Wchodzimy na górę!

Na te słowa Zygi zerwał się na równe nogi i skoczył w kierunku schodów. Nie zauważył tylko mojej wystawionej nogi i runął w dół klatki schodowej. W tym samym momencie ojciec też wykonał płynny ruch nogą odkopując pistolet na przeciwną stronę balkonu.

– Co to było? Nic wam nie jest? – dopytywała się siostra.

– To tylko Zygi, zdrajca. Pracuje dla nich. Może go tam siostra na dole przejąć?

– Leży nieprzytomny – głos zakonnicy dochodził już od prowadzących do nas schodów.

Savalas wbił wzrok w mroki klatki schodowej. Też tam patrzyłam spodziewając się, że za chwilę dołączy do nas siostra w towarzystwie jakiejś naprawdę przerażającej postaci. Ale z cienia wyłoniła się malutka, odrobinę pyzata kobiecina. Miała prawie czarne włosy z kilkoma pasemkami siwizny, zaplecione w precla. Szła opierając się o laskę, ale trzymała ją tak mocno, że nie miałam wątpliwości, że ma krzepę i potrafiłaby niezłe przyłożyć. Ubrana była w kolorową spódnicę i czarną bluzkę, a na biodrze przypiętą miała skórzaną torbę przypominającą „nerkę”. – Nic się synu nie zmieniło? Nadal pracujesz dla złych ludzi? – mimo że już nie krzyczała i stała tuż koło mnie, jej głos nadal był zaskakująco potężny i niósł się echem po całej świątyni. Nie patrzyła na nas, wbijała karzący wzrok w malejącego w oczach mężczyznę. Savalas gapił się w posadzkę pod jej stopami. Nagle zacisnęła dłoń i uniosła głowę. Przez chwilę w jego oku paliła się iskierka buntu, ale głos kobiety ją zdmuchnął. – Wiednia, jak możesz to robić swojej matce? – Wzrok Savalasa znowu powędrował ku ziemi. – Jak możesz mnie tak karać?

Nawet nie zauważyłam, kiedy za moimi plecami zjawiała się siostra. Zdjęła taśmę z ust ojca i właśnie zabierała się za oswobodzenie jego rąk. Kiedy tylko złowiła mój wzrok wyszeptła: – Mówiłam, że wrócę z pomocą?

– Zaskakująca odsiecz – powiedział ojciec, a ja zachowałam się tak, jakbym dopiero odkryła jego obecność. Rzuciłam się, żeby go uściskać. Szybko pojęłam, że on nie może mnie objąć, bo wciąż ma spętane dłonie. Oderwałam się od niego. Podniosłam z podłogi scyzoryk Zygiego i uwolniłam ojca. Kiedy już miał wolne ręce wyściskał mnie mocno.

– Powiedz matce gdzie byłeś! Dlaczego milczałeś? Tyle lat... – Savalas wciąż się kurczył wypatrując ratunku w kamiennej podłodze. Jego matka zrobiła kolejny mały krok do przodu.

– Zabierzmy wasze znalezisko i chodźmy na dół – zakonnica szeptała wskazując księgę. – Niech sobie pani Grażyna porozmawia z pierworodnym.

– Siostra od początku wiedziała, kto to jest, ten łysy typ?

– Jego matka mi kiedyś pomogła. To było na przełomie lat 80. i 90. Wieniedikt był wtedy hersztem takiej podwórkowej bandy. Miał jeszcze włosy, ale rysy mu się do dzisiaj nie zmieniły. Próbowali się dobrać do paczek z darami, które przywieźliśmy na święta. Grażyna interweniowała. Wienia nie bał się wtedy niczego i nikogo, poza jedną osobą, własną matką. Tak go poznałam. Nieźle potem nawywijał. Miał niewiele więcej lat niż ty, kiedy groził mu poprawczak za pobicie jakiegoś byłego partyjniaka... czy tam mafiosa. Wtedy zniknął. Nie wiem czy ze wstydu, czy ze strachu przed matką. Nie wiedziałam go aż do wczoraj. Ze trzydzieści lat jak go nie było.

Pani Grażyna stała już kilka centymetrów od swojego syna, który teraz wyglądał jak dmuchana lalka Kojaka, z której zeszło powietrze. Po jego policzkach płynęły łzy, a ręce drżały. – Przepraszam – wyszeptał.

– Nie słyszysz cię synu! – zagrzmiała. – Głośniej!

Tak podskoczyłam, że prawie opuściłam trzymaną pod pachą księgę. Ojciec zabezpieczył pistolet, na wszelki wypadek, gdyby rodzinne spotkanie przybrało niespodziewany obrót. Zeszliśmy na dół. Zrobiłam krok nad leżącym na najniższych stopniach Zygim. Zaczynał pojękiwać, więc rozglądałam się za czymś do spętania mu kończyn. Delikatnie odłożyłam księgę. Znalazłam sznur, a potem razem z ojcem związaliśmy zdrajcę. W tym samym czasie siostra wyjaśniała policji przez telefon gdzie mają przyjechać.

– Wienia!! – po całym kościele poniósł się głos wzburzonej Grażyny. Zdziwiłam się, że nie popękały od niego nieliczne szyby w oknach. Rozległo się gruchnięcie, jakby ktoś potknął się na schodach i z wąskiej klatki schodowej wypadł na nas Savalas. Był czerwony na twarzy, po policzkach spływały mu łzy, ale kiedy na mnie spojrzał, dostrzegłam w jego oczach złość. Zawahał się przez chwilę. Stojący obok ojciec już prężył się do skoku na bandziora. – Wieniedikt, wracaj do matki! – zagrzmiało z góry i w tysego wstąpiły nowe siły. Nie ruszył do drzwi wejściowych, bo zagradzaliśmy mu do nich drogę. Skręcił w lewo. Ojciec rzucił się za nim, ale nie miał szans. Savalas jak dziki kot wskoczył na rusztowanie, dwoma susami wdrapał się na samą górę, a potem przebiegł całą jego długość zyskując rozpęd do skoku

przez okno. Muszę dodać, że były to pozostałości witrażu, więc za nim posypały się odłamki kolorowego szkła. Zniknął zostawiając za sobą mojego ojca, który dopiero zaczął się wspinać na rusztowanie.

– Już wam nie zagrozi! – ogłosiła Grażyna opierając się o balustradę na piętrze. – A jeśli spróbuje, to Bóg mi świadkiem, przeklnę!



SZCZĘKI SPRAWIEDLIWOŚCI

– Byłam z tobą szczerą, to może teraz ty mi wszystko opowiesz?

– Niby nie powinienem o tym mówić... – Zmierzyłam go wzrokiem. – Oficjalnie nie powinienem, ale... tobie po tym wszystkim co przeze mnie przeżyłaś należy się prawda.

– No! Moje Bondzisko kochane. – Pogłaskałam ojca po głowie. Siedzieliśmy przed kościołem czekając na policyjnych detektywów. Zdążyłam opowiedzieć mu historię swojego śledztwa, a w międzyczasie przyjechał tylko jeden radiowóz. Mundurowi zapakowali ocucanego już Zygiego na tylne siedzenie, a nam dali wodę i koc. Chciałam nim okryć staruszka.

– Aligator, po co mi to? Nie wyłowili mnie z przerębla, mamy lipiec. – Podałam mu wodę, której nie odmówił. Wypił łyk i poklepał miejsce obok siebie. Usiadłam. – Zacznijmy od tego, że nie jestem Bondem, ani tym drugim od Ludluma, więcej w tym raczej papierkowej roboty Smiley'a...

– Czyli mój staruszek naprawdę jest tajnym agentem?

– Bez broni, mistrzostwa sztuk walki i gadżetów. Tylko to – postukał się w czoło. – I ja robię wyłącznie w zabytkach. Nie pracuję też dla jednego kraju, tylko dla Europejskiego Biura Dziedzictwa Historycznego...

– W sekcji poszukiwaczy?

– Coś w tym stylu. Szukamy, lokalizujemy i odzyskujemy zaginione dzieła sztuki, które wracają do krajów, z których je wywieziono. Najczęściej zniknęły w czasie wojny, ale są też przypadki takie jak berło. Zagadki związane z jakąś grupą przestępczą. Często trzeba nawiązać z nimi kontakt. Wtedy jako przykrywką przydaje mi się praca renowatora, bo ja naprawdę zawodowo zajmuję się ratowaniem zabytków i bywam w miejscach, w których takie rzeczy się znajdują...

– Trudno w to wszystko uwierzyć. – Rozmowę przerwał nam funkcjonariusz, wnoszący przez drzwi kościoła księgę zakrytą jednym z koców. – Ale tę całą hecę z berłem też pewnie ciężko przełknąć komuś, kto nie przeżył tego co my. Teraz myślę, że wszystko jest możliwe. A jeśli jesteś agentem specjalnym, to chyba muszę wybaczyć ci drobne kłamstewka.

– Aligator, naprawdę pracuję przy renowacji. Przez większość czasu wykonuję oficjalną, jawną robotę. Biuro wysyła mnie tylko do specjalnych akcji, takich jak ta z berłem.

– Zefirek naprawdę pracował dla ciebie i tego biura?

– Był moim kontaktem operacyjnym, terenowym pośrednikiem pomiędzy mną a biurem, ale zdradził... Miałem pewność, że się sprzedał, po tym, jak wysłał całą ekipę poszukiwawczą pod Iławę. Celowo mu powiedziałem, że berło może być właśnie tam...

– Wskazałeś mu ruiny pałacu obok gospodarstwa państwa Janików? Od razu się domyśliłam, że specjalnie podałeś naszą weekendową miejscówkę.

– Po prostu Janik zerknął za miedzę i zobaczył, że jakieś draby z wykrywaczami metali chodzą po dawnym parku. Dał mi znać i już wiedziałem, że Zefirek, jak go całkiem celnie nazwałeś, komuś donosi, ale jeszcze nie miałem pewności komu, z kim mamy do czynienia.

– A co robiłeś z Bruderferajn na Zakrecie?

– Zagrałem z Zefirkiem w otwarte karty. Powiedziałem, że wiem o jego zdradzie i nakazałem zorganizowanie schadzki z jego nowymi pracodawcami. Na Zakrecie chciałem zablokować, że pójdę na wymianę dokumentów. To było ryzykowne, ale zgodzili się na spotkanie. Kalkulowałem, że oni też muszą coś wiedzieć. Myślałem, że jakoś to od nich wyciągnę. A sprawa była śliska, bo dzięki Zefirkowi już wiedzieli dla kogo tak naprawdę pracuję. Miałem ze sobą tylko

zdjęcie klucza i ksero listu Witka, bo wiedziałem, że nigdy nie widzieli ani kopii, ani oryginału. Zefirkowi przekazywałem tylko suche notatki służbowe o liście. Liczyli na to, że wyczytają z tego ksera oryginału więcej niż my. Zanim spadając z drzewa przerwałaś nasze spotkanie, zdążyłem od nich wyciągnąć tylko tyle, że interesują się uniwersyteckimi wykopaliskami w Dubinkach, do których i tak mieliśmy następnego dnia jechać. Z tej rozmowy wywnioskowałem zresztą, że oni bardzo nam dopingują i doceniają postępy jakie robimy. Przypuszczam, że już wtedy planowali przyjść na gotowe, wkroczyć w odpowiednim momencie i przejść znalezione przez nas berło.

– A dlaczego krzyknąłeś na tę kobietę w parku?

– Bo w rozmowie zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do ciebie. Sugerowała, że nieźle sobie radzisz ze śledczą robotą i może cię wypożyczą. No, że to ciebie porwą. Zacząłem się bardzo o ciebie bać, o was wszystkich...

– Przełkną ślinę i zobaczyłam, że oczy mu lekko zawilgotniały. – Przepraszam córeczko. Powinienem był nas spakować i wyjechać. Gdybym wiedział, że wtedy na Zakrecie, to właśnie ciebie gonił ten bandzior... Na pewno już tamtej nocy bylibyśmy w drodze do Polski. Niestety, zaraz po tej akcji w parku musiałem zadzwonić do centrali, złożyć raport i przyjąć instrukcje. Były jasne. Miałem kontynuować poszukiwania berła przy wsparciu litewskich władz. Mieli mi przydzielić nowy, miejscowy kontakt. Niestety do międzynarodowej współpracy nie doszło, bo zniknąłem, a całe śledztwo przejęłaś ty.

– I na szczęście zaraz trafiłam na Zefirka, który mi prawie wszystko wyśpiewał.

– Kiepski łącznik i konspirator. Na szczęście teraz pojedzie na długie wakacje, po których już raczej nie znajdzie pracy w europejskim muzealnictwie.

*

Całą drogę na komendę gadaliśmy przez telefon. Mieliśmy jeden aparat, więc najpierw ojciec uspokajał płaczącą z radości Irminę. Potem ja wymieniałam czułości z Józkiem, który zamartwiał się przez ostatnie dwa dni zamiast leżeć i odpoczywać po zderzeniu z ludzkim taranem. Wyjaśnienia na komendzie trwały do późnego wieczora. Siedzieliśmy wciąż w jednym pomieszczeniu, zmieniali się tylko odwiedzający nas ludzie: lekarz, który zbadał ojca (obwiesz-

czając jego końskie zdrowie), pierwszy śledczy z pytaniami ogólnymi, ktoś z litewskiego ministerstwa kultury, drugi śledczy z pytaniami szczegółowymi, konsul z naszej ambasady, duet śledczych, żeby ogłosić, że nie mają na dzisiaj żadnych więcej pytań i tajemniczy gość w garniturze, z którym ojciec musiał porozmawiać na osobności. Domyśliłam się, że to ktoś z jego tajnego biura. Wypuścili nas, kiedy było już ciemno. Wsiedliśmy do taksówki. Ojciec zasypiał na stojąco. Wtedy zadzwoniła Zofia. Wziął ją na głośnomówiący. Bez wprowadzenia zaczęła z grubej rury.

– Księga jest u mnie!

– Bezpieczna? Bo wiesz, u was ochrona nieszczelna – zauważył ojciec.

– Przyjmuję krytykę, dałam się okraść, a zdrada Zygiego to nóż wbity w moje miękkie serce. Artefakt jest pod kluczem! Mam podwójne ubezpieczenie przed drzwiami, straż uniwersytecka i mundurowi. Nawet was tu nie wpuszczą, a ja muszę nocować na miejscu.

– Musisz czy chcesz?

– No oczywiście, że chcę. To jest cud, że coś takiego ocalało, w tak doskonałym stanie. Epokowe odkrycie. Wspaniałe wykończenia i jeden naprawdę poważny problem. To jest prawie jak Manuskrypt Wojnicza, całkowicie nieczytelny tekst. Enigma. Jakiś bełkot. Nikt nic nie rozumie, a wysyłałam już skany do językoznawców od Rygi po Londyn.

– A ma pani...

– Aligator, jaka pani?

– A, przepraszam, zapomniałam, masz przy sobie klucz? – Wydawało mi się, że znam rozwiązanie jej problemu. Od kiedy ujrzałam strony książki, literki tekstu wydawały mi się dziwnie od siebie oddzielone, zbyt równo jak na odręczne pismo z tamtych czasów. Coś mi zaświtało. Nie miałam pewności, jedynie hipotezę, którą mogła teraz sprawdzić Zofia.

– Mam.

– Główka klucza to taki podwójny krzyż, herb Jagiellonów. Prawda?

– Tak!

– Przyłóż go do którejś strony w księdze, tak, żeby pierwsza litera tekstu znalazła się w przestrzeni pomiędzy lewym ramieniem i szczytem krzyża...

- Jak? U mnie, wiek już nie ten, tak szybko nie myślę jak wy, młodzi...
- Potraktuj klucz, jakby był szablonem do odczytywania tekstu.
- A, rozumiem! Dobra.
- Ramiona powinny pokazać sześć liter, po jednej przy każdym ich skrzyżowaniu...
- Jest! Chyba już wiem o co ci chodzi... Niesamowite! Masz nosa, litery układają się w słowa. Czekał, zapisuję i sprawdzę następne.
- Milczała przez chwilę.
- I co?
- Jest. Są całe słowa! To łacina!! Aligator, jesteś geniuszem!
- Wiem! – uśmiechnęłam się i spojrzałam na ojca, który spał w najlepsze, nieświadomy, że jego córka właśnie dokonała odkrycia w dziedzinie kryptografii.

*

Przez pierwsze dni czuliśmy się jak celebryci. Odpowiadaliśmy na pytania nie tylko polskich i litewskich mediów. Dzwoniła dziennikarka ze Szwajcarii i producent z BBC. Oczywiście wywiad ze mną do „Kuriera Wileńskiego” przeprowadziła Irmina – jakiś miesiąc później, w jednym z największych polskich portali internetowych, opublikowała też obszerny reportaż o naszym śledztwie. Przez pierwsze dni nawet dla Józka nie miałam tyle czasu, ile bym chciała. Potem ojciec wrócił do tematu, o którym napomknął podczas naszej wieczornej rozmowy nad Wilią, po akcji na Zwierzyńcu. Mówił wtedy, że ma dla naszej czwórki jakieś plany. Okazało się, że chciał nas zabrać nad morze, do Kłajpedy. Zrobiliśmy sobie wolny weekend. Spędziliśmy trzy dni na plaży i o dziwo wcale się nie nudziłam. Z Józkiem było fantastycznie, zawsze coś się działo. Ale najwięcej radochy dało nam obserwowanie rodziców, którzy robili do siebie strasznie dziecinne podchody. A to on ochlapał ją wodą, kiedy tylko moczyła stopy w Bałtyku, a to ona klepnęła go lekko w pośladek i zaraz potem, ze wstydu, zrobiła się czerwona jak cegła. Dopiero ostatniego dnia złapali się publicznie za ręce, za co zebrali od nas morze oklasków.

Pierwszy wieczór po powrocie do Wilna spędziliśmy z Józkiem pomagając w hospicjum. Potem jeszcze dwa dni brylowaliśmy w mediach. Ale nie tylko my byliśmy teraz gwiazdami. To był ostatni, mój i ojca, dzień na Litwie.

Objeżdżaliśmy miasto żegnając się z nowymi przyjaciółmi. Dosłownie kwadrans po wyjściu od Zofii, włączyliśmy w samochodzie polską stację radiową i na żywo leciał wywiad z naszą profesorką historii.

– Bardzo możliwe, że Barbara Radziwiłłówna uznała swoich współczesnych za niegodnych poznania dzieła Świętego Kazimierza. Jego komentarze do pieśni „Omni die dic Mariae”, to niemal rewolucyjne dzieło. Tak na pierwszy rzut oka, bo musimy to jeszcze rzetelnie przetłumaczyć, a opracowywać będziemy latami. W każdym razie nie dziwię się, że „Berło” oddano pod opiekę protestantom z Wileńszczyzny, bo zawiera ono przemyślenia szokujące dla ówczesnego kościoła. Jeden z artykułów sugeruje na przykład, że możliwe jest dojsie do Boga przez rozumowanie, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, naukowe. A to, przypominam, za twierdzono dopiero podczas pierwszego soboru watykańskiego, w drugiej połowie XIX wieku. – Zofia mówiła z pasją, której nie można się dziwić, relacjonowała przecież epokowe odkrycie. – Nadanie księdze takiego tytułu jak „Berło Świętego Kazimierza” związane jest z autorem księgi i emblematem widocznym na okładce, a odnoszącym się do insygniów władzy, w tym przypadku nie ludzkiej, ale boskiej. Sam tytuł zapewne przejdzie do historii polskiego piśmiennictwa. Muszę podkreślić, że gdyby nie pomoc naszych przyjaciół z Warszawy, niemożliwe byłoby odkrycie księgi zawierającej jeden z najbardziej tajemniczych tekstów historycznych. Tajemniczych, bo jeszcze tydzień temu nikt nie wiedział o jego istnieniu, ale również dlatego, że autor zaszyfrował go w niezwykle pomysłowy sposób. Chciałam szczególnie podziękować Alinie, która nie tylko dokonała odkrycia i rozgryzła sposób szyfrowania użyty przez Kazimierza, ale również przyczyniła się do ujawnienia zdrajcy w naszym akademickim środowisku. Więcej nie powiem, bo sprawa jest w toku. Dodam tylko: Aligator! Wielkie dzięki!

– Niestety, o Jamesie Bondzie polskiego muzealnictwa nie wspomniała. – Przyciszyłam radio, bo zaczęły lecieć reklamy.

– Taki los milczących bohaterów.

– Bohaterów? Ja odwaliłam całą robotę, a ty dałeś się porwać!

*

Serce bolało, kiedy jakąś godzinę później zanosiałam swoją walizkę do samochodu. Za chwilę czekało mnie rozstanie z Józkiem i ciężko było powstrzymać

czającą się we mnie histeryczkę. Tyle lat trzymałam ją schowaną, a teraz, kiedy raz wypuściłam, co chwila chciała kwilić, szlochać i rozwodzić się nad szczęściem lub nieszczęściem biednej Alinki. Zacisnęłam zęby i zdecydowałam się nie rozpląkać przy pożegnalnym pocałunku. Otworzyłam samochód, wsadziłam walizkę do bagażnika i zauważyłam, że coś leży na przednim siedzeniu. Biała koperta. Dzień wcześniej jej tam nie było. Wyciągnęłam ją dziwiąc się co robiła w samochodzie, który całą noc stał zamknięty. Pomyślałam, że może ojciec ją tu podrzucił, kiedy brałam prysznic. Koperta nie była zaklejona, a ja przecież kochałam zaglądać do środka tajemniczych przesyłek. Wyjęłam pojedynczą kartkę wydrukowaną na firmowym papierze firmy Moth Brothers, której siedziba, jak informował nagłówek, mieściła się przy Saint James street w Londynie. Zaczęłam czytać, powoli kierując się w stronę domu.

Firma Moth Brothers uważa sprawę tak zwanego berła Świętego Kazimierza za zamkniętą. Rezygnuje ze wszelkich roszczeń dotyczących tego przedmiotu i uznaje, że tak ważny zabytek kultury powinien się znaleźć w muzealnych zbiorach państwowych Polski, Litwy lub Watykanu.

Firma Moth Brothers nie będzie również zabiegała o jakiegokolwiek odszkodowania i nie pociągnie do jakiegokolwiek odpowiedzialności osób zamieszanych w poszukiwaniu tego skarbu kultury.

*Radca prawny Moth Brothers
Eleonora Krast*

Skończyłam czytać, weszłam do kuchni i pokazałam list ojcu.

– Kim ona jest i co to właściwie znaczy?

– Pamiętasz kobietę z parku na Zakrecie? To właśnie ona. A ta krótka notka oznacza, że z Bruderferajn, czy jak się teraz nazywają, nie mamy już kłopotów. Dadzą nam spokój i nie mają pretensji o to, że stanęliśmy im na drodze. Przynajmniej do czasu, kiedy znowu nadepniemy im na odcisk. Nie ma się co dziwić. Ich berło było przecież tylko legendą.

Do tamtej chwili gdzieś z tyłu głowy wciąż miałam wrażenie, że sprawa z wileńską Cosa Nostrą nie została dokończona. Dopiero po przetłumacze-

niu przez ojca prawniczego bełkotu poczułam ulgę. Staruszek pokazał list Irminie. Rozmawiali przez chwilę, a potem ruszył ze swoją walizką do samochodu. W tym samym momencie, kiedy trzasnęły za nim drzwi, Józek złapał mnie za rękę i zaprowadził do ogrodu. Stanęliśmy za jabłonkami, tak żeby rodzice nas nie widzieli i całowaliśmy się dobrych kilka minut. Potem ojciec zaczął krzyżeć: – Aligator, jedziemy! – Wtuliłam się w Józkową pierś ignorując nawoływanie.

– Pisziesz codziennie, zgoda?

– Zgoda.

– Ale nie jakieś tam suche teksty, ale z uczuciem. Bez wstydu. Przecież nikomu nie pokażę... – uśmiechnęłam się przecierając łzę.

– Alina, przysięgam. Będę pisał... i zrobię wszystko, żebyśmy jak najszybciej się zobaczyli. Przecież ja już tęsknię...

– Aligator! Dostyc tych przytulasów! Józek, puść ją! – ojciec darł się jeszcze głośniej i chyba miał z tego ubaw.

*

Ale się ojciec rozgadał w drodze powrotnej. Tokował o berle, pogodzie w Warszawie, kolejnych tajemnicach do wyjaśnienia i nowej sprawie, której trop prowadzi ze Lwowa do Stanisławowa. Podejrzane to było. Taki nerwowy słowotok. Tak jakby chciał poruszyć jakiś temat, ale nie potrafił zacząć. Dopiero, kiedy skończyliśmy jeść obiad na Zamku w Tykocinie zaczął się tak jakoś jękać i zacinać.

– A jeśli chodzi o naszą rozmowę, właściwie twoje... przemówienie. Tam, wtedy, nad jeziorem... w Dubinkach.

– Tak?

– No widzisz, przemyślałem sprawę. Nawet zacząłem coś robić w kierunku, tego... żeby było lepiej z nami... między nami. – Taki już był, ciężko mu było mówić o uczuciach, łatwiej działać. Wypił łyk herbaty. – Przede wszystkim złożyłem wniosek o przeniesienie za biurko do Warszawy. Nadal będę jeździł w... delegacje, ale na dni, a nie tygodnie. No i jedna trudna sprawa z dziadkami wyniknie.

– Jak to? Co?

– Wracamy do naszego starego mieszkania. Najemcy się wyniosą do końca miesiąca, już dzwoniłem. Robimy remont i od teraz siedzimy na swoim. Mam już ponad cztery dychy na karku, czas się wyprowadzić od starych. Ale wiesz z czym to się wiąże?

– Będziesz musiał zmywać, robić pranie i pilnować, żeby Józek nie włożył przez okno do mojego pokoju?

– Trzeba będzie jakoś o tym powiedzieć dziadkom. To im złamie serce.

– Bez przesady. Z Pragi do nich będzie ze dwadzieścia minut tramwajem. Poza tym, kiedy ty będziesz w tych delegacjach, to ja wracam do nich, do swojego pokoju.

– A najważniejsze, że od teraz będziemy codziennie siadać i rozmawiać. Maglować bieżączkę. Będę wiedział wszystko o twoim życiu uczuciowym i towarzyskim. Kto, z kim i kiedy. Poza tym będę cię odwoził do szkoły i stał przed wejściem, aż mi odpowiesz, że też mnie kochasz. I robił naloty na wasze prywatki. Cała rodzicielska wiocha, za którą oboje tak tęskniliśmy.

Początkowo chciałam odpowiedzieć coś błyskotliwie złośliwego, ale zamiast tego spojrzałam mu głęboko w oczy, potem wstałam, obeszłam stolik i objęłam go mocno ramionami. Przyduszony próbował coś mówić lekko łamiącym się głosem: – Pogadamy o mamie, o tym, że mnie nie było, że cię samą...

– Wiem, spokojnie – szepnęłam mu do ucha. – Jeszcze to wszystko przerebimy. – Cmoknęłam go w skroń. – Kocham cię staruszku.

*

Im bliżej domu byliśmy, tym bardziej nie mogłam się doczekać aż zobaczę dziadków. Szykowałam się do snucia wielogodzinnej opowieści, nie chciałam niczego ominąć. W myślach opracowałam nawet mały scenariusz taki, żeby kolejne przygody zaskakiwały moich słuchaczy. Liczyłam na to, że zatrudnię ojca do współpracy. Planowałam zostawić mu elementy opisowe, w których będzie się mógł popisać wiedzą historyczną. Oczywiście wyobraźni widziałam minę Sława, kiedy będę opowiadała o akcji na Zakrecie, albo to, jak przerażonej babci wypada z rąk filiżanka podczas streszczenia pościgu za łomiarzem.

Kiedy wbiegałam po schodach naszej kamienicy miałam opracowaną już całą opowieść. Na półpiętrze, przed naszymi drzwiami stanęłam i wychyliłam

się za balustradę zerkając w dół klatki schodowej. Mój rodziciel gramolił się piętro niżej, rytmicznie obijając walizką o ścianę.

– Szybciej ojciec! Twoja plujka już stygnie.

– Czy ja już nie jestem za stary na taszczenie najcięższych waliz? Właściwie to ty powinnaś mnie wnosić na rękach.

– Jak się już skurczysz i zasuszysz, to będę cię nosiła, gdzie zechcesz. A teraz nie wypada, żeby dama dźwigała ciężary.

Kiedy mnie dogonił przeskoczyłam kilka stopni, stanęłam przed drzwiami zrzucając z ramienia swój ciężki plecak i sięgnęłam dłonią do klamki. Drzwi były lekko uchylone. Zdziwiło mnie to, zawsze uważaliśmy, żeby je domykać, bo Wiewiór mógł samodzielnie wypuścić się na miasto. Wsadziłam głowę do środka.

– Halo, jesteśmy!

Nie doczekałam się żadnej odpowiedzi. Ruszyłam w głąb mieszkania. Ojciec wszedł za mną, westchnął stawiając walizę i zamknął za sobą drzwi. Spojrzałam w głąb długiego przedpokoju. Panował w nim półmrok, bo ktoś zamknął drzwi do salonu, który u nas łączył się z kuchnią. Dziwne, bo zwykle były cały dzień otwarte. Nawet kiedy był przeciąg dziadek wciskał pod nie kaptur tak, żeby unieruchamiał drzwi. – Drzwi wejściowe otwarte, wy zamknięci, czekacie na złodziei? – rzuciłam oglądając się na ojca. Był tuż za mną i się uśmiechał. Mnie nie było tak wesoło, wyostrzony przygodami szósty zmysł mówił mi, że coś tu jest nie w porządku. Złapałam dłonią za klamkę masywnych drzwi oddzielających przedpokój od kolejnego pomieszczenia i delikatnie nacisnęłam. Drzwi nie stawiały oporu, pomału je otwierałam odkrywając twarze swoich bliskich. Najbliżej siedziała babcia, pomału odwróciła głowę, spojrzała na mnie nic nie mówiąc, w oczach miała łzy. Już miałam zapytać co się dzieje, ale zobaczyła dziadka. Leżał na podłodze ramieniem opierając się o fotel, błąd na twarzy, masował dłonią szczękę. – Dziadku, co się...? – Skoczyłam w jego kierunku otwierając szerzej drzwi ramieniem. Wpadłam do pokoju i zobaczyłam łysą postać siedzącą w drugim fotelu.

– Savalas! Ty... – ojciec wrzasnął za moimi plecami, ale zamilkł, kiedy zobaczył lufę pistoletu skierowaną w naszym kierunku. Widok broni palnej roz-

sierdził mojego rodziciela. Ruszył na intruza stając między mną a nim. Członek Bruderferajn uniósł broń tak, że celował teraz w twarz mojego ojca i pokręcił głową szepcząc cicho: – Nie, nie! – Mnie ścięło na ten widok z nóg, opadłam na kanapę tuż obok babci. Ojciec zamarł. Lufa wskazała mu stołek ustawiony w kuchennej części pomieszczenia. Niechętnie wycofał się na poleconą pozycję i usiadł. Dziadek, wciąż masując szczękę, wgramolił się na fotel.

– No i co teraz? Przywaliłeś staruszkowi, masz na muszce dziecko, gadaj czego chcesz. – Babcia zaskoczyła nas odwagą. Głos się jej odrobinę łamał, ale była harda. – Kosztowności tu nie znajdziesz, więc możesz się zawijać.

– Chyba już mam to czego szukam. – Savalas uśmiechnął się zerkając najpierw na mnie, a potem na ojca. – Prawda? Duet poszukiwaczy skarbów. Aligator i jej staruszek.

– Wy go znacie? – babci przestał łamać się głos.

– Znajomy z Wilna – wyjaśnił ojciec.

– Na śmierć nas teraz zanudzi przemową zła i nie będzie musiał później do nikogo strzelać – dodałam śmiało, choć przyznaję, że głos mi lekko drżał.

– Ale jak? Dlaczego? – Babcia tym razem spojrzała na bandziora.

– Zwyczajna zemsta proszę pani. Tu już nawet nie chodzi o interesy, bo na tym polu pani pociechy wygrały i nikt nie ma do nich pretensji. To bardziej próba osobistego wyrównania rachunków. Podziękowania za zorganizowanie mi rodzinnego spotkania.

– Marek, Alina! O co mu chodzi?

– Przykro mi, ale nie będzie przemowy zła. – Savalas sięgnął do kieszeni kurtki. – Za chwilę wszyscy spotkacie się w kolejce do Świętego Piotra i tam wszystko sobie opowiecie. Obiecuję, że szybko pójdzie. – W jego dłoni pojawił się podłużny przedmiot, w którym niemal natychmiast rozpoznałam tłumik. Chciał wykonać egzekucję tutaj. Nawet nie zamierzał nas nigdzie wywozić. A miałam zaplanowaną akcję na schodach podczas której razem pozbawiamy go gnata. Uniósł lufę do góry, ale żadne z nas nie siedziało na tyle blisko, żeby rzucić się na niego nim znowu w nas wyceluje. Żadne z nas poza jednym domownikiem. W chwili, kiedy tłumik zrobił pierwszy obrót wokół lufy, spod fotela dziadka wystrzeliła ciemna błyskawica i wbiła zęby w prawą dłoń Savalasa. Przestępca

zawył i wypuścił pistolet. Broń przeturlała się pod kaloryfer. Potem lewą ręką złapał Wiewióra za kark i zaczął ciągnąć, ale pies nie chciał zwolnić uścisku. Bandyta szarpnął jeszcze mocniej, wydając z siebie stłumiony syk bólu, kiedy zęby przebijały się przez naciągniętą skórę. Czworonóg puścił i już po chwili leciał w powietrzu w kierunku babci. Wylądował na boku, a uderzeniu o podłogę towarzyszyło jęknięcie. Potem skrzyżowanie jamnika z pekińczykiem żałośnie zaskomlało. To ten dźwięk wyrwał nas z letargu. Ojciec ruszył na rozbrojonego napastnika. Pierwszym odruchem Savalasa, po rzucie naszym czworonogiem, było szukanie broni. Nie miał jej już w zasięgu ręki, ale dzięki temu, że z fotela ruszył prosto na podłogę, uniknął spotkania z moim rodzicielem. Ojciec zmienił trajektorię swojego ruchu odbijając się od oparcia fotela i prawie złapał przeciwnika za nogę. Savalas był szybszy. Kiedy zobaczył, że nie ma już szans na odnalezienie spluwy wygiął się jak wąż. Wywinął się z ojcowskiej zasadzki. Teraz na drodze ucieczki stałam mu już tylko ja. Byłam gotowa bronić pozycji, całym ciałem zasłaniając drzwi. Jego reakcja mnie zaskoczyła. Z całej siły kopnął mnie w kostkę. Ból był krótki, ale paraliżujący. Przechyliłam się do tyłu i upadłam na kanapę. Już nikt nie stał na drodze zbira do wolności. Wybiegł z pokoju. Ojciec ruszył za nim, potem z salonu wybiegła babcia. Długi Ozor, zupełnie zepominając o obrażeniach i odbytym przed chwilą locie, dołączył do pościgu. Nie byłam w stanie biec za nimi, bo moja kostka promieniowała bólem.

Kiedy starałam się stanąć na obolałej kostce, zauważyłam, że dziadek podbiega do kuchennego okna. Otworzył je. Usiadł na parapecie. Złapał masywną doniczkę z rozłożystą monsterą dziurawą – ukochanym kwiatem babci – i wystawił ją za okno, obiema dłońmi trzymając kwiat w powietrzu. Przez chwilę patrzył w dół, tam, gdzie było wyjście z klatki. – Przepraszam cię kwiatuszku – powiedział i puścił doniczkę. Wiedziałam co się dzieje. Wybiegając z klatki Savalas musiał znaleźć się pod naszym oknem. Udało mi się wstać, pokuśtykałam do dziadka.

– Ma się tego cela wnusiu. – Zwolnił mi miejsce w oknie. Syknęłam z bólu, żeby dostać się na parapet musiałam stanąć na obolałej nodze. Wyjrzałam na podwórko. Na chodniku leżał nieprzytomny mężczyzna i wielki kwiat w roztrzaskanej donicy. Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby

z ludzkiego ramienia wyrastała druga głowa, zamiast długich włosów mająca płataninę rozłożystych liści. Ojciec przyklęknął przy Savalasi. Sprawdził mu puls, popatrzył do góry i zawołał do mnie: – Żyje. Rzuć mi sznurek albo jakieś trytytki, to go skrępuję.

– I dzwońcie po policję! – zawołała zaaferowana babcia. Potem złapała się za kieszeń spodni i zaskoczona odkryciem w niej telefonu dodała: – Albo nie, przecież ja zadzwonię.

Dziadek podał mi opakowanie plastikowych opasek, które rzuciłam ojcu. Z klatki zaczęli wychodzić sąsiedzi, dopytując co się stało. Babcia ich uciszała tłumacząc jednocześnie coś do słuchawki. Jediną istotą, która zachowała spokój był Wiewiór. Nic nie robiąc sobie ze zbiegowiska, zdecydował się wykonać czynność potwierdzającą jego ostateczne zwycięstwo. Podszedł do bandziora, zadarł nogę i obsikał mu buta. Ojciec i babcia widzieli co robi, ale nie potrafili go przepędzić, bo właśnie uratował nam wszystkim życie.

*

Dokładnie dziesięć dni zajęło nam pakowanie się do kartonów i czekanie aż lokatorzy zwolnią praskie mieszkanie. Najemcami byli studenci, którzy i tak mieli w planie wakacyjne przygody, a nie kieszanie się w Warszawie. Dziesięć dni ojciec załatwiał różne sprawy związane z przeniesieniem pracy do stolicy. Mniej więcej tyle samo czasu zajęło nam bieganie na komendę i do innych kluczowych dla śledztwa miejsc, w których opowiadaliśmy, dlaczego uzbrojony łysol groził nam bronią. Savalas na szczęście siedział wtedy w areszcie śledczym i wszystko wskazywało na to, że długo nie wyjdzie spod kurateli polskich władz. Ponoć po samowolce u dziadków koledzy z Bruderferajn trochę się od niego odwrócili.

Ale wracając do przeprowadzki, postanowiliśmy, że remont po latach najmu odświeżający nasze gniazdko, zrobimy już po przenosinach. Dziesięć dni żegnaliśmy się z dziadkami, których od nowego roku szkolnego i tak planowałam widywać codziennie, bo szkołę miałam dwa kroki od ich kamienicy. Ale od teraz przynajmniej śniadania i kolacje miałam jadać nie z nimi, a z ojcem. Powiedzieli, że nie będą ruszać mojego pokoju i kiedy tylko ojciec zniknie, mam wracać i udawać, że jest po staremu. Tego dziesiątego dnia

wieczorem wniosłam do mieszkania ostatni karton. Ojciec szalał z kluczem francuskim. Kiedy zjrzałam do kuchni wyglądał tak, jakby szafka pod zlewem pożerała go żywcem. Wystawały tylko nogi. Podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież, wpuszczając do środka odgłosy kamionkowskiej ulicy. Spojrzałam na tor kolarski Nowe Dynasy i zabudowania klubu sportowego „Orzeł”. Było zielono i dużo ciszej niż w centrum miasta. To teraz był mój codzienny widok z okna. W głębi domu rozległ się dzwonek do drzwi.

– Aligator! Zobaczysz kto to?

Przechodząc przez framugę pokoju przystanąłam i otarłam się o nią plecami, łopatka swędziała. Dobry omen.

To było mieszkanie, w którym spędziłam pierwsze lata życia. Tutaj byliśmy szczęśliwi – ja, mama i ojciec. Czułam się w nim tak bezpiecznie, że nawet nie przyszło mi do głowy spojrzeć w wizjerek czy założyć łańcuch i przez uchylone drzwi zapytać o co chodzi. A warszawska Praga miała kiedyś opinię szemranej dzielnicy. Po prostu otworzyłam drzwi na oścież.

– Podobno szykuje się jakiś remont i potrzebujecie rąk do roboty – powiedział Józek stawiając na podłodze wielki turystyczny plecak. Zamurowało mnie. Dopiero kiedy wyciągnął do mnie ręce rzuciłam się mu w ramiona.

Tu Aligator! Jeszcze jedna sprawa. Piotr Jezierski, który pomagał mi spisać wileńskie przygody, chce skorzystać z okazji i podziękować kilku osobom. Przede wszystkim swojej żonie Ewelinie za wsparcie, cierpliwość i kilka naprawdę fajnych rozwiązań fabularnych. Stefanowi za inspirujące spacerki po Wilnie, doping i materiał do jednego z kluczowych wątków. Oldze, Agacie i Annie za udzieloną pomoc i wsparcie. Monice za dobre słowa w czasie pracy, te dodające wiary w siebie i te, wprowadzające do naszej opowieści językowy porządek. Razem z Piotrkim dziękujmy też wszystkim tym, którzy przyczynili się do wydania tej książki i wyjawienia prawdy o trzeciej ręce Świętego Kazimierza.

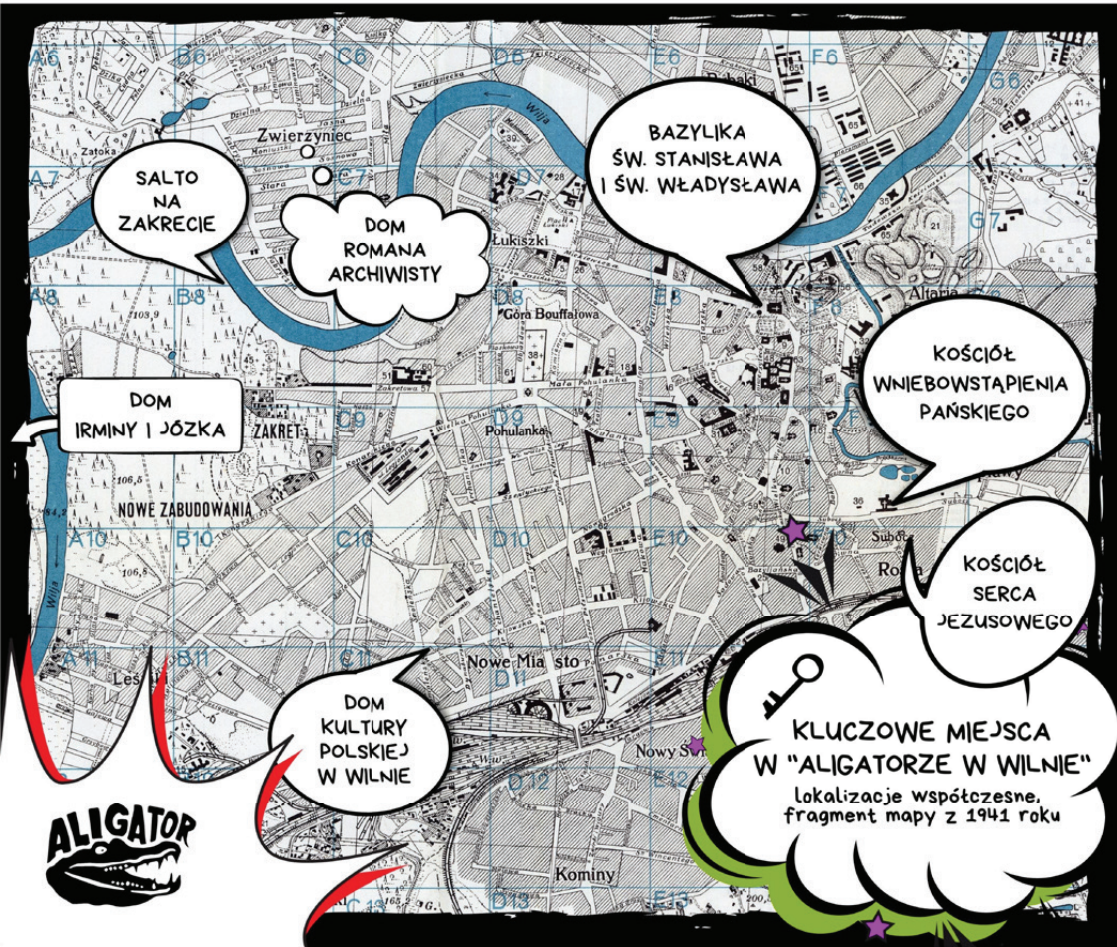
Dajcie znać, czy podobały się Wam moje przygody, najlepiej na [facebook.com/PiotrJezierskiAutor](https://www.facebook.com/PiotrJezierskiAutor) – to profil Piotrka, ja kryję się za jego plecami. Muszę unikać rozgłosu, bo czuję, że Bruderferajn jednak ma mnie jeszcze na oku.

Do zobaczenia!

Piotr Jeziernski – pisarz, dziennikarz i kulturoznawca. Jako krytyk filmowy i literacki, eseista oraz prozaik publikował między innymi w „Kulturze Współczesnej”, „Czasie Kultury”, „Nowych Książkach” oraz na portalu „Cud Kultury”. Autor zbioru opowiadań „Zgubiłem zegarek”, internetowego kryminału w odcinkach „Parada grzeszników” oraz łączącej kilka gatunków powieści „Kochankowie brzydszej córki”. Jako badacz kultury popularnej wydał książkowe eseje „Siła strachu” i „Wektory wyobraźni”. Autor wystaw o historii polskiego kina prezentowanych w Wilnie, Trokach i Dyneburgu. Od najmłodszych lat miłośnik Pana Samochodzika, Tolka Banana i Indiany Jonesa.

*

Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” została powołana w 1992 roku. Prowadzi działania statutowe jako strategiczna Fundacja Skarbu Państwa, podlegająca Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Głównym jej celem jest wszechstronne wspieranie Polaków i osób polskiego pochodzenia w krajach byłego ZSRS oraz dawnego bloku komunistycznego, w Europie Środkowej i Wschodniej. Fundacja realizuje projekty na Wschodzie dotyczące działań z zakresu: pomocy charytatywnej i dobroczynnej, wsparcia edukacji i promocji języka polskiego, polskich i polonijnych mediów, aktywizacji naszych rodaków oraz realizacji projektów inwestycyjnych i wspierania bieżącej działalności polskich instytucji. Szczególnym obszarem działalności Fundacji jest promocja polskiej kultury, ochrona dziedzictwa kulturowego na Wschodzie, polskiej literatury i jej twórców.



SALTO
NA
ZAKRECIE

DOM
ROMANA
ARCHIWISTY

BAZYLIKA
ŚW. STANISŁAWA
I ŚW. WŁADYSŁAWA

DOM
IRMINY I JÓZKA

KOŚCIÓŁ
WNIEBOWSTAPIENIA
PAŃSKIEGO

DOM
KULTURY
POLSKIEJ
W WILNIE

KOŚCIÓŁ
SERCA
JEZUSOWEGO

KLUCZOWE MIEJSCA
W "ALIGATORZE W WILNIE"
Lokalizacje współczesne,
fragment mapy z 1941 roku



Cześć, jestem Alina. Sławo, mój dziadek, mówi, że jestem zaginionym dzieckiem Indiany Jonesa. Ale tak naprawdę zamiłowanie do historycznych zagadek mam po ojcu, konserwatorze zabytków, którego nosi po polskich Kresach. Czasem zabiera mnie ze sobą. Teraz szykuje się mała intryga na Wileńszczyźnie, w którą zamieszani są Barbara Radziwiłłówna, brat jej teścia, pewien szwajcarski inżynier i wileńska Cosa Nostra. Co otwiera klucz Świętego Kazimierza? Gdzie się kręcą wampiryczni studenci? I skąd w ogóle ten aligator w Wilnie? Tego wszystkiego dowiecie się śledząc moje wileńskie przygody.



Wydawca:



Patronat medialny:



Projekt dofinansowano ze środków Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu
Polonia i Polacy za Granicą 2021

ISBN 978-83-952591-2-8



9 788395 259128